

ADAM SOLARZ



**HARCERZE
JELEŃIOGÓRSCY
1945-1950**

WSPOMNIENIA

ADAM SOLARZ

**HARCERZE JELENIOGÓRSCY
1945 - 1950**

Część II

WSPOMNIENIA

JELENIA GÓRA 2017

Redakcja
Małgorzata Solarz
© Copyright by Adam Solarz, 2017

Autor dziękuje: Irenie Kamieńskiej-Siucie, Barbarze Hełczyńskiej-Szymańskiej, Zofii Zator, Mirosławowi Grabowskiemu, Tadeuszowi Gutajowi, Lesławowi Brunonowi Imielińskiemu, Lechowi Lichodziejewskiemu, Zbigniewowi Lipińskiemu, **Sławomirowi Podolakowi**, Janowi Roszkowskiemu, za podzielenie się wspomnieniami oraz udostępnienie zdjęć i pamiątek.

Wydawca, szanujący prawa autorskie fotografów, dołożył wszelkich starań, aby podpisać każdego z nich; jeżeli mimo wszystko nie udało się któregoś z nich ustalić bądź zostali pominięci, proszeni są o kontakt, wówczas ich nazwiska zostaną zamieszczone w następnym wydaniu.

Część II

WSPOMNIENIA

ISBN 957-83-937883-4-7

Zamiast wstępu

Początkowe dzieje jeleniogórskiego harcerstwa są nierozwalnie związane z okresem powojennej poniewierki Polaków. Wśród nich byli harcerze, którzy przez niemieckiego okupanta zostali zesłani do pracy niewolniczej na tym terenie. Inni przybywali tutaj najczęściej jako przesiedleńcy ze wschodnich terenów przedwojennej Polski.

To oni tworzyli pierwsze struktury Związku Harcerstwa Polskiego. Powstawały wówczas drużyny, hufce oraz została powołana Komenda Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy.

Dzisiaj ich zasługom w krzewieniu oświaty, kultury, turystyki i sportu, szczególnie w środowisku dzieci i młodzieży, należy przypisać rangę historyczną. Zgromadzone pamiątki, dokumenty, a zwłaszcza przywołane wspomnienia wspólnych dokonań, zaświadcza o doniosłości misji, jaką wypełniali wówczas jeleniogórscy harcerze.

O ich wspomnienia jest coraz trudniej. Odchodzą od nas, a wraz z nimi odchodzi również wiedza o nich. My, którzy czujemy się spadkobiercami ówczesnego ruchu harcerskiego, nie zwlekajmy. Dokumentujmy przeszłość, bo nie wszystko od nas się zaczyna. Dopóki mamy na to czas, skierujmy nasze myśli wstecz - do tych, którzy byli przed nami.

Ich doświadczenia i przemyślenia utwierdzają nas bowiem w przekonaniu, że harcerski etos jest ponadczasowy. Że idea harcerskiego czynu nie starzeje się. Że [...] *przeszłość zachowana w pamięci staje się teraźniejszością* - jak napisał Tadeusz Kotarbiński.

Józef Dobski hm.

Do ZHP wstąpił w 1924 roku. Służbę instruktorską rozpoczął jako drużynowy 2 Kieleckiej Drużyny Harcerzy. W latach 1935-1939 był sekretarzem Zarządu Okręgu ZHP w Kielcach. Uczestniczył w pracy konspiracyjnej Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Był organizatorem Szarych Szeregów na Kielecczyźnie, od marca 1943 roku pełnił funkcję komendanta Szarych Szeregów. W czerwcu 1945 roku przybył do Jeleniej Góry. Tu współorganizował dolnośląskie harcerstwo. Od 25.10.1945 do 10.02.1946 był pierwszym zastępcą komendanta Chorągwi Harcerzy Dolnego Śląska. Był kierownikiem Centrali Dostaw Harcerskich w Jeleniej Górze.

Oto, co zachował w pamięci...

Do Jeleniej Góry (Hirschbergu), wraz z pełnomocnikiem rządu, starostą Wojciechem Tabaką, przybyła grupa ekonomiczna z zadaniem przejmowania nieczynnych polniemieckich zakładów przemysłowych i ich uruchamiania. W grupie tej znalazł się kolega Marian Stolarczyk, przedwojenny działacz Ligi Morskiej i członek Szarych Szeregów, który w imieniu polskich władz zajął się uruchomieniem Wytwórni Win i Soków w Jeleniej Górze.

W drugiej połowie maja 1945 roku otrzymałem list od Mariana Stolarczyka, w którym namawiał mnie, abym przyjechał do Hirschbergu i pomógł mu w pracach organizacyjnych zakładu oraz uruchomieniu produkcji. Skorzystałem z jego zaproszenia. Po załatwieniu formalności związanych ze zwolnieniem z pracy w Zarządzie Miejskim, wyjechałem do nieznanego mi miasta Hirschberg na Dolnym Śląsku.

Będąc od najmłodszych lat uczuciowo związanym z Kielcami, nie sądziłem, że mogę rozstać się z miastem mo-

jej młodości na dłuższy czas. Nie przypuszczałem wtedy, że Jelenia Góra stanie się dla mnie drugim po Kielcach, bliskim miastem, w którym będę przebywał z rodziną do 1948 roku, a potem pozostanę na Dolnym Śląsku, do dzisiaj mieszkając we Wrocławiu.

Część drogi do Jeleniej Góry, przez Wrocław i Starą Kamienicę, przebyłem pociągami, część samochodem ciężarowym. Podróż była ciekawa i obfitująca w przygody. Pierwsze zetknięcie z Jelenią Górą zrobiło na mnie duże wrażenie. Zobaczyłem niezniszczone miasto, o wyjątkowej urodzie.

Wszędzie było widać dużo drzew i kwiatów. Wszystkie kamienice były już przystrojone w białe-czerwone flagi. Przechodząc przez rynek, zostałem wręcz olśniony widokiem pięknych kamienic, o wspianych łukowych podcieniach, przylutych do siebie w zwartej zabudowie dookoła skromnego ratusza.

Gdyby nie świadomość, że muszę zgłosić się u kolegi przed nadejściem nocy, podziwiałbym dłużej niecodzienny fragment miasta. Po kilku dniach włączyłem się do pracy, pomagając koledze w pracach organizacyjnych i produkcyjnych zakładu.

Wyjeżdżając na ziemię jeleniogórską, nie spodziewałem się, że będę spotykał się ze śladami polskości tej ziemi. Nazwy miejscowości posiadały polskie brzmienie, np. Janowice nazywały się po niemiecku Janowitz. Najciekawszym dokumentem, mówiącym o panowaniu Piastów w Jeleniej Górze, była tablica stojąca przed kościołem katolickim, na której w języku niemieckim było wyryte zdanie o następującej treści: „Herzog von Polen Boleslaus der Dritte...” Dalszych słów w języku niemieckim nie pamiętam. W tłumaczeniu polskim tekst głosił, że książę polski Bolesław III

(czyli Krzywousty) w 1108 r. zbudował w tym miejscu świątynię drewnianą, która potem spłonęła, po czym wystawił na jej miejscu kościół murowany.

Byłem zaskoczony tą informacją, na dodatek upamiętnioną przez Niemców w formie tablicy, która nie została przez hitlerowców zniszczona, inaczej niż wiele dokumentów będących świadectwem, że tymi ziemiami władali książęta i królowie polscy.

Chciałbym również wspomnieć o ciekawym spotkaniu ze starszym Niemcem, potomkiem polskiego oficera biorącego udział w powstaniu listopadowym, niejaki Rogójskim czy Rogowskim. Z krótkiej opowieści Niemca wynikało, że jego pradziad przywędrował po klęsce powstania na ziemię jeleniogórską, gdzie zamieszkał i założył rodzinę. Na dowód tego, że mówił prawdę, przyniósł, kilka dni później pamiątki po swoim przodku. Były to epolety - naramienniki z frędzlami z munduru oficerskiego, dyplom nadania orderu Virtuti Militari w języku polskim i Krzyż Virtuti Militari.

Te cenne pamiątki chciałem nabyć za odpowiednim wynagrodzeniem i przekazać je do muzeum. Niestety odmówił, uzasadniając to tym, że pamiątki po jego przodku, przechowywane są w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie i są dokumentem polskiego i szlacheckiego pochodzenia, z którego jest dumny. Spodobała mi się postawa tego człowieka i przywiązanie do polskiego rodowodu.

Lipiec 1945 roku był dla Jeleniej Góry okresem przełomowym w przeobrażaniu się dawnego miasta Hirschberg w polską Jelenią Górę, ponieważ w tym miesiącu rozpoczęło się na większą skalę wysiedlanie Niemców z przeludnionego miasta, do którego schroniło się w czasie wojny wiele rodzin niemieckich z Wrocławia i innych miejscowości. Praca w Wytwórni Win nie dawała ani mnie, ani koledze pełnego

zadowolenia. Przyzwyczajeni od najmłodszych lat do udzielania się w pracach społecznych, zapragnęliśmy tę działalność kontynuować na Ziemiach Odzyskanych.

Jako przedwojenny instruktor harcerski, a w czasie okupacji komendant Szarych Szeregów na Kielecczyźnie, uważałem, że obaj z Marianem Stolarczykiem powinniśmy zająć się zorganizowaniem harcerstwa i Ligi Morskiej w Jeleniej Górze. W miejsce wysiedlanych Niemców zaczęły przybywać polskie rodziny z młodzieżą w wieku szkolnym, wśród której było wielu harcerzy. Zaistniała więc potrzeba zaopiekowania się tymi młodymi ludźmi i przyjęcia ich w szeregi Związku Harcerstwa Polskiego.

W pierwszej połowie lipca przyjechało kilku instruktorów harcerskich z Krakowa. Nawiązaliśmy z nimi kontakt i zaproponowaliśmy współpracę przy organizowaniu Harcerstwa i Ligi Morskiej.

Na wspólnym spotkaniu w Wytwórni Win przy ulicy Sobieskiego instruktorzy krakowscy zaakceptowali projekt powołania tymczasowej Komendy Chorałwi w Jeleniej Górze. Na stanowisko tymczasowego komendanta chorałwi został wybrany hm. dr Rudolf Korzeniowski, najstarszy z naszego grona instruktorskiego, z zawodu adwokat z Krakowa, który zaprosił mnie na swego zastępcę...

Ówczesny pełnomocnik rządu, starosta Wojciech Tabaka, wyraził zgodę na działalność harcerską i Ligi Morskiej z zastrzeżeniem, że jeśli zostałaby ona rozszerzona poza granicę powiatu jeleniogórskiego, należałoby uzyskać zezwolenie z Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy. O powstaniu tymczasowej Komendy Chorałwi Harcerzy i Zarządu Okręgu Ligi Morskiej zawiadomiliśmy Główną Kwaterę ZHP i Zarząd Główny Ligi Morskiej w Warszawie. Na siedzibę komendy chorałwi i Zarządu Okręgu Ligi Mor-

skiej władze miejskie przeznaczyły budynek piętrowy przy ulicy Długiej, który otrzymał nazwę „Dom Harcerza i Ligi Morskiej”.

W dniu 26 lipca 1945 roku zostały rozlepione na tablicach ogłoszeniowych w mieście afisze informujące harcerki i harcerzy o możliwości zgłaszania się w komendzie chorągwi, w celu przeprowadzenia rejestracji i wstąpienia w szeregi Związku Harcerstwa Polskiego. Z dużym zapałem przystąpiliśmy do prac przygotowawczych, związanych z rozpoczęciem działalności harcerskiej.

W drugim półroczu 1945 roku nastąpił żywiołowy rozwój harcerstwa. Do komendy chorągwi zaczęli się zgłaszać z różnych stron Dolnego Śląska instruktorzy ZHP, organizujący samorzutnie hufce i drużyny. W związku z rozszerzającym się ruchem harcerskim na terenie Dolnego Śląska, udaliśmy się z M. Stolarczykiem do wojewody Stanisława Piaskowskiego urzędującego w Legnicy, aby zapoznać go z dotychczasową działalnością harcerską i Ligi Morskiej.

Wojewoda Piaskowski, nazywany „księciem legnickim”, bardzo przychylnie ustosunkował się do naszej inicjatywy, akceptując naszą działalność na terenie całego Dolnego Śląska. Wyraził się przy tym z uznaniem o tych wszystkich harcerzach, którzy razem z władzą ludową, nie czekając na odgórne polecenia, podjęli się samorzutnie niełatwej pracy społecznej na odzyskanym Dolnym Śląsku.

Trzeba stwierdzić, że dzięki poparciu wojewody, którego kilkakrotnie odwiedziliśmy w Legnicy, informując go o postępach naszych instytucji i przychylnym stanowisku starosty Wojciecha Tabaki, mogliśmy działać w sposób nieskrępowany. Niebawem powstały ośrodki pracy harcerskiej i Ligi Morskiej w Legnicy, Wałbrzychu, Dzierżoniowie, Świdnicy, Ząbkowicach i w innych miejscowościach, m.in.

Szklarskiej Porębie i Karpaczu, z którymi był utrzymywany stały kontakt.

Pod koniec sierpnia 1945 roku, tymczasowy komendant chorągwi hm. dr Rudolf Korzeniowski zrezygnował ze stanowiska komendanta z powodu wyjazdu na stałe do Krakowa. W związku z tym zaproponowałem członkom komendy chorągwi wybranie na stanowisko komendanta hm. Kazimierza Sobolewskiego, dotychczasowego referenta kształcenia instruktorów. Wniosek został przyjęty i komendantem chorągwi został hm. Kazimierz Sobolewski, który zajmował to stanowisko do 1949 roku.

Zostały nawiązane kontakty z Komendą Chorągwi Krakowskiej, która do Jeleniej Góry przekazała 1200 książek, w celu założenia pierwszej polskiej czytelnicy dla młodzieży jeleniogórskiej. O fakcie tym i pionierskiej roli harcerzy na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945 i 1946 pisał hm. Rudolf Korzeniowski w miesięczniku „Harcerstwo”, w nr 1. ze stycznia 1946 roku.

W 1946 roku prawie we wszystkich szkołach średnich i podstawowych działały już drużyny harcerskie. Na ulicach miasta coraz więcej młodzieży zaczęło pokazywać się w mundurkach. Maszerujące ze śpiewem drużyny wzbudzały radość u Polaków, a wśród nieprzesiedlonych jeszcze Niemców zdumienie, że młode polskie pokolenie czuje się na tej ziemi tak pewnie i swobodnie, jak gdyby tutaj urodziło się i wychowało.

W związku z dużym zapotrzebowaniem na kadrę instruktorską, zimą 1945/1946 roku urządziliśmy w Rościszowie koło Dzierżoniowa, w ośrodku harcerskim „Lipowe Zaczysze” kurs drużynowych dla około 40 chłopców. Kurs prowadził hm. Kazimierz Sobolewski przy pomocy druhów: Zygmunta Szafrana phm., Mieczysława Świątka phm. i Zbigniewa Owczarka phm.

W październiku 1945 roku przybył do Jeleniej Góry naczelnik harcerzy, który zatwierdził samorzutną dotychczasową działalność harcerską i zdecydował o utworzeniu Dolnośląskiej Chorągwi Harcerzy z siedzibą w Jeleniej Górze, mianując jednocześnie hm. Kazimierza Sobolewskiego p.o. komendantem chorągwi.

Po przeprowadzonej wizytacji naczelnika harcerzy został ustalony skład Komendy Chorągwi w Jeleniej Górze:

*pierwszy zastępca komendanta chorągwi - hm. J. Dobski,
drugi zastępca komendanta chorągwi i referent prasowy
- phm. Kazimierz Fronczak,
referent kształcenia instruktorów - hm. K. Sobolewski,
referent drużyn - phm. Czesław Sidor,
referent obozów i turystyki - Kazimierz Bożekowski,
referent interwencyjny - phm. M. Stolarczyk,
referent finansowo-gospodarczy-phm. Zygmunt Szafran.*

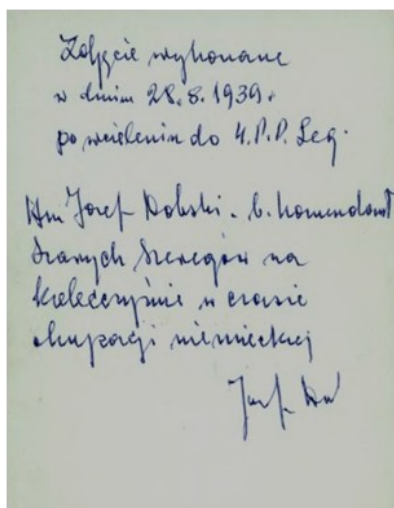
Ponadto pierwszym rozkazem komendanta chorągwi zostali mianowani hufcowi w Jeleniej Górze, Świdnicy, Legnicy, Kłodzku, Brzegu n. Odrą i Głogowie.

Intensywny rozwój Ligi Morskiej wśród społeczeństwa, a objęła ona swoją działalnością kilka powiatów województwa wrocławskiego, spowodował konieczność powołania mnie na sekretarza Zarządu Okręgu tej organizacji. Pozostając na tym stanowisku i pełniąc jednocześnie funkcję zastępcy komendanta chorągwi, doprowadziłem do bliskiej współpracy tych dwóch organizacji. Wspólne działanie harcerzy i członków Ligi Morskiej przyniosło im obopólne korzyści. Wszelkie imprezy i uroczystości przeprowadzane przez Ligę Morską w latach 1945-1949, a zwłaszcza w corocznym „Święcie Morza”, obchodzonym w Jeleniej Górze w sposób manifestacyjny, odbywały się z licznym udziałem - hufców i drużyn harcerskich. Wiele drużyn w te-

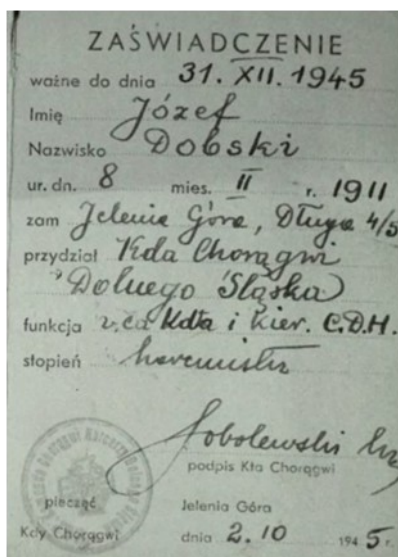
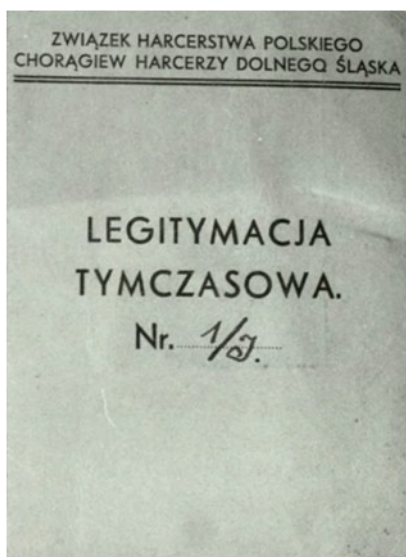
renie pomagało oddziałom i kołom Ligi Morskiej, prowadząc wśród młodzieży i starszego społeczeństwa akcję propagandową i wyjaśniającą, jakie znaczenie i korzyści dla Polski ma odzyskany szeroki dostęp do morza.

Zarząd Okręgu w swej działalności społeczno-kulturalnej występował często z inicjatywą w przeprowadzaniu na terenie miasta wielu akcji, jak np. zorganizowanie w ramach przyjaznych kontaktów pomiędzy Jelenią Górą a Libercem w Czechosłowacji, pierwszych towarzyskich zawodów szachowych. Jednym z organizatorów tych zawodów był harcerz z Kielc, uczęszczający do szkoły średniej w Jeleniej Górze, Stanisław Kuszewski...

Dla młodzieży szkolnej i harcerzy uruchomiliśmy bezpłatne kursy modelarstwa jednostek pływających w wybudowanym baraku na zapleczu Domu Ligi Morskiej przy ulicy Grabowskiego, gdzie odbywały się zjazdy ZOLM oraz stałe kursy nauki języka rosyjskiego i esperanta.



Na zdjęciu Józef Dobski, który na odwrocie zdjęcia napisał: b. komendant Szarych Szeregów na Kielecczyźnie w czasie okupacji niemieckiej



Legitymacja tymczasowa nr 1, podpisana przez K. Sobolewskiego

W kontaktach z młodzieżą wskazywaliśmy na zaszczytny wybór zawodu: marynarza, żeglarza, stoczniowca i projektanta budowy statków. Dla dwóch najzdolniejszych absolwentów szkół średnich, którzy chcieliby poświęcić się studiom na wydziale budowy statków i okrętów na Politechnice Gdańskiej, został utworzony fundusz stypendialny.

Naszym dużym osiągnięciem było przejęcie, wyremontowanie i odpowiednie zagospodarowanie poniemieckiego obiektu rekreacyjnego, położonego nad sztucznym jeziorem przy zaporze wodnej w Pilchowicach, wraz ze sprzętem składającym się z dwóch łodzi motorowych do przewozu turystów po jeziorze... Dla ośrodka zostały zakupione dwie łodzie żaglowe i kilkanaście kajaków, na których szkoliła się młodzież harcerska.

Propaganda o znaczeniu morza dla Polski była uprawiana w oryginalny sposób, np. przez wybudowanie wiosną 1948 roku modelu latarni morskiej o wysokości 15 m na

Placu Bolesława Bieruta, w miejscu, gdzie obecnie stoi pomnik wdzięczności dla Armii Radzieckiej [obecnie parking BZWBK - przypis Adam Solarz]. Było to przedsięwzięcie ryzykowne i angażujące wielu członków organizacji, a nawet wymagało pomocy niektórych zakładów.

Model latarni morskiej został wykonany w konstrukcji drewnianej, z wewnętrznymi schodami, prowadzącymi do górnego tarasu na szczycie wieży. Wewnątrz tej budowli została urządzona wystawa ilustrująca dotychczasowy dorobek jeleniogórskiego Okręgu Ligi Morskiej. Złożyły się na nią eksponaty modeli statków wykonanych przez młodzież, fotografie, wykresy graficzne, materiały wydawnicze i informacyjne o osiągnięciach Polski na morzu oraz odbudowie portów, hasła propagandowe i inne.

Wystawa wypełniła całą przestrzeń latarni od dolnego poziomu do górnego tarasu dookoła otwartej klatki schodowej w ten sposób, że zwiedzający dochodząc do szczytu budowli, mógł zapoznać się z całym przeglądem osiągnięć pionierskich na morzu w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości i przywróceniu Polsce Ziemi Zachodnich i Północnych.

Model latarni przetrwał do 1949 roku i był licznie odwiedzany przez turystów. W budowę latarni i urządzenie jej wnętrza wraz z wystawą fotograficzną i wykresami statystycznymi włożyłem osobiście dużo pracy.

Spośród zasłużonych osób, z którymi współpracowałem w tworzeniu tak prężnej i przodującej organizacji należałoby wymienić: M. Stolarczyka - współzałożyciela i prezesa Zarządu Okręgu, O. Wecsiłego - prezesa sądu i wiceprezesa ZO LM, A. Domereckiego - dyrektora „Społem” i wiceprezesa ZO LM, W. Pozowskiego - komandora Klubu Żeglarskiego, W. Kurbiela - inspektora szkolnego i skarbnika ZO LM, M. Kuskowskiego - radcy prawnego ZO LM. W 1949

roku została przeprowadzona likwidacja Ligi Morskiej w skali ogólnokrajowej i doszło do przejęcia jej majątku przez Ligę Przyjaciół Żołnierza.

*W październiku 1949 roku Zjednoczenie Przemysłu Fermentacyjnego we Wrocławiu powierzyło mi stanowisko dyrektora Państwowego Browaru w Sobótce-Górcie pod Wrocławiem. W związku z tą nominacją, z żalem musiałem się rozstać z piękną Jelenią Górą, która na moich oczach w ciągu czterech lat przeobrażała się z niemieckiego Hirschbergu w rdzennie polskie miasto, stając się ośrodkiem kulturalnym i przemysłowo-handlowym tego regionu...**



Instruktorzy chorągwi: górny rząd od lewej: 9. Sidor Czesław, 15. Józef Dobski; środkowy rząd: 1. Aniela Ostapowicz, 4. Marian Stolarczyk, 5. Kazimierz Sobolewski; dolny rząd: 3. Hanna Planetowa, 6. Zygmunt Szafran (1945 rok)

* „Harcerstwo” (miesięcznik ZHP) 1985, nr 2, s. 35-42 oraz „Zeszyty Historyczne” 1990, nr 4.

Stanisław Kuszewski ćwik

Był zastępowym, członkiem komendy hufca - kierownikiem referatu Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego, przybocznym jeleniogórskiego hufca.

PERŁA

Zalazłem się na terytorium, o którym zapomniała wojna. Po stronach rodzinnych, ubogich i zaniedbanych, do tego zdewastowanych przez front, po mijanych w czasie trzydniowej podróży miejscowościach zamienionych w rumowiska, po ciasnocie i brudzie dworców i pociągów, ujrzałem dostatnie, czyste i porządne miasto, wyglądające tak, jakby z oficjalną wizytą mieli się tu zaraz pojawić wysokiej rangi oficjele państwowi.

Delektowałem się wszystkim po kolei, nawet drobiazgami i tym, że pierwszy raz w życiu zobaczyłem tramwaj, który bardzo mi się spodobał, i tym, że zamiast kocich łbów jezdnie ulic wyłożone były równiuteńką kostką lub też polane asfaltem, i tym, że z fasad kamienic nie sypał się na chodnik tynk, ani nie było na nich zacieków.

Mogłem się przy tym przekonać, że nieprzypadkowo Hirschberg nazywany był „Perłą Karkonoszy”. Uroki podgórskiego krajobrazu, bogata zieleń w samym mieście i na jego obrzeżach, znajdująca się właśnie w apogeum rozwoju - był bowiem początek czerwca - no i wreszcie oryginalny styl dominujący w urbanistyce i architekturze. Kameralna, niewysoka zabudowa, z wyraźną przewagą budynków krytych czerwoną dachówką, brak straszących w innych regionach ponurych, ceglanych koszarów. Najkrócej rzecz ujmując, wyglądało to na duże osiedle willowe, zlokalizowane obok zabytkowej starówki.

Jelenia Góra miała szczęście. Główne uderzenie wojsk Pierwszego Frontu Ukraińskiego w styczniu i lutym 1945 roku, wyprowadzone z rejonu Górnego Śląska, skierowało się na północny zachód. Natomiast południowe obszary Dolnego Śląska, w tym całe Pogórze Sudeckie i Kotlinę Kłodzką, pozostawiono w spokoju. Do Jeleniej Góry, podobnie jak do Kłodzka, czołgi radzieckie wjechały dopiero 9 maja, a więc już po podpisaniu przez Niemców bezwzględnej kapitulacji. Dzięki temu substancja materialna pozostała tu nietknięta.

Wszelako pierwsi polscy osadnicy musieli podolać dyktematom, które gdzie indziej nie miały prawa bytu. Jeżeli bowiem w miejscowościach, które znalazły się na linii głównego kierunku uderzenia, niemiecka ludność masowo uciekała przed frontem, to właśnie Jelenia Góra należała do miejsc, gdzie próbowano się chronić. W związku z tym, do liczącego wówczas ok. 35 tysięcy stałych mieszkańców miasta przybyło co najmniej 17 tysięcy uciekinierów. W odróżnieniu więc od innych, zasiedlonych przez Polaków terenów, tutaj w zasadzie nie było mieszkań opuszczonych przez poprzednich użytkowników. Dlatego kandydaci na pionierów, aby znaleźć dla siebie miejsce, musieli ścieśniać albo i eksmitować poprzednich właścicieli. Innego wyjścia nie było. Z kolei znaczna odległość od województw Polski centralnej i utrudniony dojazd, w połączeniu z faktem, że wszystko tu było całe i wszędzie ktoś mieszkał, czyniły Jelenią Górę terenem mało atrakcyjnym dla niepokochanej gdzie indziej zachłanności szabrowników.

Zwiedziwszy już starówkę i jej najbliższe otoczenie, postanowiłem pojeździć sobie tramwajem. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mi się korzystać z tego środka lokomocji, bez trudu też doceniłem jego walory. Na dobrą sprawę było to coś w rodzaju EKD, czyli kolejki podmiejskiej. Biegło po wąskich uliczkach, jednym torem przez Cieplice do Sobieszowa- Chojnast z pętlami - mijankami w środku trasy.

Dziś już chyba mało kto pamięta, jak brzmiały niemieckie nazwy miejscowości znajdujących się na tym terytorium. Nad tym, jak je najlepiej przechrzcić, długo radziły, chyba głównie we Wrocławiu, liczne komisje składające się z historyków i językoznawców. Rzecz jasna, gdzie było to możliwe, przywracano dawne, słowiańskie brzmienia, którym później gospodarze zmieniali po prostu pisownię.

Dylematy pojawiały się wszędzie tam, gdzie nie udało się odnaleźć słowiańskich korzeni. Nie od razu też znajdowano zadawalające rozwiązania, toteż zdarzały się przypadki, w których „chrzciny” przeprowadzano parokrotnie. Na przykład nim Schreiberhau zostało Szklarską Porębą, co brzmi zgrabnie, było Pisarzewcem. Krummhübel zaś – najpierw Karpatką, a dopiero później został Karpaczem.

Nie najlepiej wiodło się ruinom zamku Kynast. W czasie mojej pierwszej tam bytności, nazywały się „Chojnasty”, dziś jest to Chojnik. A dopisało mi szczęście: właśnie zebrała się dość spora grupa rodaków, co więcej był też tam cicerone, piękną polszczyzną opowiadający o dziejach obiektu wzniesionego ongiś przez Piastów, później przejętego przez mniej swojsko brzmiących Schaffgotschów.

Przewodnikiem okazał się być Edward Kozikowski, pisarz, jeden z pierwszych przedstawicieli tego zawodu na ziemi jeleniogórskiej. Od tego zwiedzania minęło więcej niż pół wieku, dziwić się zatem nie należy, iż z barwnej relacji Kozikowskiego zapamiętałem tylko następującą opowieść.

„Dawno, dawno temu mieszkała tu księżniczka, równie urodziwa, co okrutna. O jej rękę zabiegało wielu znamienitych rycerzy. Ona wymyśliła dla nich drakoński sprawdzian. Mianowicie kandydat na męża musiał konno objechać wąskie i nierówne mury zamczyska, a ponieważ wokół rozciągała się głęboka przepaść, każde potknięcie konia

groziło jeźdźcowi nieuchronną katastrofą. Toteż śmiałkowicie, a nigdy ich nie brakowało, ginęli jeden po drugim. Wreszcie znalazł się jeden, który podolał temu zadaniu. Wszelako zamiast upomnieć się o obiecaną nagrodę, objęchawszy konno mury, bez słowa ruszył w powrotną drogę. Tym oto sposobem dumna księżniczka została na lodzie”.

Cała ta historia zapewne nie zasługiwałaby na obszerniejszą wzmiankę, gdyby nie fakt, że kiedy wiele lat później zwiedzałem podobny obiekt w Gruzji, od oprowadzającego nas po nim przewodnika usłyszałem identyczną opowieść, z tym, że to wszystko, według niego, zdarzyć się miało właśnie u stóp Kaukazu. Do dziś nie umiem sobie odpowiedzieć na pytanie: kto od kogo skopiował ową bajeczkę, która – jak widać – dobrze służyła średniowiecznym kasztelom, oddalonym od siebie o tysiące kilometrów.

Do ojca dotarłem przeto następnego dnia rano. Wprawdzie na mój widok się ucieszył, jednak nie mógł uwolnić się od podejrzenia, iż kilkutygodniowy „urlop” od rodzinnych kłopotów skłonny byłem traktować jak dar losu. Przy okazji wyjaśniło się, czym mianowicie jest ów OUL, czyli Obwodowy Urząd Likwidacyjny, w którym pracował. Była to instytucja zajmująca się gromadzeniem opuszczonego mienia, po to, ażeby później, za niewielką opłatą, udostępnić je ludziom gotowym osiedlić się tutaj na stałe. A było to ważne dla przybyszów zza Bugu, którzy mieli tu do-trzeć z pewnym opóźnieniem.

Obejrzałem więc z zainteresowaniem w magazynach OUL-u stosy wszelkiego dobra: od ubrań, bielizny i pościeli, przez sprzęty gospodarstwa domowego, po cenne antyki. Najpierw zdziwił mnie fakt, że ci, którzy tutaj te skarby dostarczali, nie zawłaszczyli ich dla siebie. Później zorientowałem się, że mój ojciec idealnie nadawał się do pracy w czymś podobnym. Nie tylko był bowiem nieuleczalnym legalistą,

ale i nawet w najcięższych dniach okupacji nie wykształcił w sobie umiejętności kombinowania.

Wielu innych bowiem, znalazłszy się w tym miejscu, potraktowałoby rzecz całą jako swego rodzaju bonanzę: za to, czy można się tutaj obłowić, dałoby się później żyć dostatnio przez wiele lat. Ojciec zaś nie tylko robić tego nie umiał, ale i nie chciał. Okazałem się zresztą jego nieodrodnym synem. Kiedy podczas następnej wizyty jego szef wpuścił mnie do tego skarbcza, pozwalając, abym sobie z niego coś dla siebie wybrał, wyciągnąłem dwie książki.

Jedną z nich był bezcenny dla mnie „Hundbach des Schachspiels” Bilguera – jedno z najgłośniejszych dzieł szachowej literatury [Kuszewski był jednym z organizatorów pierwszego po II wojnie towarzyskiego turnieju szachowego, pomiędzy Libercem w Czechosłowacji a Jelenią Górą – przyp. A.S.], drugą – obszerny słownik łacińsko-niemiecki. Na szefie ojca wywarło to, zdaje się, pewne wrażenie: nie przywykł do tego typu preferencji.

Na razie, jak się okazało, ojciec nie zdołał sobie załatwić własnego mieszkania. Zaprzyjaźnił się z niezwykle sympatycznym człowiekiem, Dominikiem Maciejewskim, później moim nauczycielem śpiewu w gimnazjum. Mówiliśmy o nim „profesor Rybka”, czy raczej „Łybka”, bowiem bardzo pięknie grajserował. Należał więc do tych, dla których prawidłowe wymawianie spółgłoski „r” jest zadaniem niemożliwym do wykonania.

Mieszkali zaś razem, tyle że w lokalu przydzielonym już „Rybce”. Tu też wreszcie mogłem odpocząć po pełnej wrażeń podróży. Tu po raz pierwszy w życiu znalazłem się w wykładanej zielonymi kafelkami łazience, z obszerną, też zielonego koloru wanną, do której z kranów, wedle uznania, mogła się łać nie tylko zimna, ale i gorąca woda.

Rzecz jasna postanowiłem natychmiast skorzystać z tak egzotycznego dla mnie urządzenia, a ponieważ tuż obok, na posadzce, znalazłem butelkę w połowie jeszcze napelnioną nieznanym mi dotąd płynem, a pić mi się chciało, więc zaczęłem sobie z niej pociągać. I nawet nie miałem pojęcia, że oto poznaję smak szampa.

Nie miałem powodu narzekać na początki pobytu w mieście, w którym przyszło mi spędzić kilka najbliższych lat. To, że ojciec trafił właśnie do Jeleniej Góry, mogło być li tylko zbiegiem okoliczności. Zapewne nie miał wpływu na to, gdzie zostanie skierowany, a gdyby nawet mógł sam sobie wybrać, nie wiedział nic o miejscowości, do której się udaje. Los przecież jemu i nam, całej naszej rodzinie, najwyraźniej sprzyjał. Nie wyobrażam sobie miejsca na ziemi, w którym w tamtym czasie – mogłoby nam działać się lepiej.

Co prawda na początku czerwca 1945 roku nie było jeszcze pewności, że tereny te przypadną Polsce. Tę sprawę miała dopiero rozstrzygnąć konferencja w Poczdamie. Wielu ostrożnych zwlekało z decyzją, czy tu właśnie powinni się osiedlać, pesymiści przewidywali nawet konieczność rychłego stąd odwrotu. Nie brakowało jednak zdeterminowanych. Toteż kolonia polska, licząca wówczas zaledwie kilkaset osób, rozrastała się z dnia na dzień. Przy czym każdy polski osadnik, zapewne do dodania sobie kurażu, w oknie domu, w którym znalazł dla siebie kwaterę, wywieszał białoczerwoną chorągiewkę.

Na ulicach zaś, z białymi opaskami na rękawach, Niemcy, niektórzy aż zbyt porządnie na taką okazję ubrani, z miotłami w rękach odprawiali codzienne porządki. Aż chciało się cytować wyglądającą ongiś utopijnie parafrazę naszego kochanego „Mazurka”: „Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie musi, jeszcze Niemiec Polakowi buty czyścić musi”. Butów wprawdzie nie czyścił, ulice natomiast zamiatł, zresztą i nam, i sobie. Tę sekwencję zakończyć by należa-

ło przypomnieniem faktu, o którym wielu dzisiaj wolałoby zapomnieć.

Otóż, jeżeli pomimo braku międzynarodowych ustaleń właśnie przedstawiciele administracji polskiej obejmowali władzę na tych terenach, było to możliwe tylko dlatego, że przekazywali im ją radzieccy komendanci miast. I nie tylko przekazywali, lecz także zabezpieczali jej wykonanie. Przeto każdy, kto chciałby ją zakwestionować, miałby przeciwko sobie radzieckich żołnierzy. Niemcy zaś już dobrze rozumie-
li, że z nimi spierać się nie warto.

Rzecz jasna oficerowie Armii Czerwonej nie działali z własnej inicjatywy. Najwidoczniej „naczelstwo” nie czekając na formalne, międzynarodowe uzgodnienia, postanowiło tu wprowadzić polską administrację jako fakt dokonany.

SZABER

Mój pierwszy pobyt w Jeleniej Górze nie mógł trwać długo, jeżeli bowiem matkę dotąd niepokoił brak wiadomości o ojcu, teraz z pewnością martwiła się już o nas obu. Należało zatem możliwie szybko opowiedzieć jej i o tym, co tu zastałem, i o tym, jakie z tego dla nas wszystkich mogą wynikać następstwa.

Nie mogłem zaś wracać do domu z gołymi rękami. Ojciec, uzyskawszy pełne zrozumienie dla tego u swoich szefów, nabył w swoim OHL-u pokaźny plecak ciuchów, miałem je do Kielc zataścić na swym grzbiecie. Rzeczy zaś, które przywiozłem, matka natychmiast przehandlowała na bazarze, dzięki czemu mogła i całej naszej dzieciarni, i sobie nareszcie kupić coś do jedzenia. Tym faktem przecież chcąc nie chcąc, włączyłem się, jednorazowo, w nabierający z każdym dniem większego rozmachu ruch szabrowników.

Kolejny nasz powrót, tym razem na Ziemię Odzyskaną, wolny był od jakiejkolwiek odświętności. Dokonywał się zaś na dwóch, w pewien sposób konkurujących ze sobą płaszczyznach. Do pierwszej zaliczyć należy aktywność tzw. „czołówek”, kompletowanych z udziałem fachowców z różnych specjalności. Miały one tworzyć zaczątki polskiej administracji a także uruchamiać działalność gospodarczą, po to, ażeby przysposobić te terytoria do przyjęcia repatriantów, czy też – jak kto woli – przesiedleńców ze wschodu. Trzeba było więc zatroszczyć się o to, ażeby mieli gdzie zamieszkać, ażeby zorganizować im tu warunki do podjęcia pracy zarobkowej i uprawy ziemi, i o to, by wyposażyć ich w niezbędne do codziennej egzystencji urządzenia.

A chociaż od początku „czołówki” działały, jak na polskie przyzwyczajenia, zadziwiająco sprawnie i skutecznie, efekty ich poczynań, rzec by można, nie rzucały się w oczy. Tym natomiast, co – zwłaszcza w początkowym okresie – uprzytomniało szerokiej opinii publicznej, iż oto będziemy mieli nowe granice, okazał się szaber.

Kiedy zastanawiałem się, jaką to wobec tego gigantycznego ruchu można by zastosować w miarę precyzyjną definicję, postanowiłem zaproponować taką: szaber było to indywidualne zawłaszczenie – bez zezwolenia władz – mienia pozostawionego na zachodnich terytoriach przez dotychczasowych użytkowników, z zamiarem jego wywozu na już uprzednio przez Polaków zamieszkane tereny.

Mówiąc nad wyraz ogólnie, nie było w tym godności ani nie wyglądało to estetycznie. Zapewne dlatego procederów pomijany jest milczeniem nie tylko w pracach historyków, ale także i we wspomnieniach tzw. pionierów. Zaiste, nie jest to temat zdolny zainspirować literackich piewców historycznego powrotu Polaków na praplastowskie szlaki. Prawda wyglądała tak, że kiedy tylko zaistniały ku temu elementarne możliwości, tabuny naszych rodaków, ruszyły

na zachód, zagarniając wszystko, co znalazło się w polu ich widzenia, a miało jakąkolwiek wartość materialną. Nikomu zaś ani wówczas, ani też dziś do głowy by nie przyszło, ażeby posługiwać się narzędziami, jakie mają do swojej dyspozycji dzisiejsze instytuty badania opinii publicznej, określić, przede wszystkim kim byli uczestnicy owego ruchu, z jakich pochodzili środowisk i miejscowości, jakie penetrowali „łowiska”.

A każdy pociąg z zachodu wyladowany był ponad wszelkie wyobrażalne granice ludźmi, taszczącymi ze sobą olbrzymie toboły. Pozostało tylko domniemywać, że rekrutowali się głównie spośród chłopstwa oraz żyjącego w skrajnym ubóstwie małomiasteczkowego ludu. Głównym motywem musiała być nieokiełzana chciwość i zachłanność, ale także – bardzo często – zwyczajna dążność do biologicznego przetrwania, choćby jeszcze przez tydzień lub parę dni.

Szaber godził przede wszystkim w interesy tych, którzy zamierzali osiedlić się na zachodzie na stałe, zwłaszcza repatriantów zza Bugu, zwłaszcza że oni na pierwsze „połowy” musieli się spóźnić. Ale chociaż był przedsięwzięciem o dużych walorach widowiskowych, rzeczywiste jego skutki były chyba mniej dokuczliwe, niż się to mogło z pozoru wydawać. Ów proces „redystrybucji” samoczynnie hamował bowiem trudne do sforsowania bariery.

Wyprawy piesze, a nawet furmankami, nie wchodziły w grę, bo za daleko. Tabor samochodowy prawie nie istniał. Jeżeli ktoś tam miał nawet do dyspozycji wrak na czterech kółkach, musiał liczyć się z ryzykiem, iż mu kontrole milicyjne cały ładunek zarekwirują, a że cały ruch kołowy był niewielki, tym łatwiej było kontrole przeprowadzać. Pozostawały więc pociągi – tutaj szabru nikt nawet nie próbował ograniczać środkami administracyjnymi, wystarczała niska sprawność naszego kolejnictwa. Że było to żenujące, trudno temu zaprzeczyć.

EKSMISJA

Kiedy ponownie dotarłem do Jeleniej Góry, ojciec wreszcie uzyskał przydział na lokal, który wkrótce stać się miał domem dla naszej rodziny. Mieścił się w centrum miasta. Nie umiem powiedzieć, jak brzmiał nasz adres w dniu, kiedy we trzech: ojciec, urzędnik – przedstawiciel polskiej administracji i ja, wspinaliśmy się po wąskich, drewnianych schodach prawie zabytkowego budynku na drugie piętro.

Drzwi otworzyła nam nawet dość sympatyczna Niemka, osoba w wieku około 45 lat. Weszliśmy do środka. Tu urzędnik odczytał jej decyzję: ma natychmiast opuścić mieszkanie, a wolno jej zabrać ze sobą tyle, ile mieści się na czterokołowym wózku. Jak się okazało dysponowała już pojazdem przygotowanym na podobną ewentualność. Mogła więc powoli, systematycznie zastanawiać się nad każdym przedmiotem i zapłacić ten swój nieduży wehikuł.

Czekaliśmy cierpliwie, a ja, ze zrozumiłą ciekawością, rozglądałem się po mieszkaniu. Było spore: cztery pokoje z kuchnią, wypełnione solidnymi meblami, w szklanych gablotach i kredensach szkło i porcelana, na ścianach makiety i obrazy, na podłogach dywany, w kuchni wszystko, co niezbędne w gospodarstwie domowym, więc naczynia, talerze, sztucce. Ot, po prostu wejść i mieszkać.

Im kobieta dłużej napełniała swój wózek, tym większy ogarniał mnie wstyd. Z formalnego punktu widzenia wszystko było jasne. Po pierwsze to właśnie Niemcy w podobny sposób, zaraz po wojnie, wysiedlali dziesiątki tysięcy Polaków. Po drugie za naszą okupacyjną nędzę należała nam się rekompensata. Po trzecie sytuacja tej kobiety nie uległaby zmianie, gdyby zamiast nas wykwaterował by ją ktokolwiek inny.

Prawda wygląda przecież i tak, że oto pod szyldem dziejowej sprawiedliwości, z nadania już własnej władzy państwowej, zawłaszczając mamy coś, co stanowiło dorobek cudzej pracy, przed nami zaś stał nie jakiś abstrakt, lecz konkretny, być może Bogu ducha winny człowiek. Za winy całej zbiorowości wypłacać się miała wobec nas osoba, która z całym tym minionym draństwem może i nie miała nic wspólnego. Poczulem się głupio. Najchętniej uciekłbym stamtąd możliwie jak najdalej.

Aliści, kiedy wózek był już wypełniony po brzegi, kobieta zapytała, czy może ze sobą zabrać jeszcze jedną pamiątkę. Oczywiście. Sięgnęła wówczas do kredensu i z jego wnętrza wydobyła dużą, oprawioną w ramy i szkło, portretową fotografię. Ukazała nam się uśmiechnięta twarz młodego człowieka w mundurze niemieckiego oficera, nawet nie zauważyłem: Wehrmachtu czy którejś z formacji policyjnych. Zapewne był to jej syn. Mundur zaś niemieckiego oficera natychmiast zagłuszył wszelkie skrupuły. Wydobyta w ostatniej chwili pamiątka ułatwiła nam więc oswojenie się z sytuacją, chociaż, szczerze mówiąc, do dziś nie pozbyłem się wywołanego nią kaca.

Jedynie zaś, co z tego zasiedlenia wspominam raczej dobrze, to pozostawiony przez nią patefon z nagraniem na płytach „Koncertami Branderburskimi” Jana Sebastiana Bacha. Czekał nas jeszcze swoisty epilog. Mianowicie najmniejszy z pokojów zajmowała dotychczas szansonistka z restauracji znajdującej się w sąsiednim budynku. Ona też musiała się wyprowadzić.

Ze spakowaniem rzeczy nie miała problemów, zmieściły się w niedużej walizce. Przed odejściem zaś postanowiła nam cokolwiek zaśpiewać. Zdjąwszy buty, weszła więc na kozetkę, która dotąd zapewne służyła jej za miejsce do spania i wtedy usłyszeliśmy:

*„Es ist alles vorüber, es ist alles vorbei...
Nach einem Dezember kommt ein Mi...”,
czyli:
„Wszystko przeszło, przeminęło,
przecież po grudniu znowu powraca Maj”.*

Pozostało nam tylko życzyć jej, ażeby przemieściwszy się w inne rojony Vaterlandu mogła swój maj tam odnaleźć, co chyba nie musiało być trudne, biorąc pod uwagę i jej urodę, i wokalne umiejętności. A ja mogłem sobie powiedzieć: „Najgorętszą odbył łaźnię”...

Nawiasem mówiąc, nigdy nie zdołałem zrozumieć, czemu to mieszkańcy tak urocze, jak Pogórze Sudeckie, zakątku świata, ludzie zasobni i pracowici, którzy czuć się tutaj powinni jak u Pana Boga za piecem, też dali się opętać demonowi podbojów, gotowi byli mordować, palić, unieczniewiać, poszukując Lebensraumu na opóźnionych cywilizacyjnie, bogatych jedynie w nędzę przestrzeniach Polski, Ukrainy czy Białorusi.

Paradoks zaś chce, że dopiero tutaj, wśród dóbr, które nagromadzili, nauczyłem się doceniać przymioty tego narodu: pracowitość, gospodarność, zamięłowanie do porządku etc. Przecież to, co nam pozostawili, wyprzedzało nas w cywilizacyjnym rozwoju co najmniej o pięćdziesiąt lat.

Dopiero później zaczęło mi świtać, że istota niemieckiego ducha zasadza się na ostrej sprzeczności pomiędzy praktycyzmem a potrzebą dominacji właściwą narodom uważającym się za wybrane. I nigdy nie wiadomo, która z tych dwu skłonności weźmie górę.

To prawda. Niemcy z naszych obecnych Ziem Zachodnich zostali wypędzeni, trudno się też dziwić, że ci, których bezpośrednio dotknęła dyslokacja, mają poczucie doznanej krzywdy. Gwoli prawdy, trzeba jednak podkreślić, iż proces

wysiedlania odbywał się w humanitarnych warunkach, bez brutalności, poniżania i środków bezpośredniego przymusu. Zgodnie potwierdzali ów fakt nadzorujący całe to przedsięwzięcie uczestnicy międzynarodowych komisji.

Właściwie jedyną formą manifestowania wobec Niemców głębokiej dezaprobaty było powszechne na łamach prasy łamanie reguł polskiej ortografii. Otóż – a była to spontaniczna inicjatywa dziennikarzy – przez wiele lat słowo „Niemiec” pisano wyłącznie małą literą. Może to i dziecinada, jednak na czymś trzeba było wyładować emocje nagromadzone w ciągu z górą pięciu lat.

Zachowała się szczerza aż do bólu, „Kronika dni oblężenia Wrocławia” prowadzona w 1945 roku przez proboszcza parafii św. Maurycego, ks. Paula Peikerta. Opowiada ona między innymi o zarządzanej przez Gayleitera Handkiego ewakuacji z miasta ludności cywilnej. Warto przypomnieć fragment tego tekstu:

„[...] terror, z którym organa partyjne realizowały owe zalecenie, skłonił dużą część mieszkańców do ucieczki z Wrocławia. [...] na zatłoczonych ulicach w przejmującym chłdzie zaczęły umierać dzieci i starzy ludzie oraz padać zwierzęta. Gdy rzeka uchodźców trochę się przewaliła i nastąpiła odwilż, sformułowano specjalne oddziały do usuwania zwłok. Ich zadaniem było poszukiwanie trupów ofiar tej obłędnej ucieczki na oblodzonych szosach, w rowach przydrożnych i na polach. Mówi się, że na samym Śląsku znaleziono około dziewięćdziesięciu tysięcy trupów [...]”.

Potwierdza również ks. Paikert, że spustoszenia w mieście, fakt, iż po kapitulacji było właściwie już tylko punktem na mapie wypełnionym stertami gruzów, były dziełem jego zacierzewanionych obrońców, ponieważ – jak sądzili – ruiny spalonych bądź wysadzonych w powietrze budynków stwarzają korzystniejsze warunki stawiania oporu. Tak właśnie

sami Niemcy traktowali i swoich rodaków i dorobek ich wielowiekowej pracy. Czemu o tym nie chcą pamiętać „wypędzeni”?

HARCERSKA DOLA

*Było to dawno, dawno temu... Przychodząc do szkoły, wieszaliśmy nasze płaszcze na korytarzach i nikt ich z wie-
szaków nie kradł – tak właśnie mógłbym zacząć opowiadać
o tym, jak zostałem uczniem Gimnazjum i Liceum im. Stefa-
na Żeromskiego w Jeleniej Górze. Szkołę otwarto w połowie
września 1945 roku, ja zaś należałem do tych, którzy znaleź-
li się w niej najwcześniej.*

*Aby nastrój bajkowej idylli nie zdominował tego frag-
mentu wspomnień, dodam dla porządku, że po paru miesią-
cach cenniejsze z naszych okryć prawie nagminnie stawały
się łupem nieznanymi sprawców, toteż – nim wreszcie
uruchomiono szatnię – płaszcze musieliśmy zabierać ze so-
bą do klasy.*

*Początkowo nie mieliśmy jeszcze pełnej obsady na-
uczycieli, więc naukę niektórych przedmiotów przyszło nam
zaczynać z opóźnieniem, a i plan zajęć nie był w związku
z tym przeładowany. Wszelako zainteresowanie szkołą było
olbrzymie, już wkrótce nasza uczniowska czereda liczyła
ponad 500 osób.*

*Tak masowa podaż kandydatów dobrze ilustrowała
szybkie tempo rozwoju polskiego osadnictwa w Jeleniej Gó-
rze, zainaugurowanego dopiero pod koniec maja. Na szczę-
ście, skądinąd pięknie położony budynek szkoły był dość ob-
szerny, więc wszyscy wygodnie mogli się w nim pomieścić.*

*To zaś, o czym chciałbym powiedzieć, dotyczy przede
wszystkim „roczników pionierskich”, a rozumiem pod tym
określeniem grupę uczniów związanych ze szkołą od jej*

pierwszych dni, zdających maturę w latach 1948-1950, szarogęsili się przeto w jej murach po 3 i po 4 lata. Szczęśliwym zaś dla nas zrządzeniem losu trafiliśmy na czas, w którym spotkaliśmy w szkole nietuzinkowe osobowości.

Najpierw, dla porządku, przypomnieć by należało, iż nie była to wówczas jedyna szkoła średnia w mieście. Działały bowiem także Liceum Pedagogiczne i Liceum Elektryczne (albo może Technologiczne – nie pamiętam jego ówczesnej nazwy), jednak to „żeromszczacy” stanowili elitę jeleńiogórskiej młodzieży.

Ów termin „elita” wymaga, rzecz jasna, rozszyfrowania, bowiem dostęp do szkoły otwarty był dla każdego, kto chciał się uczyć i miał ku temu niezbędne przygotowanie. Nie istniały przy tym bariery socjalne czy materialne. Pobieranie nauki nie wymagało socjalnych wydatków. Nawet podręczników nie musieliśmy kupować, z tego choćby powodu, że w zasadzie nie istniały w otaczających nas realiach.

Skoro zatem okazało się, iż w znakomitej większości pochodzimy z rodzin dających się określić jako inteligenckie, wynikało to z prostego faktu, że potrzeba zdobywania przez młodzież wiedzy właśnie w „ogólniaku” była wśród inteligencji niejako odruchem naturalnym, wywiedzionym z tradycji. Natomiast w warstwach – nazwijmy to – plebejskich, świadomość podobnej potrzeby, a także i takiej możliwości, miała się dopiero rozwinąć.

Rzecz jasna szkoła, nauka, musiała być najważniejsza – przyszlismy tu przecież po to, aby się uczyć. Jednak dla wielu z nas najtrwalszym wspomnieniem tego czasu okazało się harcerstwo, które rozwinęło się na bazie szkolnej wspólnoty. Harcerstwo – piękna, niepowtarzalna przygoda naszej młodości. Ja sam nie pamiętam, jak się to nasze jeleńiogórskie harcerstwo zaczęło, doszłusowałem do niego bowiem dopiero pod koniec 1945 roku, kiedy podstawowe

struktury organizacyjne, więc drużyny, były już ukształtowane.

W tym, że u „Żeromskiego” to wszystko sprawnie ruszyło do przodu niemalą zasługę miało dwóch, a może trzech, nieco starszych druhow, którzy już wcześniej zdołali zetknąć się z polskim skautingiem i mieli pewne wyobrażenia o tym, jak coś takiego może funkcjonować. Na pewno byli wśród nich Mieczysław Świątek i Bogdan Kłoskowski, wokół których zaczęły się organizować obie działające w ogólniaku męskie drużyny. Nieco później doszłusował do nich Maciek Zawadzki – należał on do harcerstwa jeszcze podczas okupacji. Kto je zainaugurował wśród dziewcząt, tego dalibóg nie wiem.

Na placu boju nie byliśmy osamotnieni: organizacja działała także i w innych szkołach. Znany ze skrupulatności w rachunkach Sławek Podolak utrzymuje nawet, że w okresie prosperity w szeregach ZHP w Jeleniej Górze znalazło się blisko tysiąc młodych ludzi. Na kończącym naszą „kadencję” obozie w Nowym Śliwnie koło Rewala, było nas wprawdzie 220. Jednak nie wszyscy nasi druhowie mogli wziąć w nim udział. Mimo to ostrożniej będzie szacować, że prawda leży gdzieś pośrodku.

Jedno nie podlega zakwestionowaniu. Już wkrótce miało się okazać, że siłą napędową całego przedsięwzięcia, są „pionierzy” z ogólniaka. Kiedy dziś, po upływie już ponad pół wieku, usiłując zrozumieć okoliczności narodzin i rozwoju tego fenomenu, trudno mi oprzeć się hipotezie, że harcerstwo, jakie uprawialiśmy, istniało już wśród nas jako podświadomie odczuwana potrzeba. Pozostawał więc tylko drobiazg, należało tę potrzebę zmaterializować.

Każdy, kto kiedykolwiek zetknął się z polskim skautingiem, ma – jak sądzę – wystarczającą wiedzę o tym, na czym to może polegać. Zapewne nie dokonaliśmy więc

w tej dziedzinie rewolucyjnych odkryć i innowacji. Spróbujmy mimo to wyjaśnić, jak my je wówczas rozumieliśmy i dlaczego tak nam się ono podobało. Przypomnijmy na początek strofy dawnego hymnu harcerskiego:

„Wszystko, co nasze, Polsce oddamy
W niej tylko życie, więc idziem żyć...
Na jej zew, w bój czy w trud,
Pójdzie rad harcerzy polskich ród!”.

A śpiewaliśmy go nie tylko dla zadośćuczynienia potrzebom tradycji – w sytuacji, w jakiej się tu znaleźliśmy, wyrażał on w pełni i naszą wolę, i nasze najszczerze przekonania.

Jeżeli głęboki patriotyzm przedwojennego skautingu trafił w naszej wspólnocie na szczególnie podatny grunt, wynikało to, jak sadzę, z trzech fundamentalnych przyczyn.

Pierwszą z nich trudno dobitniej wyrazić, niżli cytatem z „inwokacji” – „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Otóż właśnie my wszyscy dopiero co na własnej skórze dotkliwie doświadczyliśmy, jak to jest, kiedy nie ma Polski. Sam pamiętam, i nie ja jeden, płakałem jak przysłowiowy bóbr, kiedy po latach z radiowych głośników znowu w południe można było usłyszeć Hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie, w ślad za nim pierwsze takty „Poloneza A-dur”, na ulicach zaś znowu swobodnie mogły zawisnąć białe-czerwone flagi. I nie było dla nas wówczas istotne, w jaki sposób nasz kraj będzie rządzony.

Po wtóre przybyliśmy na Ziemię Odzyskaną z różnych stron, z różnych środowisk i z różnych powodów czy też konieczności. Zaczynaliśmy tu wszystko niejako od nowa, zaś spoiwem, które pozwalało nam poczuć się wspólnotą, była świadomość więzi narodowej.

Wreszcie po trzecie..., nie wiem, czy istnieje coś, co określa się niekiedy jako „genius loci”, a co nie zawsze wydziela życzliwe wobec przybyszów fluidy. Substancja materialna wokół nas nie była przecież dziełem polskich rąk, chociaż niewiele znajdowało się w niej znaków czy symboli dających się wprost zidentyfikować jako „ciała obce”. Nawet z krajobrazem, niezaprzeczalnie urokliwym, należało się dopiero oswoić. Przeto ta niekiedy nazbyt wyraziście okazywana nasza patriotyczna determinacja w pewnym sensie służyła nam nawet jako środek samoobrony.

Korzystnym zaś zbiegiem okoliczności ojczyzna na tej Odzyskanej Ziemi – tak to przynajmniej pojmowaliśmy – nie wymagała od nas ani nadzwyczajnych poświęceń, ani, tym bardziej, wojowania. Oczekiwała natomiast, abyśmy na terytorium, na które rzuciły nas losy, demonstrowali naszą tu polską obecność i naszą młodzieńczą radość życia. Tym sposobem najlepiej mogliśmy pomóc pokoleniu naszych rodziców, na które spadł główny obowiązek „zrobienia” tu Polski.

Kilkakrotnie użyłem tu określenia „polski skauting”. Jest ono niezbyt dokładne. Nasze rodzime harcerstwo wprawdzie zostało zainspirowane przez angielski skauting i należało do międzynarodowej skautowskiej wspólnoty, jednak było w niej zjawiskiem i wyjątkowym, i niepowtarzalnym, choćby z jednego powodu. Otóż nigdzie indziej nie notowano harcerzy zbrojnie walczących – których przykładem są uczestnicy obrony Katowic czy też członkowie pełnych dramatyzmu Szarych Szeregów. Nam los oszczędził podobnych doświadczeń.

Jeżeli uprzednio wspominałem, że uczniowie ogólniaka okazali się elitą jeleniogórskiej młodzieży (powiedzmy skromniej – byli w niej najliczniej reprezentowani), harcerstwo stało się elitą tej elity. Gromadzili się w nim chłopcy i dziewczęta o ponadprzeciętnej aktywności, silniej niż

*inni odczuwający potrzebę przynależenia do wspólnoty, na-
de wszystko jednak ci, którym niezbędne były przejrzyste
motywacje ideowe.*

*W ogóle, jeżeli jakakolwiek organizacja młodzieżowa
chce pozyskać wartościową klientelę, powinna zaczynać od
obowiązków, nie zaś obiecywania przywilejów. Podstawo-
wymi zasadami, które harcerz powinien był respektować,
było niepalenie papierosów i niepicie alkoholu. Przestrzega-
liśmy tego w sposób rygorystyczny.*

*Tym, co stanowiło dla nas wartość najcenniejszą, był
kodeks moralny, wywiedziony z „Przyrzeczenia” i „Prawa
harcerskiego” w ich przedwojennym brzmieniu. Nawiasem
mówiąc, teksty te już od 1946 roku były przedmiotem róż-
nych, nie zawsze fortunnych manipulacji. A nowe redakcje
różniły się od dawnych gadulstwem i banalnością zapi-
sów. Dostarczone nam „odgórnie”, obowiązujące „Przyrze-
czenie” brzmiało mianowicie tak:*

*„Przyrzekam uroczystie całym życiem dążyć do budo-
wy niepodległej, demokratycznej i sprawiedliwej Polski,
pracować dla dobra powszechnego, postępować szlachetnie
i być posłusznym prawu harcerskiemu. Tak mi dopomóż
Bóg”.*

A „Przyrzeczenie” dawne:

*„Mam szczerą wolę pełnić służbę Bogu i Polsce, nieść
chętnie pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskie-
mu”.*

*Rzecz jasna ani nam się nie śniło dokonywać szczegó-
łowej analizy różnic i podobieństw. Uzналиśmy, że tekst
przedwojenny, prosty, zwięzły, po prostu bardziej nam się
podoba. Zignorowaliśmy przeto wytyczne i aż do 1949 roku
posługiwaliśmy się wyłącznie dawnym tekstem.*

Niestety wraz z upływem czasu większość tekstów polskich przyrzeczeń, ślubowań, rot, uroczystych oświadczeń, nawet zapisów konstytucyjnych – oceniana wedle kryteriów literackiej jakości – wyraźnie się pogarszała. Widać brakowało zrozumienia dla oczywistej, zdawałoby się, prawdy, iż aby rzecz była napisana zwięźle i ładnie, potrzebni byli fachowcy, którzy umieli to robić.

Sprawa Zawiszy wymaga skomentowania, bowiem postać ta, do dziś nie jest należycie spopularyzowana w naszym piśmiennictwie. O Zawiszy wiadomo nam tyle, iż najpierw – w pozytywnym tego słowa znaczeniu – był kondotierem u obcych monarchów, więc zawodowym rycerzem (jak dzisiaj na przykład piłkarze zatrudniający się w zagranicznych klubach), później – powiedzmy w reprezentacji Polski – wyróżnił się w bitwie pod Grunwaldem. Przynajmniej tak to opisuje Sienkiewicz. Wiadomo też, że uchodził za wzór prawości i szlachetnej rywalizacji. Nieznane są natomiast szczegóły jego biografii, które mogłyby zaświadczyć o tych jego przymiotach.

Każdy taki nieostry symbol zawiera w sobie coś, co fachowcy od dramaturgii nazywają niekiedy „luzem interpretacyjnym”, można go wtedy pojmować wedle własnego uznania. Nasza wykładnia była przejrzysta: harcerz miał obowiązek być koleżeński, szczerzy, uczciwy, otwarty i prawdomówny. „Słowo harcerskie” stawało się rodzajem zaklęcia: jeżeli ktoś z nas dawał na coś słowo harcerskie, należało mu zaufać bez zastrzeżeń. Ponadto, jak my to rozumieliśmy, harcerz miał obowiązek być zdyscyplinowany i odpowiedzialny w stosunku do siebie oraz kolegów, którymi kierował w zastępie, drużynie, hufcu.

Nasze harcerstwo było rodzajem zabawy, związanej ze ściśle określonym systemem wartości. A gdzieś tam z daleka dochodziły nas echa poglądów twórcy skautingu – Baden Powella, który twierdził (jeszcze nim w tej branży zrodziło

się zawodowstwo), że nawet piłka nożna traktowana poważnie, może być drogą do Królestwa Niebieskiego.

Każda zaś zabawa czy gra wymaga od uczestników zgody na przyjęte uprzednio do wiadomości reguły. Na przykład polskie harcerstwo od dawna fascynowało się etosem wojska, ochoczo adaptując dla swoich potrzeb obowiązujące tam formy zachowań. Więc właśnie na zaczerpniętych z wojska przykładach kształtowaliśmy nasz stosunek do mundurka. Wprawdzie obowiązkowe było to tylko podczas zajęć harcerskich – zbiórek, wycieczek, obozów etc., jednak my przecież nosiliśmy go dumnie na co dzień – na ulicy i nawet w szkole. Podobnie jak w wojsku, spotykając na ulicy innego umundurowanego druha, harcerz salutował, przykładając dwa palce do daszka czapki. Oczywiście obowiązywała zasada, że niższy stopniem miał obowiązek salutować jako pierwszy.

Na wzorach wojskowych oparta była musztra, tyle że odbywała się oczywiście bez broni. Używaliśmy więc identycznych komend, poczynając od „baczność” i „spocznij” poprzez „w dwuszeręgu zbiórka”, „czwórki w prawo zwrot”, „równaj w prawo”, „drużyna na wprost marsz!” itp. Konieczne było „na wprost marsz”. Komenda „naprzód marsz” była błędem w sztuce, albowiem budzić mogła wątpliwości na czyj to przód oddział zamierza maszerować.

Podstawowa różnica polegała na tym, iż my robiliśmy to dobrowolnie. Rzecz jasna zupackie metody tresury odpadały w przedbiegach, albowiem każdy z nas, gdy mu coś przestało dogadzać, mógł w każdej chwili powiedzieć takiemu kandydatowi na kaprala: „Pocałuj mnie tu i tam”, zabrać szmatki i wrócić na swoje podwórko.

Bez musztry zaś obejść się nie mogło. Jej efekty stawały się aż nadto widoczne, kiedy na przykład drużyna w szyku zwartym wychodziła na ulice miasta. Zazwyczaj po-

dobne przemarsze wiązały się z jakimś konkretnym pretekstem, jednak bywało, że po prostu opanowywała nas czasem chęć pokazania się mieszkańcom.



Zbiórka na placu Ratuszowym, po prawej S. Kuszewski

Wtedy ochoczo ruszaliśmy w Jelenią Górę, śpiewając popularne piosenki marszowe. Ci z nas, którzy opanowali sztukę gry na fanfarach lub walenie w werble, mieli zaś szerokie pole do popisu. I na fanfarach i na werblach wykonywaliśmy „standardy” wojskowe. Własna twórczość w tym względzie jakoś nie była nam potrzebna.

Noszenie mundurka traktowaliśmy jako przywilej,

a ponieważ każdy z nas miał tarczę z numerem drużyny, na szyi zaś chustę w wybranych przez drużynę barwach, reprezentował już nie tylko harcerstwo w ogóle, lecz i konkretną jednostkę organizacyjną, w związku z czym od jego zachowania się w miejscach publicznych zależała także reputacja zespołu, do którego należał. W rezultacie harcerz w mieście przyjmowany był przez przechodniów życzliwie. Albowiem jego mundur budził zaufanie.

Poza wszystkim zaś i ów swoisty kult stroju i te nasze „prywatne” defilady, wspierane intensywną oprawą dźwiękową, po latach okupacji utwierdzały nas samych w przekonaniu, że nareszcie wolno nam publicznie manifestować naszą polskość.

Z „wojskowego światopoglądu” zapożyczyliśmy jeszcze dwa inne ważne elementy. Po pierwsze uważaliśmy się za organizację rozkazodawczą, tzn. było jasne, że podkomendny ma obowiązek wykonać rozkaz wydany przez zwierzchnika, po drugie, uznawaliśmy się za organizację apolityczną. Zdrowy instynkt podpowiadał nam, że trzeba – jak długo tylko okaże się to możliwe – stronić od politycznych sporów dorosłych.

Wiedzieliśmy, że i tak nas kiedyś to nie ominie. Nie ma się jednak do czego spieszyć. Obawialiśmy się bowiem, jak przyszłość dowiodła zasadnie, iż kiedy wda się w tę naszą działalność polityka, całą tę piękną zabawę szlag trafi. Niestety, nie wszędzie w kraju harcerstwo wykazało równie wiele roztropności, a konsekwencje tego później płacić musieliśmy wszyscy.

RYWALIZCJA

Rywalizacja, jak wiadomo, jest siłą napędową wszelkich form ludzkiej aktywności. Nie mogło się przeto bez niej

obyć także i harcerstwo. Trzeba zaś przyznać, że wypracowane jeszcze przez doświadczenia okresu międzywojennego jej reguły w pełni potwierdzały swoją użyteczność.

Rywalizowaliśmy przeto pomiędzy sobą najpierw o stopnie. Szeregowy harcerz dążył do tego, ażeby najpierw zostać młodzikiem, następnie zaś wywiadowcą, ćwikiem, harcerzem orlim i harcerzem Rzeczypospolitej. Osiągnięcie każdego z tych szczytów obwarowane było koniecznymi do spełnienia warunkami, ale też i sukces natychmiast znajdował uzewnętrznienie na podstawowej odznace – Krzyżu Harcerskim.

Dla przykładu ćwikowi, a była to już ranga dość wysoka, przysługiwała pozłocona lilijka w centralnym punkcie tego Krzyża. Harcerz orli pozyskiwał jeszcze prawo do poozłacanej otoczki wokół lilijki. Stopień harcerza Rzeczypospolitej oznaczony był złotą: lilijką, kręgiem i wieńcem nabitymi na Krzyżu Harcerskim. Tak więc postępy każdego poczynione w tej grze-zabawie znajdowały łatwe do rozpoznania potwierdzenie.

Następnie rywalizowaliśmy o funkcje. Każdy chciał być najpierw zastępowym, więc mieć pod swoją komendą grupę kolegów, ale też jednocześnie nabywał prawo do noszenia brązowego sznura na lewym ramieniu. Również i kolejne godności: przybocznego drużyny, drużynowego, członka komendy hufca, poza faktem, że określały miejsce osiągnięte w harcerskiej hierarchii, znajdowały potwierdzenie w kolorze sznura oraz sposobie, w jaki wolno było go nosić.

Istniała ponadto niezliczona ilość możliwych do zdobycia sprawności, przy czym każda miała swój symbol, uwidoczniony na krążku materiału naszywanym ma lewym rękawie. Im zaś było tych krążków więcej, tym oczywiście i większy dla ich posiadacza powód do satysfakcji.

Nieustannie rywalizowały także pomiędzy sobą zastępy, każdy chciał być najlepszy w swojej drużynie, a także drużyny, z których każda chciała być najlepsza w hufcu. Najważniejsze zaś, iż odbywało się to wszystko fair, w atmosferze koleżeństwa, a nawet przyjaźni.

W naszym ogólniaku działały na przykład dwie męskie i dwie żeńskie drużyny. Nie było przy tym oddzielnych dla nich zasad rekrutacji. Więc konkurenci czy też rywale spotykali się codziennie w tych samych klasach i nawet w tych samych, obok siebie ławkach. Przeto nic nie mogło zakłócić naszego poczucia przynależności do jednej wspólnoty.

Nic dotąd nie mówiłem o naszym żeńskim harcerstwie, bo i zbyt mało wiem, czym się nasze drużyny zajmowały. Jedno jest pewne, to właśnie one stanowiły dla nas najcenniejsze, bo kompetentne, audytorium. One bowiem najlepiej rozumiały, co oznacza kolejny dodatek do Krzyża Harcerskiego, każda zmiana barwy noszonego sznura, każde nowe kółko poświadczające o zdobytej sprawności. Więc rywalizowaliśmy tym ambitniej, zabiegając właśnie o ich uznanie.

Były to zaś znakomite dziewczyny. Nie tylko ze względu na urodę i wdzięk, ale nade wszystko piękne charaktery. Podkochiwaliśmy się więc w nich na zabój, bo nie dało się inaczej. Chodziło zaś o „miłowanie” w stylu prawie sienkiewiczowskim, zakładające, iż dziewczyna jest gatunkiem człowieka ulepionym ze szlachetnego kruszcu, winna być zatem obiektem adoracji, ale już pomysł, ażeby traktować ją jako potencjalną partnerkę seksualną, zakrawał bez mała na świętokradztwo.

Więc odbywało się to najczęściej tak... Za Miską Samolewską, która miała wówczas u nas powodzenie, szkolną teczkę odnosiliśmy, a raczej odwoziliśmy (mieszkała w Sobieszowie, kawał drogi tramwajem) do domu nawet we

trzech – połowa komendy hufca. Bo tak naprawdę, choć rówieśnicy, a może właśnie dlatego, że rówieśnicy, byliśmy po prostu dla nich za młodzi. Toteż za mąż wychodziły dopiero podczas studiów, za mężczyzn dojrzałych.

ZBIÓRKI

Tradycyjnie głównym wyróżnikiem harcerskiej aktywności było poszukiwanie bliskich więzi z przyrodą. A służyły temu celowi m.in. wycieczki, różne gry terenowe, no i przede wszystkim obozy, zwłaszcza letnie.

Aby zaś to wszystko mogło się odbywać sprawnie i bezpiecznie, opanować należało wiele niezbędnych umiejętności. I właśnie to było głównym tematem naszych zbiorów. Gdyby przecież zapytano mnie, co ja sam z tego harcerstwa najlepiej wspominam, odpowiedziałbym – i chyba nie ja jeden – wspólne śpiewanie. Poza wszystkim, nic lepiej niż wspólne śpiewanie nie sprzyja tworzeniu się poczucia więzi i okazywaniu młodzieńczego optymizmu.

Szczęśliwie trafiliśmy na błogosławione czasy niedorozwoju cywilizacyjnego, kiedy nieznanne były jeszcze tranzystorowe odbiorniki i inne tego typu samograje. Nie było też elektronicznych urządzeń do produkowania gigantycznego hałasu. Nikt z nas wtedy nie był świadom, co mianowicie oznaczają terminy, bez których znajomości młody człowiek nie może dziś porozumiewać się z kolegami. Nie musieliśmy też wiedzieć, jak się aktualnie kształtuje lista przebojów w Pernambuco.

Nie musieliśmy uczestniczyć w masowych spędach nastolatków wpadających w ekstazę, gdy ilość nacierających na nich decybeli zaczyna przekraczać percepcyjne możliwości normalnego osobnika. Nie musieliśmy też, prawie obo-

wiązkowo, małpować wszystkiego, co teraz donoszą nam ze świata apostołowie kiczu. W naszych czasach nawet zwy-
czajne, tzw. klasyczne gitary, nie były jeszcze przedmiotami
powszechnego użytku. Co najwyżej zatem wspierać nas
mógł średniej wielkości akordeon. Wychodziliśmy przeto na
zieloną trawkę, najlepiej na polanę pod lasem, rozpalaliśmy
ognisko i godzinami, zadowoleni, a może nawet i szczęśliwi,
wyśpiewywaliśmy swoje proste, pełne optymizmu, ojczyste
„szlagiery”.

Asortyment przy tym mieliśmy dosyć bogaty. W żela-
znym repertuarze, czyli w stałej eksploatacji, każda z dru-
żyn musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt, a może i osiem-
dziesiąt tytułów. Przy tym, prócz hymnu, o którym mówili-
śmy, jeszcze co najmniej dwie pozycje uznać by należało za
reprezentatywne nie tylko dla naszych upodobań, ale i dla
naszych nastrojów.

Pozwolę sobie tu przypomnieć ich fragmenty:

„Jak dobrze nam zdobywać góry
i młodą piersią chłonać wiatr,
prężnymi stopy deptać chmury
i palce ranić ostrzem skał.

Mieć w uszach szum, mieć w uszach szum
strumieni śpiew, strumieni śpiew,
A w żyłach roztętnioną krew...”.

Można ją było śpiewać, idąc na wycieczkę, albowiem
była to „piosenka marszowa” (pamiętając jednak o tym, że
nie należy śpiewać idąc pod górę). Zamieniliśmy zaś wystę-
pujące w przedwojennym oryginale „ostrze Tatr” na „ostrze
skał”, albowiem Tatry były daleko, zaś ani Karkonosze, ani
Sudety, których kamienie mieliśmy pod stopami, ani rusz
nie chciały się podporządkować potrzebom rytmu.

Inną, bardziej refleksyjną, ale też kwalifikującą się wyłącznie do wykonania na siedząco była piosenka:

*„Z miejsca na miejsce, z wiatrem wtór,
od Dniestru fal, tatrzańskich gór, wszędzie
nas pędzi, wszędzie gna, harcerska dola
radosna.
Ha, ha!”.*

Wprawdzie i Dniestr gdzieś przepadł, i Tatry, które – jak już mówiłem – były dla nas raczej bardziej abstraktem niżli powszechnie dostępną rzeczywistością. Jednakowoż ów powtarzany fragment „wszędzie nas pędzi, wszędzie gna harcerska dola radosna” rekompensował w pełni tę niedogodność.

To, co śpiewaliśmy najchętniej, z grubsza można by podzielić na cztery grupy. Najliczniejszą z nich bez wątpienia stanowiły dawne harcerskie piosenki. Obok dwóch, których fragmenty wyżej zostały zacytowane, oczywiście musiał być nieśmiertelny kanon trzygłosowy „Płonie ognisko w lesie”. A także zgola odmienne w nastroju „Płonie ognisko i szumią knieje”, „Stokrotka polna”, „Gdy już ciemna noc zapada”, „Czerwona róża, biały kwiat” i piosenka o dolnośląskiej harcerce etc.

Drugą stanowiły pozycje dziś zapewne dające się zakwalifikować jako szanty, więc: „Morze, nasze morze”, „Wesoła marynarska wiara”, „Pod żaglami Zawiszy”, „Chłopcy, ahój!”. To skądinąd zdumiewające. Mały kawałek wybrzeża przed wojną zaowocował tyloma popularnymi utworami!

Trzecia grupa to piosenki patriotyczne, np. „O mój rozmarynie” czy „Rozkwitały pęki białych róż”. Głównie jednak pieśni partyzanckie i rodem z powstania warszawskiego, np. „Marsz Mokotowa”, „Pałacyk Michla”, „Serce w plecaku”

czy „Rozszumiały się wierzby płaczące”. Wreszcie na koniec wiecznotrwale „Czerwony pas” czy też „Na zielonej Ukrainie”. Śpiewaliśmy i było nam dobrze.

Zimą, kiedy ogniska urządzać było trudno, organizowaliśmy w harcówce kominki bądź też niekiedy w auli szkolnej nawet i wieczornice, bywało, że z dość ambitnym programem. Zdarzały się tam także i własnej produkcji teksty satyryczne, występował nasz chór rewelersów (w nieco wzmocnionym ilościowo składzie), jak na potrzeby podobnych imprez, całkiem niezły.

Wydarzeniem zaś, które szczególnie dobrze zapamiętałem, było wykonanie przez nas po raz pierwszy w Jeleniej Górze nieśpiewanych dotąd „Czerwonych maków spod Monte Cassino”. A, że i utwór mocny, i my wykonaliśmy go z zaangażowaniem, tak silne na obecnych wywarło to wrażenie, iż jeden z widzów zasłabł i musiano go wynieść z sali na korytarz. Co prawda, choć był to nasz rówieśnik, nikt go przecież dotąd w szkole nie widywał, przeto podejrzewaliśmy nawet, że znalazł się tutaj nie całkiem prywatnie. Paradoks sprawił, że to właśnie jego najmocniej „wzięło”.

My, konsekwentnie przestrzegając naszej neutralności, wkrótce potem odśpiewaliśmy „Szumi dokoła las”, uprzedzając zasadę, która oficjalną doktryną ZBOWiD-owską miała stać się dopiero po 1956 roku – że krew przelana za Polskę, gdziekolwiek miało to miejsce, równą ma cenę...

Nieustannie otaczają nas roje różnych papierków, toteż zazwyczaj chętnie się od nich uwalniamy. Skutki zaś później bywają i takie, że potrzebnych materiałów czy też dokumentów brakuje później w domowych archiwach, zachowują się tam natomiast szpargały, które ani nam było w głowie kolekcjonować.

Ale oto niedawno, kiedy po raz kolejny przeprowadziłem u siebie czystkę, znalazłem nieoczekiwanie kilka bez sensu zachowanych konspektów tych dawnych kominków. I otóż, ku mojemu głębokiemu zdziwieniu, bo o tym nie pamiętałem, okazało się z nich, że w programach naszych spotkań, jeżeli nie w wykonywanych piosenkach, to w tzw. konferansjerce, nieustannie przewijały się motywy związane z doświadczeniami okresu wojny. Zapewne wielu z nas długo jeszcze miały prześladować okupacyjne zmory. Zatem to nasze ostentacyjne radosne harcerstwo było chyba także rodzajem zbiorowej psychoterapii.

Nasze harcerstwo stawało się możliwe dzięki temu, iż istniała szkoła, taka właśnie a nie inna, z kolei o przyjaznej w tej szkole dla uczniów atmosferze w niemalym stopniu decydowało istnienie w niej naszego harcerstwa. Być może niepowtarzalny urok tego, co mogliśmy wyczyniać w Jeleniej Górze, wynikał z ogólnego niedopatrzenia. Byliśmy, bowiem jak najbardziej autentyczni i samorządni, robiliśmy to, na co mieliśmy ochotę, a co wydawało nam się dobre i pożyteczne, i nikt nam w tym nie przeszkadzał.

Teoretycznie istniały władze ZHP. Kwatera Główna w Warszawie, a Komenda Chorągwi we Wrocławiu, nikt nam jednak nie przekazywał instrukcji ani wytycznych, nikomu nie składaliśmy sprawozdań, nawet jeżeli sobie tego życzył, nikt nas nie kontrolował. Nie wtrącała się do nas szkoła – nie istniała przecież instytucja pedagoga-opiekuna. Jeżeli coś nam było potrzebne, maszerowaliśmy prosto do dyrektora, wiedząc, że udzieli nam pomocy. Niczego od nas nie chciał Inspektorat Oświaty. Nie odczuwaliśmy obecności instytucji politycznych.

Rodzice ufając naszej dorosłości, pozostawiali nam wolną rękę, budząc się tylko raz w roku, kiedy trzeba było wyłożyć forszę na organizację obozu. Nawet, strach się przyznać, nie mieliśmy własnego kapelana.

Był wprawdzie mianowany przez komendę chorągwi hufcowy, druh Tadeusz Markiewicz, skądinąd miły człowiek, starszy od nas o kilka lat, ale zdaje się ideałem dla niego była monarchia brytyjska, a więc zasada: panować, ale nie rządzić. Nie mogliśmy na niego narzekać. Wprawdzie unikał brania na siebie za cokolwiek odpowiedzialności, a już tym bardziej przejawiania własnej inicjatywy, tym jednak, gdzie ze względów formalnych jego podpis był nieodzowny, tego podpisu nam nie odmawiał, nie unikając zbytnio w szczegóły.

Władza w hufcu spoczywała więc w rękach grupy osiemnastolatków pochodzących prawie wyłącznie z „Żeromszcza”, którzy sami dzielili między siebie funkcje i bezkolizyjnie – z rąk do rąk, jak w dobrze wytrenowanej sztafecie, wzajemnie przekazywali sobie odpowiednie uprawnienia. A ów desant naszej grupy na hufiec, nie był aktem uzurpacji, ale wynikiem faktu, że byliśmy akceptowanymi przez tę naszą harcerską zbiorowość liderami. Zresztą rozkazodawstwo rozkazodawstwem, tymczasem wszelkie ważne decyzje podejmowaliśmy w sposób demokratyczny i to po uprzednim ich uzgodnieniu z zainteresowanymi.

PODCHODY

Być może obraz jeleniogórskiego harcerstwa, jak wcześniej próbowałem go nakreślić, choć właśnie sami tak je odbieraliśmy, jest nieco przeidealizowany. Pewne fakty są jednak bezsporne. Najpierw, zgódźmy się, gdyby nie atrakcyjność dla młodzieży, nie byłoby tak liczne. Po wtóre, bezspornym dla nas atutem była życzliwość otoczenia. Każdy, do kogo się zwracaliśmy, chętnie udzielał nam pomocy.

Nie było więc żadnych problemów z uzyskaniem dogodnej lokalizacji na obóz czy zorganizowaniem środków transportu (kolej). Od wojska otrzymywaliśmy znakomite

namioty, inspektorat oświaty na te obozy przydzielał nam dotacje – niezbyt wysokie, ale przydzielał, skutecznie też interweniował na naszą korzyść, gdy powstawały problemy z zaopatrzeniem w artykuły żywnościowe. W szkole pozwalamo nam prawie na wszystko, a już na pewno na korzystanie z jej pomieszczeń, z reprezentacyjną aulą włącznie itp.

Choć zapewne ów przychylny dla nas klimat brał się z sympatii dla samej idei harcerstwa, chyba jednak zawdzięczaliśmy go także i naszej postawie. Budziliśmy zaufanie, ponieważ wykazywaliśmy poczucie odpowiedzialności. Wkrótce, wszakże mieliśmy się dowiedzieć, że nie wszędzie w kraju wygląda to idyllicznie, bo też i nie wszędzie tak jak u nas, pojmowano i przywileje, i powinności harcerstwa.

Najdobitniej zaś mogliśmy się o tym przekonać podczas wyprawy na zorganizowaną w dniach 12-14 kwietnia 1946 roku w Szczecinie imprezę „Trzymamy straż nad Odrą”. Ściągnęły na nią liczne rzesze członków wszystkich organizacji młodzieżowych – w sumie było tego bractwa kilkanaście tysięcy, w tym nasza jeleniogórska grupa licząca około czterdziestu osób. W manifestacji, oprócz ZHP, ZWM i OM TUR-u uczestniczyli także dorośli z PPR, PPS i PSL.

Kiedy wieczorem, podczas olbrzymiego wiecu przemawiał Bolesław Bierut, zagłuszała go zorganizowana wrzawa – okrzyki na cześć Mikołajczyka. Wyróżniali się w niej przede wszystkim druhowie z chorągwi Kieleckiej, którzy ponadto, demonstrując niemałe fizyczne możliwości, po wielokroć podrzucali w górę tzw. „demokratkę”, czyli Chevroleta z prezesem w środku.

Tak się zaś złożyło, że znałem niektórych głównych, bohaterów tych zajęć – druhow z Kieleckiej chorągwi. Widywałem ich bowiem podczas okupacji, kiedy to w każdy wiosenny czy też letni weekend jeździli pociągiem z Kielc do Słowika pięknie śpiewając, przy akompaniamencie gitar naj-

modniejsze wówczas przeboje typu np. „O bella mia Napoli”. Jednak każde dziecko w okolicy wiedziało, że nie chodzi tu o żaden piknik, ale o odbywające się w pobliskich lasach szkolenie AK-owskiej podchorążówki.

Tedy, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, byłem podchorążym wydano polecenie służbowe, ażeby – gdzie to tylko jest możliwe – wchodzić grupowo w legalnie istniejące struktury. Tam mieli czekać na dogodne okazje do poczynań innego rodzaju. Więc, moi dobrzy znajomi, którzy biologiczne dzieciństwo już dawno mieli za sobą, znowu wcisnęli się w krótkie, harcerskie spodenki.

Staraliśmy się nie uczestniczyć w politykowaniu W naszych domach, w rozmowach z młodzieżą, tematy z polityką związane pojawiały się rzadko. Nie mogło przecież ulegać wątpliwości, że sympatie naszych starszusków (tkwiliśmy przecież w środowisku inteligenckim) wiązały się z PSL.

Wystarczyło zresztą przespacerować się po ulicach wieczorem, w odpowiedniej porze, aby z wielu mieszkań, nawet spoza zamkniętych okien, usłyszeć z radioodbiorników znajome: „Bum, bum, bum, bum... Tu mówi Londyn. Nadajemy wiadomości dobre i złe, ale zawsze prawdziwe”. Anglicy uprządkują Jeleniej Górę dać nam nie chcieli, w zamian za to nie żalowali pieniędzy, aby podtrzymać nas na duchu w stawianiu oporu komunistycznemu reżimowi.

W takich oto okolicznościach, jeszcze w maju 1946 roku, naszej drużynie przytrafiła się rzadka okazja spotkania z samym prezesem Mikołajczykiem. Otóż w Cieplicach miał swoją siedzibę Wojewódzki Urząd Ziemski. Nie wiem dokładnie, czym się ów WUZ zajmował, a pewno była to instytucja zasobna. Na przykład jej ambitni szefowie występując w roli – jakby to dzisiaj nazwali – sponsora strategicznego, zdołali ściągnąć do Jeleniej Góry rezerwy chorzowskiego „Ruchu” – bodaj najlepszej w tym czasie pol-

skiej drużyny piłkarskiej. „Rezerwiści” występując już pod szyldem „WUZ Cieplice”, toczyli na naszym stadionie zwycięskie pojedynki z czołówką krajowego futbolu.

Tenże WUZ (Urząd Ziemski nie drużyna piłkarska) uchodził za jeden z bastionów PSL, toteż przyjazd tu Stanisława Mikołajczyka nie mógł być dla nikogo zaskoczeniem. Otóż WUZ-owcy, chcąc zapewnić dostojnemu gościowi przyjemny relaks w godzinach wieczornych, umyślili sobie ściągnąć jedną z naszych drużyn, aby w obszernych ogrodach pomiędzy kompleksem zabudowań wystąpiła z harcerskim ogniskiem.

W ogólniaku działały dwie męskie drużyny: „Dwójka” i „Dwudziesta Druga”. Ja byłem w „Dwudziestej Drugiej”. Nie wiem, czemu zawdzięczać, że na tę imprezę wybrano naszą „Dwudziestą Drugą”. Być może nasz drużynowy miał jakieś koneksje wśród organizatorów. Ale to właśnie my wystąpiliśmy przed szacowną publicznością (30-40 osób), wśród której na honorowym miejscu znalazł się właśnie prezes. Nawiasem mówiąc, oblegany był przez urodziwe kobiety, które garnęły się do niego prawie tak jak dziś nastolatki do jakiegoś idola muzyki popowej. Nie było jednak widać, ażeby bohater wieczoru za bardzo się tym przejmował.

A że w naszej drużynie właśnie ja, prawie etatowo, byłem na ogniskach wodzirejem, więc i tym razem ułożywszy repertuar, kierowałem jego wykonaniem. Program zresztą zaproponowaliśmy standardowy, bez jakichkolwiek aktualnych akcentów. Ot zwyczajne nasze harcerskie piosenki i od dawna eksploatowane naiwne ogniskowe blackauty.

Z tytułu wykonywanej funkcji stałem blisko prezesa i mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Pamiętam jednak tyle, że był niewysoki i sprawiał wrażenie zmęczonego. Nie wyglądał na wulkan energii. Był z nami wprawdzie dość długo, chyba jednak nie dotrwał do końca imprezy.

Później miało się okazać, że nasz występ nie był bezinteresowny. Otrzymaliśmy bowiem z WUZ-u na przygotowany właśnie obóz dotację w wysokości bodaj 10 tysięcy złotych. Stanowiło to znaczące uzupełnienie gromadzonych przez nas na obóz w Szklarskiej Porębie zasobów. Choćby więc z tego powodu powinienem więc dobrze wspominać samo ognisko i osobę naszego gościa. Gdy zaś „prezes szczoteczka” nagle opuścił kraj, przez tzw. reżimową propagandę uznany został za „wroga ludu”, opisywaną imprezą chwalić się było niezręcznie, choć przecież byliśmy gotowi dzielić się naszymi piosenkami i naszą beztroską z każdym, kto wraz z nami chciał wziąć udział w zabawie.



Obóz 22 Lotniczej DDH w Szklarskiej Porębie; od lewej: 1. S. Kuszewski, 2. A. Kłodnicki, 4. M. Grabowski, 5. B. Kłoskowski (1946 rok)

To spotkanie na pewien czas wyczerpało limit naszych kontaktów ze światem wielkiej polityki, można więc było powrócić do harcerskiej codzienności. Zaczniemy zaś od raczej bezdyskusyjnego stwierdzenia, że pożar jest w stanie wywołać każdy idiota. Najprostszym, dobrze wypróbowanym na to sposobem, jest dać dziecku zapalki aby miało się

czym bawić. Natomiast kompetentne rozpalać harcerskiego ogniska w taki sposób, ażeby teren, na którym się ono odbywa, nadawał się później do normalnego użytku, wymaga już pewnych umiejętności.

Oczywiście ognisko to tylko kropla w morzu kwalifikacji, jakie każdemu z nas były niezbędne do tego, ażeby biwak, obóz czy gra terenowa przebiegały bezpiecznie i dostarczały oczekiwanych przyjemności. A nie wystarczyło ustawić namioty, zbudować kuchnię, jadalnię, latrynę etc. Trzeba jeszcze było zorganizować w tym wszystkim atrakcyjny program zajęć. Gdy zbierze się gromada młokosów, nie wolno pozwolić, żeby się nudzili, ponieważ nic dobrego z tego nie wyniknie.

Potrzebne doświadczenia zdobywaliśmy przez cały rok podczas cotygodniowych zbiórek. Uczestnicząc w grach terenowych, harcerz musi umieć czytać mapę, posługiwać się kompasem, w razie potrzeby sporządzić szkic sytuacyjny, że zaś telefonów komórkowych jeszcze nie znano, dla porozumiewania się na odległość używaliśmy alfabetu Morse'a.

Właściwie jeden mieliśmy nad sobą (każda drużyna) organ nadzoru – było nim Koło Przyjaciół Harcerstwa, czyli zgromadzenie naszych rodziców. Przypominali zaś sobie o nas chyba nie wcześniej niż raz w roku, kiedy drużyna wybierała się na obóz, w związku z czym nasi rodzice musieli ponieść jakieś tam wydatki. Wpłaty uczestników stanowiły bowiem fundament obozowego budżetu. Ażeby skłonić naszych staruszków do poszperania w portfelach, należało im jednak udowodnić, że proponujemy sensownie wyglądającą lokalizację, mamy niezbędny sprzęt (głównie namioty) i będziemy w stanie zapewnić odpowiednie wyżywienie.

Otóż „Dwudziesta Druga” drużyna wybierając się do Szklarskiej Poręby, właśnie dzięki Kołu Przyjaciół Harcerstwa pozyskała niezwykle cenną dla nas druhnę. By-

ła nią nasza matka, która zadeklarowała gotowość zaopiekowania się obozową kuchnią, co pozostali przyjaciele harcerstwa przyjęli ze zrozumiałą aprobatą.

Było nas w tej drużynie trzech braci: oprócz mnie Marek (młodszy o prawie pięć lat), Jarosław, czyli Sławek (młodszy o siedem). Jak pamiętam, zawsze chodzili za mną, krok w krok. Kiedy zostałem harcerzem, oni też, kiedy zacząłem ćwiczyć szermierkę, oni też. Matka zaś wybierając się z nami na obozy (bo i później czyniła to kilkakrotnie), zachowywała nad nami kontrolę, kosztem pracy, jaką wykonywać musiała w związku z przyjętymi zobowiązaniami.

Proste prace typu rozpalanie ognia pod kuchnią, szorowanie kotłów, obieranie ziemniaków, krajanie chleba etc. zawsze wykonywał zastęp służbowy. Doboru odpowiedniego menu, gotowania i przyprawiania potraw dokonywała nasza rodzicielka, dzięki czemu jedzenie mieliśmy zdrowe, smaczne i urozmaicone.

Obóz w Szklarskiej Porębie uznaliśmy później wszyscy za nader udany, boję się, że szczegółowa relacja o jego przebiegu nikogo nie zainteresuje, ograniczę się przeto do opisu jednego tylko, niepozbawionego dramatu, incydentu. Jedną z najbardziej popularnych gier harcerskich były tak zwane podchody. Polegały one na tym, żeby nocą podkraść się pod obóz innej drużyny i jeśli tam wartownicy zamiast „wartować” posnęli, wolno było kolegom ściągnąć z masztu flagę i zabrać ją jako trofeum.

Szklarska Poręba była w tym czasie dla harcerzy terytorium nader atrakcyjnym – latem 1946 roku zorganizowano w jej okolicach aż 12 obozów. Nie pamiętam, dlaczego właśnie wybraliśmy się na podobną wyprawę do drużyny czy też hufca ze Stalowej Woli. Rozbili oni namioty w sporej od nas odległości. Wprawdzie miejsce akcji mieliśmy wcześniej dobrze rozpoznane, wysłaliśmy tam bowiem

zwiadowców, mimo to dotarcie tam nocą, przez lasy i bezdroża łatwe nie było. Wymagało pewnej wprawy w poruszaniu się w terenie. Cel udało nam się osiągnąć.

Na miejscu okazało się, że wprawdzie wszyscy twar-
do i smacznie śpią, flaga na maszcie była jednak, jeśli tak
rzec wolno, zagwożdżona i w żaden sposób nie dało się jej
zdjąć. Nie sposób zaś wracać z podobnej eskapady z pustymi
rękami, powstał więc problem, w jaki sposób możemy
poświadczyć swój sukces.

Ściągnęliśmy najpierw pisma rozwieszone na tablicy
rozkazów. To jednak nie wystarczyło. Zwróciliśmy przeto
uwagę na stojącą przy wejściu do obozu budkę wartownika.
Była to konstrukcja efektowna, ale i sporych rozmiarów. Na
dość grubym balu, trzymetrowej prawie wysokości, znajdował
się misternie upleciony z materiałów trzciniopodobnych
daszek. No i postanowiliśmy im zabrać to cacko. Wycią-
gniętą z ziemi taszczyliśmy po ciemku przez las do naszej
siedziby. Teraz miała przyozdabiać bramę naszego obozu.

Na odchodnym jeszcze powyciągaliśmy im śladzie
z jednego z namiotów, więc zwałił się jego lokatorom na
głowy. Urządziliśmy im przeto alarm nocny przekonani, iż
nim zorientują się w czym rzecz, my już będziemy daleko.
Długo przeszukiwali okolicę, chcąc ustalić, kto im podpro-
wadził tę budkę. Bo i faktycznie dać sobie zabrać coś ta-
kiego nie mogło być powodem do chluby.

Kiedy nas wreszcie wypatrzyli, zaczęły się kontrapod-
chody. Nasi wartownicy byli jednak czujni. Harcerze z prze-
ciwnego obozu nie wytrzymaawszy wtedy nerwowo, posta-
nowili sprawę załatwić „na siłę”. A przebiegało to tak:

Niedziela koło południa, słońce, ciepło. Nasza drużyna
wybrała się do kościoła na nabożeństwo. W obozie, jako

śłużbowy, pozostał mój zastęp. Przy wejściu do obozu – najmłodszy w zastępie druh Pusławski, dzieciak prawie. Na ramieniu zawieszony miał flower, do którego mieliśmy 2 ostre naboje.

W pewnej chwili zauważyłem maszerującą w naszym kierunku sporą grupę harcerzy. Białe chusty, więc to właśnie Stalowa Wola, bo oni takie nosili. Przewidując drakę, zamieniłem Pusławskiego. Odesłałem go do kuchni. Wartę objąłem sam. „Białe chusty” były coraz bliżej. Z regulaminowej odległości zadałem pytanie: „Stój! Kto idzie?”. Tamci nie zatrzymali się jednak, a ich drużynowy brutalnie mnie odepchnął i wydał rozkaz: „Rozbierać obóz!”.

Jako wartownik, rzecz jasna, nie mogłem do tego dopuścić. Odszedłem więc kilka kroków, zdjęłem flower z ramienia, załadowałem jeden z nabojów tak, aby wszyscy dokładnie to widzieli. Skierowałem lufę w nogi tego, co wydał rozkaz.

– Stać! Jeżeli ktokolwiek się ruszy, strzelam w drużynowego!

Stalowowolcy kierujący się już w stronę naszych namiotów znieruchomieli, czekali, co postanowi ich drużynowy. Ten sondował stan mojej determinacji:

- Nie będziesz strzelał do harcerza?
- Będę! - zapewniłem go solennie.

Drużynowy zwlekał z decyzją, ja zaś postanowiłem, że jeżeli mimo wszystko ruszą, strzelam mu w nogi i wieję do lasu w nadziei, że mnie tam nie dopadną.

Niespodziewanie spoza jednego z naszych namiotów wyłonił się tata Tomka Pusławskiego, z aparatem fotograficznym. Właśnie przyjechał odwiedzić syna.

- *Jestem z Koła Przyjaciół Harcerstwa – powiedział.*
- *Oświadczam, że będę robił zdjęcia.*

Wycelowany w nogi drużynowego małokalibrowy karabinek okazał się w tym momencie mniej skutecznym środkiem perswazji niżli groźba, że tata Pusławski będzie robił zdjęcia, choć nikt nie znał jego umiejętności jako fotografa. Dopiero na takie dictum drużyna ze Stalowej Woli zrezygnowała z agresji. Sam zaś drużynowy, z dwoma jeszcze harcerzami, pozostał w naszym obozie, ale już jako gość.

Kiedy zaś nasi wrócili z kościoła, bez trudu udało się wynegocjować warunki rozejmu. My mianowicie zobowiązaliśmy się odnieść im tę fatalną budkę na uprzednie miejsce. Bądź co bądź była to jednak ich własność. Drużynę ze Stalowej Woli zaprosiliśmy zaś do nas na wspólne ognisko. I tak sprawę w całym tego słowa znaczeniu udało się załatwić śpiewająco.

AWANS

Harcerstwo w takich ośrodkach jak nasz miało także i tę zaletę, iż nieustannie ktoś dotąd wyższy od nas rangą wyjeżdżał na studia, przeto innym otwierały się możliwości szybkiego awansu bez intryg czy zamachu stanu. Dzięki temu i ja po obozie w Szklarskiej Porębie szybko zacząłem piąć się w górę.

Najpierw zostałem przybocznym w drużynie, wkrótce potem członkiem komendy hufca, wreszcie – prawie w wyniku demokratycznych wyborów – przybocznym hufca. Biorąc zaś pod uwagę cechy charakterologiczne podharcmistrza T. Markiewicza, nominalnego szefa całości, oznaczało to, że kierowanie jeleniogórskim harcerstwem w istocie przeszło w moje ręce.

Co prawda nie przemęczałem się na tym posterunku. Na dobrą sprawę zorganizowaliśmy kilka wspólnych dla hufca imprez, m.in. pierwsze w Jeleniej Górze zawody lekkoatletyczne. No jeszcze udało nam się doprowadzić do tego, że hufiec otrzymał własny sztandar. Jego fundatorem byli nabywcy tzw. gwoździ, czyli metalowych plakietek z nazwiskami ofiarodawców, wbijanymi w drzewce sztandaru. Napewno nie nadużywałem władzy, choćby dlatego, że nie miałem pojęcia, jak to się robi. Zresztą każda drużyna uważała się za jednostkę autonomiczną, sama sobie ustalała program działania i nie było potrzeby do tego się wtrącać.

Zdarzyła się jednak okazja czy też konieczność, ażeby w imieniu jeleniogórskiego harcerstwa wystąpić na forum publicznym. Otóż z okazji rocznicy Światowej Młodzieży Demokratycznej w sali jeleniogórskiego teatru odbyło się spotkanie czy też wiec, a do uczestnictwa w nim zaproszono obok ZWM i OM TUR także i ZHP. Ponieważ nasz hufcowy, druh T. Markiewicz, jak już uprzednio zaznaczyłem, unikał sytuacji, w których musiałby zaprezentować własne stanowisko, przeto na mnie scedował obowiązek wystąpienia w imieniu harcerstwa.

A na widowni, czy to na skutek zbiegu okoliczności, czy też ze świadomego zamysłu inicjatorów, znalazła się głównie młodzież ze szkół średnich. Moi partnerzy z ZWM i OM TUR, z którymi zasiadałem za stołem prezydialnym, mnie jako pierwszego wezwali do tablicy, spodziewając się zapewne, że jeśli powiem coś nie tak, będą mieli okazję mnie skontrolować.

A kiedy – pierwszy raz w życiu na podobnego typu imprezie – w mundurku harcerskim znalazłem się na mównicy, powitany zostałem z niebywałym wręcz entuzjazmem. Toteż dopiero po dłuższej chwili udało mi się uciszyć zebranych i wygłosić moje przemówienie. Było oczywiście, tego aplauzu nie mogłem zaliczyć na swoje konto osobiste – był

on adresowany do harcerstwa jako wyróżnianej przez tę młodzież organizacji.

Przez przypadek, bo nie umiem sobie tego inaczej wytłumaczyć, zaplątał się w moim archiwum tekst, który wówczas wygłosiłem. Zdaje się w pewien sposób spletałem figla spodziewającym się okazji do polemiki uczestnikom spotkania, bowiem po prostu mówiłem na temat.

Przeto najpierw o wojnie, która zabrała nam to, co jest w życiu człowieka najważniejsze – młodość. Myśmy tej niefrasobliwej, sielskiej anielskiej młodości nie mieli. Dalej, że chcemy tego, aby ci, co po nas przyjdą, mieli otwarte szeroko drzwi do wszystkich uczelni, by nie musieli mieszkać wśród gruzów, aby po nocach nie śniły im się wojenne koszmary. Zwróciłem uwagę na to, że światowe harcerstwo od dawna dążyło do tego, aby młodzież całego świata skupiała się wokół hasła „nic nas nie dzieli a wiele nas łączy”. A jeśli dorośli nie umieją się porozumieć, sami musimy doprowadzić do tego, ażeby widmo wojny odeszło od nas na zawsze.

Gdy skończyłem tę niezbyt może odkrywczą, niedającą się przecież zakwestionować tyradę, skwitowały ją znowu gromkie brawa, może już nie tak intensywne jak na wstępie, wystarczająco jednak huczne. Moi współpartnerzy zaplanowali zapewne inną grę. Chcieli skierować dysputę na ideologiczne tematy, tyżące właśnie polskiej współczesności. Wszelako delegat ZWM, który usiłował zainicjować taką ofensywę, miał wyraźnego pecha. Powołując się bowiem na mnie, cokolwiek moją wypowiedź przekręcił. Wypsnęło mu się więc „nic nas nie łączy a wszystko nas dzieli”, co sala skwitowała owacją. Przeto dalej mógł się już nie męczyć. Załatwił się sam.

Wśród uczniów na sali siedział także nasz dyrektor. Jak zwykle niczego nie komentował. Odniosłem jednak wrażenie, że dyskretnie się do mnie uśmiechał, z czego wywnio-

skowałem, że akceptuje moją dyplomację. Jeżeli sporo miejsca poświęciłem temu z pozoru błahemu wydarzeniu, czynię tak dlatego, że otwierało ono nowy rozdział we współistnieniu naszych organizacji młodzieżowych.

Był to bowiem pierwszy krok w ofensywie ideologicznej, nakierowanej nie tylko na harcerstwo, ale na młodzież szkół średnich w ogóle. Nas zaś uznano za ważnego partnera, co miało przecież tę niedogodność, że zagrażało naszej dotychczasowej niezależności i neutralnej postawie w sprawach dotyczących polityki.

Niewiele później doszło we Wrocławskiej Komendzie Chorągwi ZHP do odprawy czy też narady hufcowych i znowu ja musiałem w niej uczestniczyć jako reprezentant Jeleniej Góry. Z wystąpienia zaś komendanta chorągwi wynotowałem sobie trzy podstawowe, merytoryczne postulaty. A więc:

– w związku ze zbliżającymi się wyborami do sejmu, należy trzymać się z daleka od rozgrywek politycznych; gdyby były jakieś w tych sprawach naciski, należy zwracać się o pomoc do chorągwi;

– stanowczo nie dostarczać władzom bezpieczeństwa żądanych spisów i adresów; tego typu żądania, gdyby się pojawiły, Główna Kwatera ZHP uznaje za bezpodstawne;

– nie przyjmować do organizacji chłopców w wieku powyżej 16 lat i nie tworzyć tzw. kręgów i drużyn starszoharcerskich.

Wyglądało więc na to, że zaczyna się płacenie rachunków za Szczecin. Na razie jednak, godząc się na pewne ograniczenia związane z wiekiem wstępujących do ZHP, kwatera główna nadal, łagodnie mówiąc, zaznaczyć chciała dystans wobec instytucji związanych z władzą państwową.

Głównym tematem narady było jednak poszukiwanie pieniędzy. Proponowano tedy mniej lub jeszcze mniej rozsądne sposoby zdobywania środków poprzez działalność gospodarczą. Padło nawet sformułowanie: „harcerz może wyciągać pewne zyski z harcerstwa”. Wtedy stało się jasne, czemu to nie odczuwamy istnienia ani kwatery głównej, ani komendy chorągwi. Sztandar hufca, jego pieczętka, a także najniezbędniejsze papierki znajdowały się po prostu w naszym mieszkaniu. Im jednak wyżej w hierarchii, tym lepiej było widać, że po to, aby tak liczna organizacja w ogóle mogła działać, niezbędne są środki finansowe.

Wiele tu miejsca poświęciłem harcerstwu, a nie jestem pewien, czy mimo to udało mi się należycie objaśnić, czemu stało się dla nas fascynującą przygodą, która tak trwale zapisała się w naszej pamięci. Myślę, że aby ów fenomen zrozumieć, trzeba przede wszystkim wczuć się w atmosferę tamtych czasów, więc najpierw uwzględnić fakt, że oto dopiero co skończyła się wojna, zaś wszystko, co w związku z nią dane nam było przeżyć i zobaczyć, pozostawiło w naszej psychice głębokie ślady.

I oto pojawiła się szansa tak niezbędnej dla nastolatków zabawy i to w warunkach, gdy świat wokół nas szeroko otworzył się dla przeróżnych form aktywności, dając nam pełną swobodę wyboru. Poczuliśmy się całkowicie wolni i tylko od nas zależało, w jaki sposób będziemy z tego przywileju korzystać.

Także nasz kodeks moralny, o którym wcześniej pisałem, był sposobem reakcji na doświadczenia z okresu dzieciństwa. Stąd wzmożona potrzeba manifestowania takich zachowań, jak szlachetność, szczerłość, prawdomówność, uczciwość, bezinteresowność, koleżeństwo etc.

Jak się zdaje minęła całkowicie moda na prowadzenie

sztambuchów, w których ongiś zbierało się na pamiątkę wpisy dokonane przez koleżanki i kolegów. Dzisiaj młodzież, jeżeli coś kolekcjonuje, to najchętniej autografy gwiazdów muzyki rozrywkowej. A w tamtych pamiętnikach „dyżurną” sentencję stanowił taki oto banalny czterowieś:

*„Młodość życia jest rzeźbiarką,
co wykuwa żywot cały.
Choć przemija sama szparko,
ślad jej dłuta – wiecznotrwały”.*

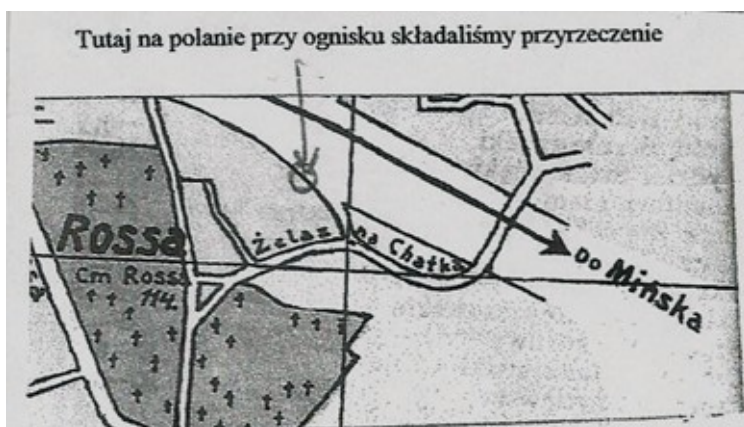
Kiedy dziś – z odległej już perspektywy – przyglądam się losom życiowym byłych druhen i byłych druhow z Jełeniogórskiego hufca, nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż jeśli nie wszyscy, to zdecydowana większość z nich do dziś pozostała nieuleczalnymi harcerzami, wedle wówczas przez nas akceptowanego modelu. Także i dlatego, kiedy znów się przy jakiejś okazji spotykamy, tak łatwo ożywa dawne poczucie przynależności do owej wspólnoty.



S. Kuszewski (w środku) wśród kolegów z 22 LDDH (1948 rok)

Jan Roszkowski hm.

Do Wilna przyjechaliśmy w 1935 roku z miejscowości Zachacie. Była to mała miejscowość przy granicy ze Związkiem Radzieckim. Przeprowadzka do Wilna była niezbędna, by zapewnić kształcenie siostrze i mnie. Zamieszkaliśmy przy ul. Piwnej w sąsiedztwie Ostrej Bramy. Od Ostrej Bramy dochodziło się do ul. Rossa i cmentarza, na którym spoczywała matka Marszałka Józefa Piłsudskiego i Jego serce.



Zaznaczone miejsce, w którym złożyłem przyrzeczenie

Tą trasą wędrowała między innymi młodzież harcerska, aby złożyć hold Marszałkowi. Wyróżniały się w szczególności zuchy, z uwagi na kolorowe berety i sięgające poza kolana spodnie. Odznaką zucha była głowa wilka i nazywano ich „Wilczkami”. Bardzo mi się to wszystko podobało, ale nie miałem odwagi zapytać się, jak do tej grupy wstąpić.

W szkole powszechnej nie było harcerstwa, ale jeden z kolegów Zbyszek Ceniecki wiedział, gdzie harcerze się spotykają. Na ulicy za żelazną chatką jest polana, gdzie można rozpałić ognisko i tam można spotkać harcerzy. Był to już wrzesień 1938 rok. Zapytaliśmy, czy możemy do nich dołą-

czyć. Powiedziano nam, że możemy się zgłosić za rok, jak skończymy czwartą klasę, ale możemy przychodzić i przyglądać się, jak wyglądają zbiórki harcerskie. W dniu 10 czerwca 1939 roku zostaliśmy przyjęci do ZHP, a 24 sierpnia złożyliśmy przyrzeczenie harcerskie.

Niedługo jednak cieszyliśmy się harcerstwem. Po wkroczeniu Sowietów, co miało miejsce 17 września 1939 roku, nie było możliwości działania. W dniu 10 października Wilno, decyzją Stalina, zostało przekazane Litwie. Litwa przystąpiła do zmiany nazwisk. Ja już nie byłem w szkole Roszkowski Janem, lecz Roskałskas Jonas.

W lipcu 1945 roku z całą rodziną wyjechaliśmy z Wilna. Po pokonaniu kłopotów z podróżą, Państwowy Urząd Repatriacyjny zakwaterował nas w Karpaczu.



Dom, w którym mieszkała rodzina Roszkowskich. Stoją: Jan Roszkowski, jego siostra (też harcerka) i młodszy brat (Karpacz ul. Majówka 63).

We wrześniu zapisałem się do Gimnazjum Przemysłowego w Jeleniej Górze przy ulicy Okrzei 7. Jeszcze w Wilnie ukończyłem szkołę powszechną i pierwszą gimnazjum. Muszę również wyjaśnić, że w Wilnie rodzice z pewnych względów odmłodzili mnie o dwa lata i tak już to zostało. W szkole tej był zastęp-pluton harcerski z 1 DDH im. Zawiszy Czarnego, przy szkole Powszechniej nr 1 (obecnie jest to Gimnazjum nr 1), którym kierował Tadeusz Głowniak. Nawiązałem z nimi kontakt. Uczestniczyłem w zajęciach zastępu, lecz dojazdy do Karpacza ograniczały mój czas, a przez to nie mogłem w pełni brać w nich udziału. Dopiero po zamieszkaniu w internacie, bez ograniczeń czasowych, uczestniczyłem we wszystkich zbiórkach.



Od lewej: Jan Roszkowski, Tadeusz Głowniak, Józef Pięta

W dniu 2 września 1946 roku, po powrocie z obozu w Spokojnej Górze, zgłosiłem się do komendanta chorągwi hm. Kazimierza Sobolewskiego i poprosiłem o skierowanie mnie do drużyny. Otrzymałem przydział do 1 DDH, jej drużynowym był Józef Pięta. Stopień instruktorski uzyskał

w roku 1945, po ukończeniu kursu w Spale. Do Jeleniej Góry przyjechał z miejscowości Skarżysko Kamienna. Pracował na kolei. Jego miejscem pracy była nastawnia. Mieszkał w mieszkaniu służbowym razem z matką, która prowadziła na jeleniogórskim dworcu kolejowym bufet.



Druh. Roszkowski
 Imię Jan Zygmunt
 ur. dn. 12 mies. Lipiec 1931 r.
 w. Głębokim powiat Dziesięński
 Jest harcerzem
 Wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego *)
 dn. 10 mies. czerwiec 1939 r. do Drużyny
 Harcerzy im. Tad. Kościuszki
 w. Wilko Złożył przyrzeczenie
 harcerskie dn. 24 mies. sierpień 1939 r.
 na ręce dh. p. m. Tebrawskiego
 Otrzymał krzyż harcerski Ser. KII L. 606
 polecenie
 okrętu
 Kom. folworny
 Komendant Chorągwi Harcerzy
 dn. 12 m. IX 1940 r.
 (miejscowość)
 *) Wpisać datę wstąpienia do drużyny żuchów
 (jeśli był żuchem)

Roszkowski J.
 (podpis posiadacza książeczki służbowej)

Książeczka służbowa Jana Zygmunta Roszkowskiego

Rodzice zakupili mi nowy mundur, byłem z niego dumny. Rozkazem L.1/46 z dnia 25.09.1946 mianowanym zostałem zastępowym 2 zastępu „Włóczykije”. W drużynie było wówczas dwudziestu harcerzy, ale z biegiem czasu ich liczba wzrosła do czterdziestu. Przybyło kandydatów z gimnazjum, do którego uczęszczał również nasz drużynowy.

Różnica wieku spowodowała dokonanie podziału na dwa plutony. Drużynowy przystąpił do uczenia nas musztry, maszerowania w szyku i śpiewu piosenek harcerskich. Było to niezbędne, ponieważ uczestniczyliśmy w defiladach, a w niedzielę chodziliśmy do kościoła. Z miejsca zbiórki, najczęściej od szkoły, maszerowaliśmy czwórkami, śpiewając. Tak czyniły wszystkie drużyny harcerek i harcerzy z hufca.



Ulicą Kolejową (dziś 1-go Maja) idą, od lewej: J. Roszkowski, Kordecki, J. Pięta

Jak tylko w składnicy harcerskiej pojawiły się werble i fanfary, to poszczególne drużyny dokonały zakupów. Skąd zdobyliśmy pieniądze na zakupy, dzisiaj już tego nie pamiętam. W każdym bądź razie nasze maszerowanie, śpiewanie, granie naszej orkiestry na fanfarach i werblach powodowało, że byliśmy widoczni a zarazem podziwiani. Odczuwaliśmy sympatię i uznanie jakim darzyło nas społeczeństwo.

Rozpoczęły się też zajęcia mające na celu przygotowanie nas do zdobywania sprawności i stopni harcerskich. Te zajęcia w formie grupowej odbywały się w terenie, na wolnym powietrzu. Harcówki w szkole nie było. Sprawy organizacyjne dotyczące pełnionych funkcji, przydziałów zadań, zdobytych stopni, sprawności, pochwał i inne ważne dla nas informacje ogłaszane były rozkazami drużyny, na piśmie.



Zuchy z 1DDH. Odznaką Zucha była „głowa wilka”, stąd nazywano ich „Wilczkami”. (1946 rok)

Byłem zastępowym, skarbnikiem, bibliotekarzem, plutonowym. Zdobyłem 30. sprawności. Stopień Ćwika zdobyłem 9. sierpnia 1947 roku (Rozkaz L.6/47) Po uzyskaniu stopnia Ćwika, T. Głowniak polecił mi przygotowanie biegu na stopnie Młodzika i Wywiadowcy. Za wykonanie tego rozkazu otrzymałem pochwałę Rozkazem L.9/47 z dnia 20.8.47 roku. Stopień H.O. zdobyłem w hufcu Legnica a H.R. w hufcu Gliwice.

Wracam w swych wspomnieniach, do roku 1946. T. Głowniak zaproponował żeby wybrać się na biwak. Zaproponowałem Karpacz. Znałem to miasto, jego okolice czekały na nasze odkrycie. Było tam wiele ciekawych miejsc.

Poszedłem do Leśniczówki i zapytałem czy pozwolą nam rozbić namiot na ich łące. W odpowiedzi usłyszałem: dla harcerzy nie mogę odmówić, zapraszam. Było nas czworo: Tadeusz Głowniak (drużynowy), Heniek Dejmek, Edek Kordecki i ja. Namiot zorganizował T. Głowniak.



Od lewej stoją: Henryk Dejmek, trzeci J. Roszkowski, kucnęli: trzeci T. Głowniak, czwarty Edward Kordecki (Karpacz 1948 rok)

Każdy z nas zaopatrzony był w suchy prowiant. Spać mieliśmy w namiocie, który wyłożyliśmy sianem. Wszystko zapowiadało się dobrze, ale w nocy była ulewa i zalało nas. Pomoc uzyskaliśmy od córki leśniczego, która pozwoliła nam, za zgodą jej ojca, korzystać ze stodoły z sianem. Spanie w stodole było wyśmienite. Zdobyliśmy cenne doświadczenie. Trzeba być przewidującym, ale to nie wystarczy, trzeba jeszcze mieć pieniądze, a my ich nie mieliśmy.

Na biwaku mieliśmy czas przemyśleć, jak zorganizować jeszcze w tym roku obóz dla całej drużyny. Wybraliśmy miejscowość Spokojną Górę. Była to propozycja T. Głowniaka. Miejscowość ta jest oddalona o dwa kilometry od miasteczka Mirsk. Drużynowy przydzielił mi funkcję gospodarza, faktycznie zaś byłem kwatermistrzem obozu.



Obóz 1 DDH w Spokojnej Górze. Od lewej stoją: (?) Henryk Nawrocki, Jan Roszkowski, Tadeusz Głowniak, Władysław Wilczyński. Siedzi (z łopata) Józek Pięta - drużynowy (1946 rok)

Na obozie było nas 19. osób. Chodziłem do Mirska z plecakiem, robiłem zakupy. Jeśli zakupów było więcej to szło nas dwóch. Pieniądze na wyżywienie mieliśmy od rodziców. Wózków nie mieliśmy, więc cały sprzęt potrzebny na obozie jak namioty, garnki do gotowania nosiło się w rękach. Menażkę, łyżkę, widelec, scyzoryk lub finkę, każdy uczestnik musiał posiadać i utrzymać w czystości.

Stół do konsumpcji wykopaliśmy w ziemi. Jak była pogoda i nie padał deszcz, to było dobrze. W naszym przypadku podłóże było gliniaste, przy stole więc trzeba było siedzieć na bosaka. Wodę do gotowania przynosiliśmy ze studni od gospodarza, który zgodził się na rozbicie obozu na jego łące. Mimo tych dolegliwości nie było narzekań, atmosfera na obozie była dobra. Obóz był wypoczynkowy, zwiedzaliśmy: Złotniki, Mirsk, Świeradów Zdrój. Odpoczywaliśmy nad rzeką – zaporą „Złotniki”. Nim obóz się skończył, były

do drużynowego pytania, gdzie pojedziemy na obóz w następnym roku.



Obozowa stołówka (1946 rok)

W czerwcu 1947 roku byliśmy na obozie wędrownym na trasie: Jelenia Góra – Gniezno – Września – Poznań – Jelenia Góra. Trwał on 6 dni. Uczestników było niewielu ze względu na koszty. Jeśli się nie mylę, było nas ośmiu, w tym drużynowy T. Głowniak, Henryk Dejmek i ja. Pozostałych uczestników nie pamiętam. W tym czasie przenoszony był sarkofag świętego Wojciecha do katedry w Gnieźnie. Zwiedzaliśmy pozostałe miasta. Nie prowadziliśmy wówczas kroniki, stąd dziś trudno o odtworzenie szczegółów.

W lipcu 1947 roku zorganizowaliśmy obóz stały wypoczynkowy 21-dniowy w Świeradowie-Zdroju. U podnóża tej miejscowości, przy drodze do Mirska, za rzeczką była polana sporych rozmiarów, a wokół niej rósł świerkowy las. Był to wymarzony teren na rozbięciu obozu i realizację programu harcerskiego. Nie mieliśmy kłopotów z uzyskaniem zgody na zajęcie terenu, na drewno do gotowania posiłków i na wieczorne ogniska.



Obóz w Świeradowie Zdroju (1947 rok)

W trakcie urządzania obozu mogliśmy wykazać się znajomością pionierki. Nie zawiedliśmy swojego wodza, pokazaliśmy, że to, czego nas do tej pory nauczył, umiemy wykorzystać. Wybudowaliśmy mostek, żeby bezpiecznie przechodzić na drugą stronę rzeki, prycze w namiotach. Postawiliśmy maszt na placu apelowym, uroczyście wciągnęliśmy flagę na maszt, wykonaliśmy ołtarz. Nie wiedzieliśmy, że odwiedzi nas ksiądz. Był mile zaskoczony, pochwalił nas.

Od obozu do centrum Świeradowa było około 2 kilometrów, drogą pod górę. Podobnie, jak na obozie w pobliskiej Spokojnej Górze, zajmowałem się zakupami. Tym razem po zakupy chodziło nas dwóch. Do kościoła maszerowaliśmy w „galowych” strojach, w szyku. Jednej niedzieli przedstawiciel Czerwonego Krzyża zwrócił się do nas z prośbą o wzięcie udziału w kwestowaniu na rzecz PCK. Zaopatrzeni w puszki przystąpiliśmy do działania. Nie spotkaliśmy się ze strony wczasowiczów z odmową wrzucenia do puszki datków. Powodem tego mógł być cel zbiórki i to, że kwestowaniem zajmowali się harcerze.

Drugą pracą społeczną było udzielenie rolnikowi pomocy przy koszeniu trawy. Jej suszeniu a potem układanie w kopki. Taka czynność z naszej strony była możliwa, bo w drużynie było kilku chłopców z rodzin rolników, znających się na tego typu pracy. Jednym słowem byliśmy pożyteczni. Traktowaliśmy to jako rewanż za serdeczny i przyjacielski stosunek do harcerzy.

Obozy, kolonje, zimowiska,			kursy, złoty, wędrowki i t. p.			
Rok	Rodzaj obozu	Miejscowość lub marszruta	Funkcja	Ile dni	Kożem dni obozowych	Podpis komendanta
1946	Stały	Spokojna Góra	gospodar	21		T. Głowniak
1947	Wędrowny	Góra - Gliwice - Kraków - Zakopane - Gliwice - Jelenia Góra	uraznik	6	27	W. Krawiec
Z. H. P.						
1948	D. H. im. Zawiszy Czarnego	W JELENIEJ GÓRZE				
	2-gi oboz	szły wypoczynkowy				
		W ŚWIERADOWIE-ZDROJU	magazynier	21	48	T. Głowniak
1948	Wędrowny	Gliwice - Kraków - Zakopane - Gliwice	blowiz	14	22	T. Głowniak

Wpisywać jeśli trwają

co najmniej 5 dni.

Strony książeczki służbowej, w nich wpisane obozy

Po skończeniu gimnazjum część uczniów zamierzała uczyć się dalej. W Jeleniej Górze szkoły o wybranej przez nas specjalności nie było. Natomiast była taka szkoła w Gliwicach. T. Głowniak zaproponował, żeby wyjazd do Gliwic połączyć z obozem wędrownym. Tę propozycję poparło nas sześciu. Wybraliśmy następującą trasę: Jelenia Góra – Gliwice – Kraków – Zakopane – Gliwice – Jelenia Góra. Koszty obozu, który wiązał się z podjęciem dalszej nauki, pokryli nam rodzice. Komendantem obozu był T. Głowniak, mnie przypadła funkcja oboźnego. W Gliwicach udaliśmy się do wybranej szkoły, następnie zwiedzaliśmy miasto.



Od lewej: E. Kordecki, J. Roszkowski (Gliwice 1948 rok)

Na pobyt w Krakowie przeznaczylismy dwa dni. Bylismy na Wawelu, zwiedzilismy Starówkę, kościół Mariacki, Sukiennice. Nocowalismy w małym namiocie, który rozbilismy na Błoniach. Na drugi dzień pojechalismy do Zakopanego. Tam, oprócz Krupówek, nic nie zwiedzalismy. Bylismy tak zmęczeni, że nawet nie myślelismy o poznawaniu okolicy. Siły starczało nam jedynie na przygotowanie sobie posiłków. Musielismy odpocząć, by nabrać sił i jak najprędzej wracać do domu, bowiem kończyła się żywność i brakowało nam pieniędzy.

Z Zakopanego do Krakowa dojechalismy stosunkowo łatwo, bez zbytnich problemów. Za to w Krakowie na dworcu kolejowym tłumy podróżnych oczekiwały na odjeżdżające na zachód pociągi. Nam udało się wsiąść do wagonu towarowego i bez wydatków dojechać do Wrocławia, stamtąd – za resztę pieniędzy – pociągiem osobowym, pełnym podróżnych (bez wielu bagaży) do Jeleniej Góry.

Po latach, im byłem starszy, tym silniej dawała o sobie znać tęsknota za miejscami młodości, harcerskiej przygody, które kształtowały moją więź ze Związkiem Harcerstwa Polskiego, która nieprzerwanie trwa. Stąd, mieszkając w Szczecinie, wraz z rodziną wybrałem się do Jeleniej Góry, by tam odbyć wędrówkę moim „harcerskim szlakiem”. Rozpoczęliśmy ją od mojej szkoły.



Na ścianie, przy wejściu do budynku, urzędowa tablica, umieszczona pod godłem Polski, informuje, że mieści się tu Gimnazjum nr 1. Poniżej niej jest druga, informująca, że po wojnie powstała w tym budynku pierwsza polska szkoła.

Następnie ulicami miasta, którymi maszerowała nasza drużyna, poszliśmy do miejscowego kościoła, w którym we wszystkie niedziele i święta gromadzili się jeleniogórscy harcerze. Po drodze zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie przed laty wraz z kolegami i koleżankami sfotografowaliśmy się. Zdjęcie to przechowuję do dziś.



W głębi wieża kościoła garnizonowego; w drugim rzędzie: 1. od lewej J. Roszkowski, 3. J. Pieta, najwyżej stoi T. Główniak

Zwiedziliśmy jeleniogórską starówkę – plac Ratuszowy, na którym gromadzili się harcerze z okazji wielu różnych uroczystości, ulicę Długą, tam pod numerem 4/5 mieściły się siedziby komend harcerek, składnica harcerska, w której zaopatrywaliśmy się w niezbędne akcesoria, a także stołówka i pokoje noclegowe dla przyjezdnych harcerzy.

Przeszliśmy na pobliski „plac defilad” (zbieg ulic Bankowej z ulicą Wolności). Opowiedziałem rodzinie o uroczystościach, które tu miały miejsce w pierwszych powojennych latach. Nasza drużyna, poczwszy od jesieni 1945 ro-

ku, maszerowała tym placem podczas każdej odbywającej się defilady. Tu nasze harcerskie szeregi podziwiane były przez gości zgromadzonych na trybunie i wokół niej oraz mieszkańców miasta.

Do Szklarskiej Poręby jechaliśmy przez Cieplice, Sobieszów i Piechowice. Podczas przejazdu mówiłem o miejscach, które odwiedzałem. Opowiedziałem historię o górującym nad Sobieszowem zamku Chojnik, który jak magnes przyciągał harcerzy w swoje mury. O gawędach przy płonących tam ogniskach, ich treści pełnej rycerskich dokonań i postaw.

W Szklarskiej Porębie zatrzymaliśmy się przy stadionie miejskim. Widoczny z tego miejsca wysoki grzbiet Karkonoszy, na nim szczyty: Szrenica, Łabski Szczyt, Śnieżne Kotły, zachwyciły moją rodzinę. Wpatrywali się w niepowtarzalne piękno tych gór. Tymczasem ja, patrzyłem na porośniętą trawą płytę stadionu. Przypomniałem sobie, jak kosiliśmy na nim trawę i układaliśmy w kopki.



Stadion sportowy. Drużyna pracuje przy sianokosach (1947 rok)

Podczas zwiedzania miasta nasunęła mi się smutna refleksja. Tereny, na których stacjonowały obozy, „zniknęły” pod fundamentami wybudowanych pensjonatów, apartamentowców, domów i wyciągów na Szrenicę. Urokliwe, wolne przestrzenie zostały zabudowane, a szkoda, wszak były one cennym walorem tego miasta.

W Świeradowie-Zdroju bez błędzenia znalazłem miejsce obozowania. Szliśmy stromo pod górę, pod las, tam, gdzie stał nasz obóz. Przyglądałem się polanie, jej okolicy, za jakimkolwiek śladem naszego tu obozowania. Bezskutecznie. Skoro zostawiliśmy to miejsce w takim stanie, w jakim je zastaliśmy, nie miałem tu czego szukać. Za to malowniczy widok na przeciwny stok i górujący na horyzoncie Grzbiet Kamienicki, nie uległ zmianie, rekompensował nam trud wspinaczki. A może nam wówczas tu obozującym widok ten łagodził skutki niesystematycznego zaopatrzenia w żywność?



Świeradów-Zdrój, obozowa polana; od lewej stoją: J. Roszkowski, (?), T. Głowniak, (?), (1947 rok)

W Karpaczu zatrzymaliśmy się przed domem harcerskim „Wykapka”, „kuźnią” harcerskich kadr. Stąd też wyruszyliśmy na górskie wycieczki. Na szczyt Śnieżki, do schroniska Samotnia, Bronka Czecha, Strzechy Akademickiej. W drodze powrotnej, zawsze mogliśmy liczyć na gościnę druha Czesława Sidora phm., kierownika „Wykapki”.



Dom wypoczynkowy ZHP „Wykapka”, ul. Konstytucji 3 Maja nr 57

Zwiedziliśmy zaporę na rzece Łomnicy, a także usytuowaną poniżej, małą polanę, miejsce, w którym płonęły harcerskie ogniska, a zgromadzeni wokół nich, wybrani kursanci z „Wykapki”, składali przyrzeczenie, uczestniczyli w misterium wierności ideałom harcerskim – przyrzeczeniu, i prawu harcerskiemu oraz budowaniu trwałej między nami więzi.

To, że przez całe moje dotychczasowe życie jestem instruktorem harcerskim, członkiem Referatu Seniorów Zachodniopomorskiej Chorągwi ZHP, że z dumą noszę mundur harcerski, krzyż z czerwoną podkładką, dowodzi mojej wierności harcerskiej rodzinie i jej ideałom.

Zbigniew Lipiński wyw.

– zastępowy w 21 DDH w Cieplicach Śląskich Zdroju.

Do Związku Harcerstwa Polskiego wstąpiłem w kwietniu 1945 roku, byłem wówczas uczniem szkoły podstawowej w miejscowości Końskie w woj. kieleckim, w której była już drużyna harcerska. Z nią to wyjechałem na mój pierwszy obóz harcerski do Przedborza nad Pilicą, tam złożyłem Przyrzeczenie harcerskie i zdobyłem pierwszy stopień - młodzika. W następnym roku uczęszczałem do szkoły w Płocku. Należałem tam do mazowieckiej drużyny harcerskiej. W drużynie tej zdobyłem kolejny stopień - wywiadowcy.

W 1946 roku drużyna wyjechała na obóz w okolicy Ostródy. Zdobywanie sprawności, stopni, ogniska, gawędy, biegi harcerskie wypełniały obozowe dni. Spośród wielu wydarzeń szczególnie zapamiętałem jedno.

Pewnego ranka, zamiast pobudki, usłyszeliśmy głośnie, powtarzające się wołanie: „Nie wychodzić z namiotów! Nie wychodzić z namiotów!”. Po chwili dotarła do nas wiadomość, że to nawołują saperzy, którzy rozminowywali teren, na którym stały nasze namioty! Przez uchylone wejście do namiotu widać było, jak znajdują miny i układają na jednym miejscu, część z nich wrzucili do jeziora. Towarzyszące wrzucaniu eksplozje wznosiły fontanny wody. Po wyjeździe saperów nad brzegiem jeziora zobaczyliśmy mnóstwo ogłuszonych ryb, było ich tyle, że na nasze kulinarne potrzeby wystarczyło do końca obozu.

Pod koniec 1946 roku przyjechałem do górskiego schroniska Bronka Czecha w Karpaczu, prowadzonego przez YMCA - Chrześcijańskie Stowarzyszenie Młodzieży Katolickiej, a później do Cieplic. Wstąpiłem wówczas do działającej przy miejscowej szkole podstawowej 21 Dolnośląskiej Drużyny Harcerzy im. Stefana Czarnieckiego.

Drużyna istniała tam już od wiosny 1946 roku, jej drużynowym był Sławomir Matuszewski, wywiadowca, a po wakacjach 1946 roku Janusz Grochocki, obaj spoza naszej szkoły. Przybocznymi byli: Krzysztof Pustkowski, Andrzej Włodarski, Matuszewski. Mianowany zostałem zastępowym, drugim zastępowym był Jerzy Rządki.

Nasza drużyna była liczna. Należeli do niej też chętni spoza naszej szkoły. Wszyscy byliśmy umundurowani. O harcerski ubiór zabiegaliśmy sami. Najczęściej szyli go nam rodzice. O odpowiedni materiał było trudno, często trzeba było farbować taki, jaki udało się pozyskać.

Posiadaliśmy werble i fanfary. Gra na tych instrumentach często sygnalizowała nasz przemarsz przez miasto, czy też zachęcała do podążania za nami na imprezy w pobliskim Parku Zdrojowym, organizowane przez nas dla drużyny, mieszkańców Cieplic i kuracjuszy.



Maszeruje 21 DDH; pierwszy z lewej – drużynowy Ireneusz Grochocki, trzeci Jerzy Rządki – zastępowy

Nasza drużyna miała własną piosenkę, maszerując ulicami miasta czy na miejsce planowanych zajęć, często śpiewaliśmy ją, jej słowa mówiły o nas i naszej drużynie:

*„Nasza drużynka dwudziesta pierwsza,
wojskowy rygor, bardzo dobrze zna.
Wesoła minka, do góry główka i równy
krok na sto dwadzieścia dwa.*

*Postawa baczność, już ani słów-
ka, chociaż żołądek marsza gra,
nasza drużyna dwudziesta pierwsza,
to jest dla Ciebie istny raj”.*

O tym, że harcerze nie piją alkoholu, wiedzieli wszyscy. Natomiast dla tych, którzy nie znali tej dobrej zasady, śpiewaliśmy specjalną piosenkę:

*„Czy widział ktoś w szwadronie, szwadronie,
pijane kiedyś konie, czy też wstawioną klacz.*

*Wałachy i ogiery, też mają swe maniere,
i wódki nie chcą chlać.*

*Z wódki rozum krótki,
i mała radość, duże smutki.*

*Po harcersku bracie
żyj, czystą wodę pij”.*

Piosenka ta była naszą odpowiedzią na Rozkaz Naczelnika Harcerzy w sprawie zwalczania alkoholizmu.

Poza tymi piosenkami, na zbiórkach, ogniskach czy przemarszach śpiewaliśmy inne, powszechnie znane harcerskie piosenki z okresu międzywojennego i wojny. Piosenka zawsze była stałym elementem harcerskiej działalności.

W drużynie nie było odstępstwa od tej zasady. Znajomość piosenek wymagana był przy zdobywaniu niektórych sprawności. Oceniane było rozśpiewanie zastępów i drużyny.

Na harcówkę władze miasta przydzieliły nam budynek w Parku Norweskim, a później przy głównej ulicy, ten w którym dziś mieści się Komenda Policji. Mieliliśmy w nim harcówkę, w niej organizowaliśmy zbiórki i zajęcia harcerskie, gdy pogoda nie sprzyjała zajęciom w terenie.

Podsumowaniem nieomalże każdych zajęć programowych były biegi harcerskie. Organizowaliśmy je w pobliskim Malinniku. Było to rejon niewielkich wzgórz, porośniętych różnorodnym drzewostanem. Rozłożyste, stare dęby, sosny i świerki otaczały malownicze grupy skał, wokół nich, rozciągały się usiane kwiatami polnymi łąki. Teren ten był naszym ulubionym miejscem do zajęć terenowych.

Biegi służyły sprawdzaniu naszych umiejętności praktycznych i teoretycznych. Były zaliczeniem zadań na stopnie i niektóre sprawności. Dla tych, którzy chcieli wstąpić do ZHP, pierwszym biegiem był Bieg po Lilijkę, w trakcie którego nowicjusze musieli wykazać się podstawową wiedzą o harcerstwie. Lilijka wręczana była na uroczystej zbiórce drużyny.

Bieg dopuszczający do złożenia przyrzeczenia (po ukończeniu biegu z pozytywnym wynikiem), dawał prawo do posiadania Krzyża Harcerskiego. Składanie przyrzeczenia, wręczanie krzyży stanowiło doniosłe wydarzenie dla każdego z nas. Akt ten odbywał się w uroczystej formie, z udziałem rodziców i zaproszonych gości. Był zobowiązaniem, w obecności świadków, do przestrzegania prawa harcerskiego i dotrzymania złożonej przysięgi na zawsze.

Oprócz realizowanych zadań typowo harcerskich, nasza drużyna brała udział w uroczystościach państwo-

wych. Często byliśmy też samodzielnymi organizatorami wielu imprez, takich jak: sobotnie capstrzyki z werblami, warty przy grobie Chrystusa w miejscowym kościele, ogniska dla mieszkańców i kuracjuszy organizowane w Parku Norweskim, w pobliżu zapory na przepływającej tam rzece Wrzosówce.

Braliśmy też udział w pracach na rzecz miasta, takich jak utrzymanie czystości pobliskiego Parku Zdrojowego, w którym organizowaliśmy nasze imprezy.

Bardzo ważną rolę w życiu naszej drużyny odgrywał sport, który uprawiany był zarówno w Cieplicach, jak również na wszystkich obozach i zgrupowaniach. Rozgrywki w piłkę nożną, ręczną, siatkówkę, biegi przełajowe i ćwiczenia gimnastyczne były stałym elementem naszej działalności, zwłaszcza programów obozów.

Organizowaliśmy obozy harcerskie, bowiem bez uczestnictwa w nich, nikt nie mógł być w pełni harcerzem. Obozowe obowiązki, służby, warty, zdobywanie sprawności i stopni harcerskich budowały umiejętności i wiedzę każdego z nas. Toteż harcerstwa nauczyliśmy się w praktyce, w jego najlepszej formie, jaką są obozy.

Wiem, że druhowie z naszej drużyny już w poprzednim roku uczestniczyli w obozach dla kadry funkcyjnych, organizowanych przez jeleniogórski hufiec. Natomiast drużyna już w lipcu 1946 roku była na pierwszym samodzielnym obozie nad Jeziolem Pilchowickim. Obóz usytuowany był na stromym zboczu porośniętym lasem, na terenie należącym do Ligi Morskiej i Kolonialnej, która miała tam swoją bazę wodną, wyposażoną w kajaki, łodzie spacerowe i inny sprzęt wodny.

Na drugi obóz – w lipcu 1947 roku – pojechałem do Czerniawy-Zdroju, miejscowości w pobliżu uzdrowiska

Świeradów. Z obozu tego utkwiły mi w pamięci problemy z wyżywieniem, nie zawsze otrzymywaliśmy posiłki na czas i w ilości zaspakajającej nasze apetyty. Braków tych nie była w stanie zrekompensować piękna okolica, wycieczki do schroniska na Stogu Izerskim i Świeradowa czy też atrakcyjne zajęcia.



Obóz w Czarniawie, trzeci z lewej J. Grochocki - drużynowy, czwarty J. Rządki (1947 rok)

Trzeci obóz – w lipcu 1948 roku – zorganizowany był w Łazach koło Mielna nad Bałtykiem. Było to zgrupowanie obozów drużyn Jeleniogórskiego Hufca ZHP. Nasz obóz

rozbiliśmy w lesie, blisko morza. Zgrupowanie sprzyjało harcerskiej rywalizacji i wzajemnemu poznaniu się. Była w zgrupowaniu m.in. 22 Lotnicza Drużyna z Jeleniej Góry, wśród jej członków byli nasi koledzy ze szkoły, którzy wybrali specjalność lotniczą. Uczestniczyliśmy w wspólnych biegach, rozgrywkach sportowych i podchodach. Zastępy z pobliskich obozów hufca, pod osłoną nocy, starały się wykraść flagę z naszego obozu. Warty w naszym obozie były czujne i spostrzegawcze, reagowały na czas.

W czasie patrolowania terenu wokół obozu, nie uszły naszej uwadze dziwnie „przystrojone” niektóre drzewa. Wysoko na gałęziach wisiały przywiązane sznurkami karabiny, amunicja i granaty ręczne, ukryte tam chyba przez wycofujących się Niemców. O znalezisku tym powiadomiliśmy żołnierzy z pobliskiej strażnicy wojskowej.

Żołnierze gratulowali nam zgłoszenia. Mimo to można było odczuć jakby niezadowolenie, że to dopiero my harcerze, a nie oni, stacjonujący tu od przynajmniej trzech lat, dokonaliśmy tego odkrycia. „Ozdoby” z drzew żołnierze zabrali sami. Nie chcieli naszej pomocy. Nawet nie pozwolili nam przyglądać się tej akcji. Na dodatek stanowczo polecieli ukryć się za wydmami. Konieczność tę uzasadnili tym, że wiszące na drzewach granaty mogą być zastawioną pułapką i nawet przy ich fachowym zdejmowaniu może dojść do eksplozji.

Ciekawie zorganizowany był powrót z obozu do Jeleniej Góry. Pociąg (towarowe wagony) jechał nocą, a w dzień zatrzymywał się na dużych stacjach. W tym czasie zwiedzaliśmy: Trójmiasto, Poznań czy Wrocław, gdzie dotarliśmy na wystawę Ziemi Odzyskanych.

Mój czwarty obóz harcerski – w lipcu 1949 roku – stacjonował w Nowym Śliwnie, dziś Rewalu. W tym samym czasie w pobliskim Trzęsaczu obozowała 5 Dolnośląska

Drużyna Harcerek, koleżanek z naszej szkoły. Sąsiedztwo to sprzyjało dobrej współpracy, zwłaszcza przy organizacji ognisk dla mieszkańców i przebywających nad morzem wczasowiczów. Mogliśmy wspólnie zaprezentować nasze ogniskowe obrzędy i zwyczaje, no i śpiewać harcerskie piosenki.

W naszej pracy wykorzystywaliśmy też wolny czas od nauki szkolnej w czasie ferii świątecznych. W okresie Wielkanocny 1947 roku w Janowicach Wielkich, w ruinach zamku Bolczów i jego otoczeniu, zorganizowany był kilkudniowy zlot drużyn jeleniogórskiego hufca, w którym nasza drużyna brała aktywny udział. Pełniliśmy służby i warty, braliśmy udział w biegach harcerskich i zwiadach środowiskowych. „Werble” drużyny często sygnalizowały naszą obecność, a regulaminowo noszone mundury zwracały na nas uwagę.

Zlot sprzyjał wzajemnemu poznaniu się i integracji drużyn hufca. Spotkałem tam koleżanki i kolegów z 181 Drużyny Koedukacyjnej ze Szklarskiej Poręby i 22 Lotniczej Drużyny Harcerskiej z Jeleniej Góry. Moje zainteresowanie tymi drużynami wzbudził fakt uczęszczania z wieloma druhami z tych drużyn do tej samej szkoły w Cieplicach. Z jednym z nich, Jackiem Witkowskim ze 181 DH siedziałem w jednej ławce szkolnej. Często ubrany był w mundur harcerski i mimo to nie rozmawialiśmy o jego drużynie. Trzeba było zlotu, bym poznał te drużyny, a zwłaszcza różniące je specjalizacje. 181 DH była turystyczną, a 22 DH lotniczą. To wyjaśniło mi, dlaczego nie należeliśmy do jednej cieplickiej, drużyny o nieokreślonej wówczas specjalizacji.

Na przełomie roku 1947/1948 w Siedlęcinie zorganizowaliśmy zimowisko, w trakcie którego zdobywaliśmy dalszą wiedzę o harcerstwie. Dla części druhów zorganizowaliśmy bieg na stopień wywiadowcy. Zwiedzaliśmy pobliską okolicę. Zwiad środowiskowy pozwolił nam poznać histo-

ryczną Wieżę książęcą, a w niej średniowieczne malowidła ściennie, pobliskie schronisko „Perła Zachodu”, malowniczo usytuowane na wysokim skalnym brzegu sztucznego jeziora, spiętrzającą wodę rzeki Bóbr zaporę wodną, która napędzała usytuowaną u jej podnóża elektrownię wodną.

W Cieplicach mieliśmy swoje ulubione miejsca, w których najczęściej można było nas spotkać. Oprócz już wspomnianych, w lecie był to miejski kompleks sportowo-base-nowy, dziś przy ulicy Lubańskiej. Kompleks ten składał się ze:

– stadionu z boiskiem do piłki nożnej i bieżnią o nawierzchni żużlowej, z trybunami usytuowanymi na ziemnych wałach, po obu stronach bramy wjazdowej, nad którą znajdował się duży, mechanicznie napędzany zegar. W pobliżu były szatnie dla sportowców;

– strzelnicy z budynkiem, wewnątrz którego znajdowały się stanowiska strzeleckie do strzelania z broni krótkiej i strzelnicy otwartej – długiej, na której można było prowadzić strzelanie w wielu kategoriach, np. do celów ruchomych. Wyposażenie strzelnicy pozwalało na organizowanie zawodów w różnych warunkach atmosferycznych. Stanowiska strzeleckie były zadaszone, otwierało się odpowiednie do pozycji strzeleckiej – stojąc lub leżąc – okno, by wykonać strzelanie, pomieszczenie ogrzewane było kominkami;

– basenu 100-metrowej długości z rozlewiskiem dla łódek oraz plażą, w sąsiedztwie sosnowych drzew, z czystym piaskiem. Wyposażenie basenu uzupełniały: drewniane, dwupoziomowe szatnie, węzeł sanitarny, pomieszczenia dla obsługi, trampoliny i wieże umożliwiające skoki do wody, prysznice dla chcących obmyć się lub ochłodzić. Naprzeciwko szatni, po drugiej stronie basenu, znajdowała się drewniana budowla, usytuowana na wzniesieniu, w kształcie grzyba, zadaszona spadzistym dachem, wyposażona

w ławki dla tych, którzy chcieli posiedzieć w cieniu. Była też restauracja z salą dla konsumentów oraz zewnętrznym tarasem do zabaw tanecznych.

Wolną część terenu wokół basenu otaczała zieleń. Rosły tam różnorodne, okazałe gatunki drzew, wśród nich wiodły żwirowe alejki, zachęcające do spacerów. Przy okazałej bramie wejściowej na basen, znajdował się mały, drewniany budynek – kasa. W pobliżu był też budynek w stylu norweskim, w którym mieszkał gospodarz obiektu.

Woda w basenie była ciepła i zawsze czysta. Do basenu wpływała z pobliskiego, „leniwie” płynącego strumienia, przez trzy płytkie zbiorniki przelewowe, w których nagrzewała się. Przepływała do kolejnego zbiornika przez „filtry”. Były to warstwy koksu przegrodzone żelazną kratą, które jeszcze przez wiele lat spełniały swoją funkcję.

Na basenie były również organizowane zawody w pływaniu. W trakcie ich przygotowania okazało się, że basen jest za długi, potrzebny był 50-metrowy. Więc wspólnie z kolegami ustawiliśmy odpowiednią przegrodę w poprzek basenu. Z wybudowaną „ścianą” spełniał wymogi i zawody – Mistrzostwa Polski Seniorów w Pływaniu – mogły się odbyć. Ściana ta jeszcze długo skracala basen, aż kiedyś zniknęła. Basen przez długie lata, w swej pierwotnej długości, służył mieszkańcom i wszystkim tym, którzy chcieli z niego korzystać.

Na tym basenie wraz z kolegą z drużyny Waldemarem Siemaszką podjęliśmy pierwszą sezonową pracę, jako ratownicy. O obowiązkach ratownika poinstruował nas Niemiec, który tam pracował i właśnie wyjeżdżał z Cieplic. Sprawdził nasze umiejętności ratownicze, nie miał do nich zastrzeżeń. Jego uwaga skupiła się na naszym wyglądzie, zwłaszcza moim. Byłem, nazwijmy to, bardzo „szczupły”. Za

pytał mnie, jak poradzę sobie z wyciąganiem z wody znacznie cięższej ode mnie osoby? Moja odpowiedź nie zadowolila go. Wręczył mi drewniany młotek owinięty grubą szmatą. Polecil mi, abym ratując tonącego, po to, żeby on nie wciągnął mnie pod wodę, najpierw go uderzył w tył głowy (ogłuszył go) i wówczas holował do brzegu. Chociaż ten sposób ratowania wydał mi się dziwny, to jakiś czas, jako ratownik, chodziłem z tym młotkiem. Na szczęście w okresie mojej pracy na basenie nie było potrzeby zastosowania tej metody.

Zimą zbieraliśmy się na Górze Strzeleckiej. Tam, oprócz wieży widokowej znajdowały się: niewielki stok narciarski, mała 30-metrowa skocznia narciarska, na której uczyliśmy się skoków. W ramach Harcerskiego Klubu Sportowego, który był wówczas jedynym prowadzącym powszechną działalność sportową dla dzieci i młodzieży w naszym hufcu, przeprowadziliśmy eliminacje do mistrzostw Polski ZHP w skokach narciarskich. Wygrał je nasz kolega z drużyny Bogdan Skowroński. Wyposażyliśmy go w odpowiedni sprzęt, plecak i narty oraz produkty żywnościowe: chleb, smalec, marmoladę. Tak zaopatrzony pojechał do Zakopanego na zawody. Jako przedstawiciel naszej drużyny harcerskiej skakał ze sławnym Władysławem Tajnerem, na najmniejszej skoczni.

Wspomniana przeze mnie działalność 21 Drużyny była aktywna. Atrakcyjnie prowadzone zajęcia, udział w pracach na rzecz miasta i szkoły wyróżniały nas w cieplickim środowisku. Coraz to więcej kandydatów przybywało do drużyny. Szkoła stawiała się liczniejsza. Wówczas władze stwierdziły, że jest nas za dużo, a trzeba było zapelnąć powstające w tym czasie nowe szkoły o profilu zawodowym. Zebrali nas w sali sportowej i przeprowadzili egzamin z łaciny: kto nie zdał, przechodził do szkoły o profilu zawodowym. I tak m.in. późniejszy pierwszy wojewoda jeleniogórski Maciej Szadkowski, werblista w naszej drużynie, trafił do Liceum Pedago-

gicznego w Szklarskiej Porębie Niewielu przeszło do szkół zawodowych w Jeleniej Górze i w Cieplicach. Tam wstąpili do istniejących drużyn lub nadal uczestniczyli w zbiórkach naszej drużyny.

W 1949 roku nastąpił koniec mojej przygody harcerskiej, chociaż do dziś czuję się harcerzem. Pod koniec 1948 roku zrodził się nieoczekiwany pomysł, aby systematycznie włączać dotychczasowy Związek Harcerstwa Polskiego do nowo powstałego Związku Młodzieży Polskiej pod nazwą Organizacja Harcerska ZMP. Brak wsparcia dla ZHP oraz rosnące znaczenie ZMP prowadziły do systematycznego zaniku harcerstwa w naszym liceum. Nie wszyscy chcieli wstępować do tej, jedynie z nazwy, harcerskiej organizacji, zwłaszcza, że zaczęto odstępować od dotychczasowego programu harcerskiego, utrwalonego wieloletnią polską tradycją. Proponowano nam nowy ubiór, zamianę Krzyża Harcerskiego na „Czuwajkę”. W programie nie było prawa harcerskiego, systemu sprawności i stopni. Odstąpiono od tradycyjnego obozownictwa i harcerskich piosenek.

Wszystko to wielu z nas, skutecznie zniechęcało do tej organizacji. Z tego tytułu zdarzały się też kłopoty, gdyż zarzucano nam niechęć „do nowego”. Tak jak każda reguła ma swoje wyjątki, tak i spośród nas byli tacy, którzy wstępowali do Organizacji Harcerskiej ZMP. Jeden z naszych kolegów Stefan Górski z drużyny został nawet przewodniczącym zarządu miejskiego ZMP w Cieplicach.

Kierowanie zastępem, najmnijszym ogniwem struktury harcerskiej, wiele mnie nauczyło. Zdobyłem doświadczenie, jakże potrzebne w dorosłym życiu. Nauczyłem się, jak być przelożonym, ale nie dyktatorem, jak dobierać zadania wspólnie przemyślane czy organizować pracę zastępu tak, by uczestnictwo w niej integrowało, dawało wszystkim radość i zadowolenie. Dążyłem do tego, by uczynić zastęp zgraną grupą rówieśników, stworzyć niepowtarzalną at-

mosferę, a tym samym własną tradycję zastępu. Pomocne w kierowaniu pracą zastępu były powtarzane przez naszego drużynowego piękne słowa Roberta Baden-Powella:

„Działalność instruktora skautowego składa się z dwóch części: pierwsza to praca z chłopcami i dla nich. Druga – to nieprzerwana ani na chwilę praca nad sobą, by naprawdę być wzorem dla swoich skautów”.

Zapamiętałem te słowa. Wiedziałem, że trzeba się stale rozwijać, by być wzorem dla swoich harcerzy. Harcerstwo wzbogaciło moją młodość, stworzyło mi możliwość samokształcenia i pracy nad sobą. Było dla mnie kontynuacją doświadczeń harcerskich, wyniesionych z rodzinnego domu. Mój ojciec Stanisław Lipiński już w 1923 roku należał do harcerstwa, uczestniczył w obozach, dosłużył się stopnia harcmistrza.



Zbiórka drużyny, trzeci od prawej stoi Stanisław Lipiński (obóz w lasach Łętowskich, 1923 rok)

To dzięki harcerstwu, a zwłaszcza Harcerskiemu Klubowi Sportowemu, w którego przedsięwzięciach uczestniczyłem, trwale rozbudzone zostało moje zainteresowanie sportem. Stąd kontynuowałem naukę we wrocławskiej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego, pomimo że mój wybór nie zyskał aprobaty mojej Matki, mimo to nie zmieniłem uczelni.

Z chwilą podjęcia pierwszej – z nakazu – pracy w Technikum Przemysłu Leśnego w Sobieszowie powołałem Szkolne Koło Sportowe. Na jego bazie utworzyłem Międzyszkolny Klub Sportowy „Karkonosze”. Praca w klubach sportowych z dziećmi i młodzieżą to nieomal całe moje życie. Pasi tej poświęciłem swoje umiejętności szkoleniowe, trenerskie i organizacyjne. Zawsze najwyższą nagrodą za wykonywaną pracę była dla mnie okazywana radość młodzieży uczestniczącej w zajęciach sportowych. Dawła mi ona siłę, energię do pokonywania przeszkód i trudności, których nie brakowało.

Pamiętałem też o moich harcerskich korzeniach, zawsze tam, gdzie można było pomóc harcerzom, pomagałem. Wspomnę, chociażby jedną z największych, masowych imprez sportowych w Polsce, jaką był Harcerski Bieg Narciarski Dzieci i Młodzieży, organizowany przez kilka lat na Polanie Jakuszyckiej w Szklarskiej Porębie.

Cieplisce stały się moim i mojej Matki drugim domem. Były dla nas oazą ciszy i stabilizacji po wojennej tułaczce i rodzinnej tragedii. Bowiem Ojciec w 1943 roku, jako polski oficer – major – instruktor harcerski – harcmistrz, rozstrzelany został w niemieckim obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Po latach przywiozłem spod ściany straceń tego obozu garstkę jakże znaczącej dla mnie ziemi. Umieściłem ją w grobie na sobieszowskim cmentarzu, który jest dla mnie grobem moich rodziców, dla urodzonych tu naszych dzieci i prawnuków, grobem dziadków i pradziadków.

Mam nadzieję, że te moje, może zbyt osobiste wspomnienia, wsparte rozmową z kolegami z naszej drużyny: Stefanem Bałkowskim, Jerzym Rządkiem i dostarczone przez nich zdjęcia, będą częstką odchodzącej w niepamięć historii harcerstwa Cieplic z lat młodości mojej oraz moich rówieśników – jakże często dziś już ostatnich, nielicznych żyjących, świadków tamtych dni.



21 Dolnośląska Drużyna Harcerzy; pierwszy rząd z werblami, od lewej: Bohdan Skowroński, Maciej Szadkowski, Jan Zawadzki, Jan Rządki, Stanisław Ciechanowski, Stefan Górski, Leon Kulczyński, Sławomir Stasiak-Czapiński, Zbigniew Krzyżanowski; drugi rząd: Zbigniew Grudzień, (?), (?), Henryk Szoka, Jerzy Dziedzic, Jerzy Osmólski, Andrzej Włodarski, Jerzy Rządki, Leszek Dragon, Stanisław Jonak, Witold Wall, Bogdan Viechowski; trzeci rząd: (?), Tomaszewski, (?), Niedźwiedzki, Zbigniew Lipiński, (?), Kolankowski, (?), (?), Marian Majewski, Stefan Bałkowski, (?), Ireneusz Grochodzki, (?), Malec, (?), Matuszewski, Ryszard Polak, (?), Jasiński, Janusz Dyterski, Bogusław Tendaj, Mieczysław Graczyk, (?), Sokołowski, Janusz Kozłowski, (?), Pustkowski. Przed trzecim rzędem – nachylony drużynowy Ireneusz Grochodzki (1947 rok).

Roman GIERLICKI ćwik

Urodził się 20.03.1927 w Dębicy na Podkarpaciu, tam w 1937 roku wstąpił do drużyny wodnej ZHP. Należał do Szarych Szeregów. Dnia 17 lipca 1945 roku wraz z rodziną przyjechał do Jeleniej Góry. Zgłosił się do organizatorów tutejszego harcerstwa. Przydzielony został do 2 Koedukacyjnego Kręgu Instruktorskiego przy Komendzie Chorągwi. Drużynowym 100 DDH został mianowany 9.09.1946.

Mój drużynowy Józef Stec był również zastępcą komendanta hufca hm. Jana Kity, który w czasie wojny był komendantem Szarych Szeregów w Dębicy.

Z chwilą wybuchu wojny czuliśmy się jakby powołani do służby Ojczyźnie. Starsi z nas zgłaszali się do wojska, młodszy do oddziałów samoobrony, by tam nieść pomoc ofiarom wojny. Wcześniejsze fachowe przygotowanie zdyscyplinowanej grupy harcerzy przyczyniło się do utworzenia drużyny Szarych Szeregów. Wstąpili do niej doświadczeni harcerze – koledzy szkolni. Komendantem został hm. J. Kita, w składzie komendy był J. Stec.

Działalność Szarych Szeregów obejmowała nie tylko Dębicę, ale i okoliczne miejscowości. Utrzymywaliśmy kontakty z harcerzami z powiatów: Mielec, Tarnobrzeg i Sandomierz. Na naszym terenie redagowane było pismo konspiracyjne „Odwet”. Jego kolportowaniem zajmowali się harcerze z naszej drużyny. Mieliliśmy swoje punkty kontaktowe np. zakład fryzjerski czy sklep spożywczy. W nich łącznicy z krakowskich Szarych Szeregów zostawiali rozkazy dla J. Kity.

Zajmowaliśmy się również kolportażem czasopisma „Polska żyje” dostarczanego z Krakowa. Gromadziliśmy materiały opatrunkowe, pieniądze, a także informacje o rozmieszczeniu jednostek niemieckich w okolicy miasta.

Kontynuowane było szkolenie wojskowo-sanitarne i konspiracyjne. Współpracowaliśmy z oddziałami Związku Walki Zbrojnej a następnie Armii Krajowej.

Podczas kolportowania gazety „Odwet” jeden z naszych kolegów został aresztowany. Niemcy zmusili go do wydania znanych mu nazwisk kolegów z Szarych Szeregów. Zaczęły się aresztowania. Kilkudziesięciu harcerzy, wśród nich J. Kita, trafiło na przesłuchanie do miejscowej siedziby gestapo. Stamtąd przewiezieni zostali do więzienia przy ulicy Montelupich w Krakowie, a następnie do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Nikt z aresztowanych nie ocalał.

Części z nas udało się uniknąć aresztowania, bowiem w porę powiadomieni, zdążyliśmy się ukryć. Wróciliśmy do walki konspiracyjnej, tym razem w szeregach AK, by walczyć z Niemcami. W działalności tej formacji miały też swój udział harcerki. Zajmowały się organizacją pomocy sanitarnej, były łączniczkami, kolportowały prasę, uczestniczyły w patrolach. Przykre, a nieraz tragiczne doświadczenia, jakie nas spotkały w czasie wojny, spowodowały, że ze względu na bezpieczeństwo, w naszej drużynie obowiązywał system piątkowy, tzn. tylko 5 osób mogło się znać.

Prawo harcerskie, przyrzeczenie, obowiązujące nas zasady moralne, znalazły potwierdzenie w okrutnej wojennej rzeczywistości, z którą przyszło się nam zmierzyć, mając zaledwie kilkanaście lat. Postawa nasza była walką o człowieczeństwo, protestem przeciwko upodleniu człowieka, niszczeniu zasad i wartości moralnych.

Z doświadczeniem nabytym w drużynie Szarych Szeregach przyjechałem do Jeleniej Góry. Zgłosiłem się do komendy chorągwi, zostałem przydzielony do Koedukacyjnego Kręgu Instruktorskiego, którym kierował Józef Dobski, a później Kazimierz Borzykowski. Poznałem członków Krę-

gu, z czasem ich wojenne tragedie, traumatyczne wspomnienia, o których niezbyt chętnie mówili. Każdy z nas chciał je wyrzucić z siebie, zapomnieć o nich, nigdy do nich nie wracać. Zintegrowani, pochłonięci harcerską pracą, zapominaliśmy – przynajmniej na chwilę – o tragedii, jaką była wojna i o naszych losach. Sprzyjały temu gawędy przy „kominkach” K. Sobolewskiego, J. Dobskiego, M. Stolarczyka, Cz. Hake, M. Nawracały, Józefa Skulskiego i innych zapraszanych gości.

Przynależność do Kręgu była nie tylko uczestnictwem w szkoleniu przyszłych drużynowych czy też organizacji tematycznych kominków, biegów, przyrzeczeń harcerskich dla przyjmowanych do ZHP. Byliśmy angażowani do szeregu innych prac: ustalania miejsc odpowiednich dla stacjonowania obozów, organizacji kursów, narad i szkoleń. Pracowaliśmy przy organizacji uroczystości państwowych i lokalnych, w których braliśmy udział. Nierzadko też jako łącznicy z komendy chorągwi, docieraliśmy z ważnymi wiadomościami do powstających na terenie Dolnego Śląska drużyn i hufców ZHP.

Nie omijały nas prace związane z naszą siedzibą, jaką był Dom Harcerza. Angażowano nas do zajęć związanych z jego funkcjonowaniem. Organizowaliśmy zaopatrzenie dla mieszczących się w nim sklepów i stołówek. Do naszych obowiązków należało przygotowanie pobytu i realizacja programu narad i szkoleń instruktorów przyjeżdżających z terenu Dolnego Śląska.

Harcerstwo dysponowało też przystosowanym do szkoleń okazałym budynkiem w Karpaczu oraz nieco mniejszym w Szklarskiej Porębie. Tam były harcerskie konie, a w Jeleniej Górze harcerska apteka. Angażowano nas do pracy na rzecz tych posiadłości. Wykonywaliśmy prace fizyczne, pomagaliśmy w organizacji szkoleń, które w obiektach tych były urządzane.

Często też byliśmy przewodnikami dla przyjezdnych, po mieście i okolicznych miejscowościach. Wskazywaliśmy też, gdzie mieszczą się poszczególne urzędy, gdzie można przenocować, coś zjeść, czym i skąd dojechać do danej miejscowości. Takiej wiedzy wymagała od nas m.in. współpraca z PUR i PCK. Zналиśmy też ukryte na leśnych polanach miejsca stacjonowania obozów harcerskich. Byliśmy ich przewodnikami po ciekawych miejscach w rejonie Karkonoszy.

Wiedzę o regionie i mieście zdobywaliśmy w pierwszych miesiącach harcerską metodą „zwiadu środowiskowego”. Nie brakowało też folderów i map turystycznych pozostawionych przez Niemców.

W sposób nieomalże szkolny poznawaliśmy nasz region, kiedy to do Jeleniej Góry w lipcu 1945 roku przyjechał Józef Sykulski, nauczyciel zatrudniony w Państwowym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym. Podczas spotkań przy „kominku” opowiadał, że pracując w okresie okupacji u stolarza, dostał od niego książkę zatytułowaną „W Górach Olbrzymich” autorstwa Stanisława Belży. Zainteresował się jej treścią, zaczął uzupełniać tę wiedzę w praktyce. Wędrował po okolicznych górach, miastach i wsiach. Poznawał je, zbierał niemieckie książki o mieście i okolicy. Działalność tę, ułatwiały mu odpowiednie zaświadczenia, m.in. z Ministerstwa Oświaty.

Zgromadzona wiedza pozwoliła J. Sykulskiemu na wydanie kilku publikacji związanych z regionem m.in.: „Liczyrzepa zły duch Karkonoszy i Jeleniej Góry” (1945), „Jelenia Góra i okolice” (1945), „Ilustrowany przewodnik po Jeleniej Górze i okolicy” (1946), „Karkonosze i Góry Izerskie” (1946) i wielu informatorów-przewodników. W czasie „kominkowych” spotkań poznawaliśmy te książki. Dostarczaliśmy je drużynowym, powołanemu przez członków 1 Koedukacyjnego Kręgu Harcerskiego, Oddziałowi Dolnośląskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

w Szklarskiej Porębie. Wkrótce w naszych książeczkach służbowych, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, wpisywana była nasza regionalna sprawność – przewodnik po Karkonoszach czy też przewodnik po Jeleniej Górze.

W pierwszym kwartale 1946 roku, wspólnie z Romanem Wielebnowskim, absolwentem pierwszego kursu drużynowych zorganizowanego w „Lipowym Zaciszy”, zostaliśmy skierowani do organizacji drużyny harcerskiej przy Szkole Podstawowej nr 2. Nie było spontaniczności w przyjmowaniu kandydatów. Pierwszymi przyjętymi byli harcerze, którzy rozpoczynali naukę w Szkole. Oni byli wprowadzającymi kandydatów do drużyny, bowiem każdy z nich musiał mieć dwóch wprowadzających. Z tak dobranym składem rozpoczynaliśmy pracę drużyny.

Na początku chcieliśmy się wzajemnie poznać. Mówiliśmy im o naszym harcerskim doświadczeniu, czym dla nas jest harcerstwo, jak chcemy je tu organizować. Pytaliśmy każdego, czemu chce wstąpić do harcerstwa? Odpowiedzi, które usłyszeliśmy, pomagały nam zaplanować program szkolenia drużyny tak, by w okresie próbnym, każdy z nich mógł zdecydować, czy chce być harcerzem.

Informowaliśmy ich o prawach i obowiązkach, jakie ma każdy harcerz. Zapoznawaliśmy z „Prawem” i „Przyrzeczeniem harcerskim”, zwracając uwagę na znaczenie ich treści. Wspominaliśmy o historii harcerstwa, o bohaterskich postawach członków Szarych Szeregów, o ich tragicznych losach w okresie wojny. Zapoznawaliśmy z systemem sprawności i stopni, których zdobywanie jest powinnością każdego harcerza. Kolejnym etapem poznawania harcerstwa były zajęcia w terenie. „Ogniska” z odpowiednio dobranym programem: gawęda, nauka piosenek, musztra.

Okres próbny drużyny kończył się biegiem harcerskim, jego zaliczenie było decydujące o przyjęciu do drużyny.

ny. Obserwatorem biegu był przedstawiciel komendy hufca. Dokonywał on oceny biegu, jego pozytywna opinia była podstawą do wniosku o przyjęcie drużyny do ZHP.

Komendant chorągwi rozkazem L. 8 z dnia 1.07.1946 przyjął drużynę do ZHP. Otrzymała ona numer 100 i imię Generała Józefa Sowińskiego. Generała, który poległ w 1831 roku podczas szturm wojska rosyjskiego na Warszawę. Drużynowym mianowany został Roman Wielebnowski ćwik. Zostałem przybocznym, nadal wspólnie prowadziliśmy drużynę.

Po dwóch miesiącach R. Wielebnowski odwołany został z funkcji drużynowego. Decyzja ta, w gronie drużynowych, wzbudzała niezadowolenie i wiele domysłów. Chcieliśmy poznać jej powody. Braliśmy pod uwagę i taką ewentualność: pomimo że władze państwowe zakazały organizowania uroczystości z okazji święta Konstytucji 3 Maja, my, jeszcze jako drużyna próbna, maszerowaliśmy ulicami miasta. A może to, że harcerze z naszej drużyny składali przyrzeczenie harcerskie według „starej” formuły?

Nie poznaliśmy powodów odwołania R. Wielebnowskiego. Znałem go, pracowaliśmy w kręgu instruktorskim. Słuchaliśmy tych samych gawęd, wspólnie śpiewaliśmy harcerskie piosenki i wykonywaliśmy powierzone zadania. Poznaliśmy swoje wojenne losy. Wiem, że był wierny harcerskim ideałom, doświadczył, co znaczyło być członkiem Szarych Szeregów. Jego merytoryczna harcerska działalność nie mogła być powodem odwołania.

Po ukończeniu wakacyjnego kursu drużynowych mianowany zostałem we wrześniu drużynowym 100 DDH. Przybocznym został Bolesław Kiliński HO., który dotychczas z nami pracował w kręgu instruktorskim.



W lipcu 1947 roku zorganizowaliśmy pierwszy samodzielny obóz drużyny w pobliskich Michałowicach. W bramie stoją uczestnicy obozu: w ostatnim rzędzie: drugi od lewej w czapce – Roman Gierlicki, dalej Bolesław Kiliński – przyboczny.



Soją w środku: R. Gierlicki, B. Kiliński, po ich prawej i lewej stronie funkcyjni, przed nimi zastęp wartowniczy

W drużynie obowiązywała zasada: każdy, kto chciał wstąpić w jej szeregi, musiał mieć dwóch wprowadzających. Wynikało to z doświadczenia, które nabyliśmy w Szarych Szeregach. Wiedzieliśmy, że przypadkowe przyjmowanie źle się kończyło, a nawet prowadziło do dramatów.

W kręgu instruktorskim obowiązywały podobne zasady, szczególnie ważną była dyskrecja. Wysyłani z wiadomościami do odległych hufców, otrzymywaliśmy je ustnie, nie na piśmie. Nieraz dotyczyły one ważnych wydarzeń w kraju, np. referendum, wyborów do sejmu, czy też działań poprzedzających zjednoczenie organizacji młodzieżowych.

Na pierwszy obóz drużyny, który był podsumowaniem naszej rocznej pracy, starannie dobraliśmy uczestników. Każdy z nich posiadał kompletny mundur harcerski, plecak, 2 koce, menażkę, manierkę, przybory toaletowe. Namioty rozbiliśmy na leśnej polanie w rejonie leśniczówki. By strzec bezpieczeństwa obozu, wyposażeni byliśmy w broń palną.



Wyposażony w broń palną, młody wartownik, wydawałoby się, że czyta gazetę. Nie jest to prawdą. Wystarczy się przyjrzeć, by dostrzec w niej dziurę. Przez nią dyskretnie strzegł obozu, jego mienia, namiotów, kuchni, stołówki, kapliczki, a przede wszystkim bezpieczeństwa uczestników. Zwłaszcza, że teren nie należał do bezpiecznych. Komendant obozu wiedział o działaniu w rejonie Karkonoszy niemieckich band Werwofu.



W drodze na zgrupowanie obozów hufca w Łazach (1948 rok)

W 1948 roku wprowadzono zmiany programowe i organizacyjne. Powstała Harcerska Służba Polsce (HSP). Zgrupowania obozów HSP organizowała komenda hufca, ustalała ich program. W okresie wakacji drużyny nie mogły wyjeżdżać na samodzielne obozy.

W czerwcu niespodziewanie dostałem powołanie do wojska (Wojska Ochrony Pogranicza w Szczecinie). Na urlop, dłuższe przepustki, przyjeżdżałem do Jeleniej Góry, spotykałem się z drużyną i jej drużynowym B. Kilińskim.



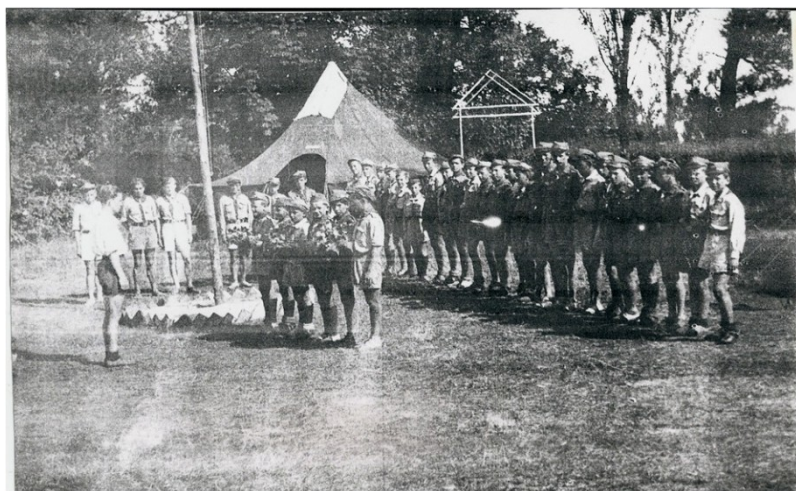
Harcerze z 100 DDH pracują przy zwózce siana; pierwszy z lewej B. Kiliński (obóz w Łazach 28.06- 30.07. 1948)

Sprawności				Sprawności			
L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego	L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego
1.	muszkarz	RD. 2/47 30.VII.47		11.	gonia	R.115 16.VIII.49	
2.	lokaj	-II-		12.	gospodar	R.117 18.VIII.49	
3.	pisarz	-II-		13.	zadobnik	R.118 18.VIII.49	
4.	zadobnik	-II-		14.	świecizna	R.119 18.VIII.49	
5.	drwal	-II-		15.	Bibliote.	R.120 18.VIII.49	
6.	świecizna	-II-		16.	Opiek.dz.	R.121 18.VIII.49	
7.	św. oboz.	R.122 4.VIII.47		17.	Ralmik	R.122 18.VIII.49	
8.	magist. dom.	R.123 5.VIII.47		18.	Slusarz	R.123 18.VIII.49	
9.	zdun	R.124 18.VIII.47		19.	Elektr. t.	R.124 18.VIII.49	
10.	ł pomoc	R.125 18.VIII.47		20.	lesnik	R.125 18.VIII.49	

W książeczce służbowej Stanisława Kwiatkowskiego, zastępowego 100 DDH, wpisane są sprawności zdobyte m.in. na obozie HSP w Łazach, nadal stare. Te nowe, od pozycji 14., zdobyte w 1949 roku podczas obozu w Śliwnie, potwierdzone są pieczęcią drużyny (czerwony tusz) i podpisem drużynowego.



Zgrupowanie obozów jeleniogórskiego hufca stacjonowało w Śliwnie, Rewalu i Trzęsacz; na zdjęciu 100 DDH w Śliwnie.



Zbiórka drużyny na placu apelowym. Zastępowi z wiązkami kwiatów witają nowego drużynowego Bolesława Fanga ćwika. Częste zmiany drużynowych w dużej mierze powodowane były wprowadzanymi zmianami programowymi i organizacyjnymi. Nie były one przez wszystkich akceptowane, zwłaszcza wśród kadry hufca.

Przydział służbowy		Przydział służbowy	
Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:	Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
R.L. 8/46 28. IV. 1946.	100 D.D.H. in. gen. Sowińskiego w. gen.  (podpis i funkcja przełożonego)		
Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:	Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:
L.R. 11/50 10.1.50.	100 D.D.H. in. gen. Sowińskiego w. gen. Sowińskiego  (podpis i funkcja przełożonego)		

W drużynach byli harcerze, którzy rezygnowali z przynależności do ZHP. S. Kwiatkowski zrezygnował 1.01.1950 roku

Fakt, że jeszcze w styczniu 1950 roku w jeleniogórskim hufcu można było zobaczyć harcerskie mundury, świadczy, że tak zwana „reorganizacja” nie była przez wszystkich akceptowana. Wprowadzała szereg zmian określonych w Rozkazie Naczelnictwa ZHP L.2/49 z dnia 10.03.1949. Powtórzył je komendant chorągwi Dolnośląskiej rozkazem L.3/49 z dnia 1.04.1949.

Zmiany dotyczyły m.in. struktur harcerskich, miały być one dopasowane do struktur ZMP. Unieważniono Regulamin stopni i sprawności harcerskich. Wprowadzono nowe nazwy stopni: „młodzika” zastąpiono nazwą „ochotnik”, „wywiadowcę” – „pionierem”, „ćwika” – „przewodnikiem”, „harcerza orlego” – „organizatorem”. Polecono przekazywać młodzież harcerską, która ukończyła 15 rok życia w szeregi SP i ZMP (nie dotyczyło to harcerzy starszych, którzy pełnili funkcje od drużynowego do władz naczelnych. Wprowadzenie zmian miało nastąpić do dnia 15.04.1949, napisano w rozkazie).



Na obozie budowaliśmy kapliczkę. W tym miejscu zadumy żegnaliśmy i witaliśmy każdy dzień harcerską modlitwą.

Wprowadzane zmiany programowe i organizacyjne, zmierzające do zaprzestania działalności ZHP, stawały się faktem. Harcerze dołączali do masowej organizacji, jaką było OHZMP. Dla mnie przynależność do ZHP była wyróżnieniem, zaszczytem i dumą – byłem wśród tych, którzy walczyli o wolną Polskę. Po jej wyzwoleniu harcerstwo było dla mnie wiarą i nadzieją na lepsze jutro.

Dziś, po latach, wracam pamięcią do szczęśliwych, powojennych dni. Natomiast tych przykrych doświadczeń z okresu wojny z mojej pamięci wymazać się nie da. One jak zły sen budzą mnie po nocach. Wracają wspomnienia, a wraz z nimi nadzieja, że już nigdy harcerze nie będą więźniami niemieckich obozów koncentracyjnych, przymusowymi pracownikami czy też Sybirakami.

100 DDH im. gen. Józefa Sowińskiego do ZHP została przyjęta rozkazem L.8. komendanta chorągwi z dnia 1.07.1946. Drużynowymi byli kolejno: Roman Wielebnowski ćw., od 10.09.1946 Roman Gierlicki ćw., od 1.09.1948 Bolesław Kiliński HO., od 1.03.1949 Bolesław Fank ćw., od 1.11.1949 Kazimierz Bitner.

Mirosław Grabowski – harcerz orli

Był drużynowym 22 Lotniczej DDH. Jego droga do ZHP, pełna dramatu, wiodła przez Szare Szeregi, powstanie warszawskie, selekcję dokonaną przez Niemców, przymusową pracę w Hucie Szkła Kryształowego „Józefina” w Szklarskiej Porębie, aż po szczęśliwy koniec wojennej udręki w Jeleniej Górze.

Niezwykłą radość sprawił nam w lipcu 1944 roku widok ciągnących ze wschodu przez most Kierbedzia (obecnie Śląsko-Dąbrowski) resztek oddziałów niemieckich, pozbawionych chęci dalszej walki.

Na naszych oczach rozwił się mit nieustraszonej, zwycięskiej armii, która według pieśni „Wacht am Rhein” z 1840 roku miała zapewnić spokój i bezpieczeństwo swojej ojczyźnie:

*„Lieb Vaterland, magst ruhig sein
Fest steht und treu die Wacht am Rhein”*

czyli:

*„Miła Ojczyzno, spokojna być masz
Silna i wierna nad Renem jest straż”.*

Wspomniany widok i coraz głośniejsza kanonada radzieckich dział zza Wisły utwierdzały nas w naiwnym przekonaniu, że zbliżający się zryw powstańczy musi się udać.

Zawdzięczam przypadkowi, że dwa dni przed wybuchem powstania powróciłem do Warszawy z pobliskiego Michalina na linii otwockiej, gdzie u znajomych dochodziłem do zdrowia po przebytej infekcji. Nieco dłuższy pobyt pod Warszawą oznaczałby szybsze o 9 miesięcy „wyzwolenie” i brak możliwości bezpośredniego śledzenia upadku Trzeciej Rzeszy.

Moja pasja filatelistyczna i chęć powiększenia księgozbioru były przyczyną częstych wizyt na ulicy Mazowieckiej, pełnej antykwariatów i sklepów ze znaczkami. Kierowany pragnieniem uzupełnienia przedwojennej serii historycznej z nadrukiem „General Government” o brakujące egzemplarze, udałem się tamże w południe 1 sierpnia.

Godzina „W” zastała mnie w pamiętny wtorek na Placu Bankowym, kiedy wracałem do domu od kolegi mieszkającego za Arsenalem, na spokojnej uliczce Przejazd, biegnącej wzdłuż murów getta. Chaotyczna strzelanina zmusiła mnie do mocniejszego naciśnięcia pedałów mojego roweru, by po szaleńczej jeździe ulicą Senatorską i przez pasaż Luksemburga dotrzeć do ulicy Alberta.

Nasze mieszkanie położone na drugim piętrze kamienicy pod nr 8 było znakomitym celem dla snajperów z pobliskiego Pałacu Bruhla, z czego kilkakrotnie nie omieszkali korzystać, powodując straty na szczęście wyłącznie materialne. Było to wystarczającym ostrzeżeniem, aby znaleźć bezpieczniejsze miejsce i rozpocząć koczowanie w piwnicach naszego domu. Podwórka oddzielone od ulic frontonami domów oraz połączone piwnice szeregu kamienic zaczęły pełnić rolę nowych, podziemnych arterii komunikacyjnych, służących głównie przemieszczającym się oddziałom powstańczym. Widok białoczerwonych opasek, polskich orzełków i przedwojennych mundurów wywoływał w nas po kilku latach okupacji niezwykłą euforię.

Pierwsze sześć dni, poza strzelaniną i docierającymi sygnałami o rzezi wśród ludności cywilnej na Woli, było względnie spokojnych. Nie było mowy o głodzie, tak dotkliwie odczuwanym przez mieszkańców Warszawy w okresie późniejszym powstania, a zgromadzone zapasy żywności pozwalały na dostarczanie posiłków rannym i chorym, przebywającym w pobliskim Szpitalu Maltańskim.

Krótki czas „wolności” zakończył się we wtorek 8 sierpnia, kiedy rankiem żołnierze SS zaczęli przeprowadzać selekcje mieszkańców naszych domów. Początkowo znalazłem się wśród mężczyzn i tylko dzięki interwencji pewnej Niemki, udało mi się wrócić do grupy kobiet z dziećmi. Jak się później dowiedzieliśmy, w ruinach Teatru Wielkiego Niemcy dokonali w tym dniu kilku egzekucji na wybranych zakładnikach z naszego domu i księżach z pobliskiego kościoła św. Antoniego.

Nasza wędrówka przez płonącą Warszawę rozpoczęła się od marszu przez ulicę Wierzbową, Plac Piłsudskiego (wówczas Adolf Hitler Platz) do ruin kamienicy na tyłach hotelu Europejskiego. Wywoływało to wśród dorosłych poważne obawy i jak najgorsze oczekiwania. Skończyło się szczęśliwie na pewnym zastraszeniu i uformowaniu kolumny, którą pognano obok Grobu Nieznanego Żołnierza przez Ogród Saski w kierunku Placu Żelaznej Bramy. Na ulicy biegnącej wzdłuż Ogrodu, a będącej pod ostrzałem powstańców, utworzono z nas żywą barykadę, za którą przemieszczały się oddziały niemieckie. Na Placu Żelaznej Bramy omialiśmy zwłoki cywilów leżące na ulicy. Przechodząc obok płonącej hali targowej, poczułem, że zapaliły mi się włosy.

Następnym miejscem krótkiego postoju był kościół przy Chłodnej, gdzie Niemcy umieszczali kobiety na maskach samochodów ciężarowych, by w ten sposób osłonić kierowców przed atakiem powstańców. Dalszy marsz ulicą Wolską przerywany był konfiskatą zegarków i biżuterii, dokonywaną głównie przez oddziały rosyjskojęzyczne.

Do Dworca Zachodniego dotarliśmy już późnym popołudniem, aby po krótkiej podróży znaleźć się w olbrzymich halach parowozowni w Pruszkowie. To miejsce i panująca tam atmosfera stało się później tematem wielu filmów i powieści. Wspomnę tylko, że nazajutrz widząc, że nie ma szans na ucieczkę z tego obozu przejściowego, zdecydowaliśmy się

na podróż w nieznane jednym z podstawionych pociągów towarowych.

Wydawało się, że zajęcie miejsca w kącie wagonu, w pobliżu okienka pod sufitem, będzie dogodnym rozwiązaniem podczas kilkudniowej podróży. Okazało się już na pierwszym postoju w Skierniewicach, że niemożliwe jest dotarcie z głębi wagonu do drzwi otwartych specjalnie po to, aby miejscowa ludność mogła podawać butelki wody. Siedzące bliżej wejścia panie skutecznie utrudniały mi próbę wstawiania się w grupę osób niosących pomoc przejeżdżającym transportom. W ten sposób nie udało mi się pozostać w Generalnej Guberni i nie dane mi było znaleźć się w pobliskim Jeżowie, gdzie wujek prowadził aptekę i udzielił schronienia wielu warszawiakom w tych trudnych chwilach.

Wyruszyliśmy w kilkudniową podróż, która trwała tak długo nie ze względu na pokonywane odległości, lecz z konieczności zapewnienia pierwszeństwa przejazdu regularnym transportom wojskowym. Pierwsza przerwa w „komfortowej” podróży nastąpiła w małej miejscowości Kamenz koło Bautzen. Z boczniczy kolejowej trafiliśmy do pobliskiej, nieczynnej cegielni. Spanie na belkach pokrytych pyłem ceglanym, ale jednak z warstwą słomy, było pewnym postępem w porównaniu z zatłoczonym wagonem towarowym.

Nie pamiętam, czy w czasie podróży, czy podczas postoju, dopadła mnie dość wysoka gorączka, której zawdzięczałem krótki pobyt w miejscowym szpitaliku. Wspominam to wydarzenie jako coś niezwykłego: czysta pościel, normalne łóżko i możliwość korzystania z łazienki. Nie trwało to jednak długo. Wkrótce ruszyliśmy w dalszą drogę do Wrocławia. Po dotarciu na miejsce uformowani w czwórki, maszerowaliśmy późną porą ciemnymi, ponurymi ulicami, które przypominały wąwozy, w kierunku przejściowego obozu Burgweide (Sołtysowice). Ten trwający około tygodnia epizod wspominam najgorzej z całej sierpniowej wędrówki.

Był to rodzaj obozu koncentracyjnego, na szczęście bez obiektów zaplanowanych do eksterminacji. Olbrzymi teren z szeregami drewnianych baraków, otoczony był wysokim murem, zakończonym drutem kolczastym. Przy wejściu uzbrojeni wachmani niemieccy i ukraińscy. Baraki, wyposażone w zbiorowe prycze, pozbawione były podłóg, co sprzyjało powstawaniu kałuż po większych ulewach.

Przeżyciem zasługującym na odnotowanie była wizyta w łaźni, połączona z parówką i dezynfekcją. Pierwszy etap polegał na pozbyciu się przez stłoczoną ciżbę ludzką w pomieszczeniu o betonowej podłodze, wszelkiego odzienia, które trafiało do dezynfekcji. Następnie tych zziębniętych golasów poddawano w kolejnej sali procesowi oduszwawiania, po czym następowała w wielkim tłoku i zamieszaniu kąpiel, jednak bez możliwości regulacji ciśnienia i temperatury wody leżącej się z natrysków. Po tych ablucjach delikwenci wypędzani byli do wyjątkowo zimnego pomieszczenia, aby po dłuższym oczekiwaniu otrzymać swoje ciepłe jeszcze ubrania z parówki.

Przejęcie opisanego procesu było warunkiem przeniesienia do drugiej części obozu, gdzie odbywały się kolejne selekcje przed dalszą wysyłką w głąb Niemiec. Związane to było z nieustającymi apelami, odliczaniem, segregowaniem, spisywaniem personaliów etc. Nie było to łatwe do zniesienia przy głodowych porcjach żywności, składających się z paru kromek ciemnego chleba, czasami z marmoladą lub z margaryną, a rolę ciepłego posiłku pełniła nieustannie zupa z kiszanej brukwi, przywożona w hermetycznych pojemnikach.

Pazerność pilnujących nas Ukraińców i resztki rodowej biżuterii Mamy oraz obu cioć, zapewniały nam luksus zjedzenia świeżego ogórka i pomidora. Przebywając w takich warunkach, czekaliśmy na szansę wyrwania się z tego „raju”, nie wiedząc, co nas czeka w najbliższej przyszłości.

Oczekiwana okazja nadarzyła się 20 sierpnia, kiedy znów zwartą kolumną pomaszerowaliśmy w ciemnościach przez puste ulice Wrocławia do Dworca Głównego. Nie przypuszczałem wówczas, że za niecały rok dane mi będzie ponownie zobaczyć to miasto, jako wielkie rumowisko z charakterystycznym słodkawym zapachem spalenizny i rozkładających się zwłok. Taki los zgotowali sobie, dzięki swemu fanatyzmowi i obłudnej propagandzie, sami Niemcy, zmuszając swych rodaków do opuszczenia od połowy stycznia 1945 roku Festung Breslau i niszcząc około 10.000 domów z ogólnej liczby 30.000 budynków miasta.

Po kilkugodzinnym pobycie na terenie dworca znaleźliśmy się po raz pierwszy w wagonach osobowych pociągu elektrycznego, który po stosunkowo krótkiej podróży dowiózł nas do stacji o nazwie Hirschberg Hbf. Ta mniejsza już, bo kilkudziesięcioosobowa grupa kobiet i dzieci, została przeprowadzona ulicami uśpionego miasta do siedziby Czerwonego Krzyża mieszczącego się przy ulicy zwanej obecnie Józefa Piłsudskiego, vis-à-vis Armii Krajowej.

Na betonie podwórka tej charytatywnej instytucji po-grążyliśmy się po trudach podróży w głębokim śnie, z którego zostaliśmy wyrwani wczesnym rankiem przy pomocy kubłów zimnej wody, rozlewanej ochoczo przez starszych panów, w szarych mundurach z emblematami DRK. Oryginalność takiego powitania na jeleniogórskiej ziemi była wstępem do poddania się kolejnej kąpieli, połączonej z parówką resztek naszego dobytku.

Odświeżeni i ciekawi dalszych losów, zostaliśmy doprowadzeni na dziedziniec Arbeitsamtu przy ul. Wilhelmstrasse (al. Wojska Polskiego nr 18). Po drodze oczom naszym ukazało się uroczne miasteczko, schludne i zadbane, istna oaza spokoju w porównaniu ze zgliszczami Warszawy. Szczególne wrażenie zrobiły na nas pełne zieleni ogródki przed większością domów.

Przez następne dni czekaliśmy na przydział pracy pod siedzibą Arbeitsamtu. Noce spędzaliśmy na pryzkach baraku przylegającego nieomal do basenu pływackiego, który, podglądany przez ogrodzenie, jawił mi się w promieniach wschodzącego słońca jak niezwykle zjawisko.

Nie przypuszczałem wówczas, że za kilka dni będę mógł zaznać uroków kąpieli w tym podziwianym obiekcie, nie przyznając się do swojego pochodzenia. Okazję tę zawdzięczam uprzejmości kierowcy Arbeitsamtu, który wbrew zakazom odważył się wprowadzić mnie na teren basenu, licząc, że początki mojej niemczyzny nie pozwolą na zdekonspirowanie. Muszę przyznać, że nie był to jedyny przejaw sympatii, z jakim spotkałem się wówczas ze strony tubylców, wiedzionych ludzkim odruchem bądź przeczuciem zbliżającego się końca ich panowania. Pewnego dnia zostałem zaproszony na pyszny gulasz przez panią piekarsową, której Bäckerei znajdowała się vis-à-vis Arbeitsamtu.

Kilkudniowy pobyt w mieście dobiegał końca, a wyjazd do Ober Schreiberhau poprzedzony był jeszcze badaniem lekarskim. Znajomość polskiego u badającego nas lekarza, ograniczała się do dwóch słów: „dychać” i „nie dychać”.

Przyjazd kilkunastoosobowej grupy ludzi do huty szkła kryształowego zwanej „Josephinenhütte” wydał nam się atrakcyjniejszy niż skierowanie części „warszawiaków” do fabryki amunicji mieszczącej się w pobliskim Petersdorfie (Piechowicach). Ta pozorna atrakcyjność wynikała z naszych kalkulacji, że huta szkła, mimo wieloletniej tradycji, mogła się wydawać dla lotnictwa alianckiego mniej pożądanym celem niż fabryka amunicji, a ponadto była usytuowana u podnóża gór, stanowiąc punkt wypadowy do szeregu schronisk zwanych „baudami”, mającymi tajemnicze dla nas nazwy własne: „Zackelfall”, „Neue Schlesische”, „Reifträger”, „Schnee gruben”, „Prinz Heinrich” itp., aż do gó-

rującej Śnieżki, zwanej Schneekoppe. Zrobiło to na mnie wrażenie, gdyż było to pierwsze zetknięcie z górami, jako że przed wojną na tzw. Wywczasach udawałem się z rodzicami nad Bałtyk.

Nasz tzw. Frauenlager składał się z kilkunastu pań w średnim i bardziej zaawansowanym wieku oraz z grupy młodzieżowej reprezentowanej przez dwie czteroletnie dziewczynki i dwie w wieku ośmiu lat oraz dwóch trzynastolatków stanowiących jedyny męski (!) akcent w tej przypadkowo zebranej grupie, mającej stanowić siłę roboczą. Umieszczono nas w dwupokojowym mieszkaniu, w niewielkim, zbudowanym z kamienia domu, położonym naprzeciwko huty. Wystarczyło przejść jakieś 100 metrów mostem przez rzekę, by dojść do naszego miejsca pracy.

Moja pierwsza w życiu praca fizyczna miała polegać na przygotowaniu drewnianej formy, w której majster umieszczał płynną kulę szkła znajdującą się na końcu długiej metalowej rurki - piszczeli i dmuchając w nią, obracał w tej formie tak długo, aż nabrała pożądanego kształtu i była gotowa do oddzielenia od metalowej rurki. Kolejność moim czynnościom nadawały następujące fazy procesu produkcji:

1. zanurzenie pustej formy w zbiorniku z wodą celem ochłodzenia,
2. umieszczanie gorącego wyrobu na długich widłach,
3. dostarczanie go i właściwe położenie w wózku znajdującym się w rozpalonej komorze-piecu, celem stopniowego ochładzania,
4. powrót do dużego pieca i przygotowanie formy dla majstra, który jednym końcem wspomnianej rurki, ruchem obrotowym, nabierał płynne szkło z pieca hutniczego i przy pomocy drewnianej łyżki i zręcznych ruchów, przygotował odpowiedniej wielkości bańkę-kulę szkła, którą umieszczał w trzymanej przeze mnie formie.

Praca na akord narzucała duże tempo, przerywane tylko krótkimi chwilami na śniadanie i obiad. Jak na mężczyzn przystało, przydzielono mnie i mojemu rówieśnikowi Sławkowi Wójcickiemu, największe wyroby: wazony i salaterki z grubego szkła (Bleikristall), co miało wpływ na wielkość i wagę form, które zanurzałem i wyjmowałem z wody, ustawiając je w odpowiednim miejscu. Te ciężkie wyroby przenosiłem na wspomnianych widelkach do pieca, w którym ulegały powolnemu ochłodzeniu. Panie na szczęście pracowały przy produkcji lżejszego asortymentu (szklanki, kieliszki) lub zdobywały zawód szlifierza.

Nie mogłem doczekać się pierwszej niedzieli, aby trochę odpocząć od monotonnej, ale niezbyt lekkiej pracy. Moje oczekiwania rozwił nasz Lagerfuehrer, ponura postać w mundurze SA, „zapraszając” mnie wraz ze Sławkiem do rozładowania wagonu pełnego cegieł na pobliskiej stacji kolejowej o nazwie Josephinenhütte. Po tak urozmaiconym dniu w następne niedziele mogłem cieszyć się względną swobodą. Czas wolny od pracy przeznaczałem na poznawanie najbliższych okolic, sam lub w towarzystwie dwóch nowo poznanych rówieśników, synów niemieckich majstrów z huty, którzy odłożywszy mundury Hitlerjugend, odkrywali przede mną uroki gór zwanych wówczas Riesengebirge.

Do ulubionych rozrywek nastolatków należały zjazdy pustą zazwyczaj szosą, na trasie Szklarska Poręba Górna – Piechowice, sankami lub czterokołowymi wózkami, przy których dyszel spełniał rolę kierownicy, a noszone przez nas drewniaki nadawały się wspaniale do zmniejszania zbyt dużych szybkości. Powroty do obozu następowały, w zależności od kondycji lub zasobności kieszeni, pieszo albo pociągiem elektrycznym.

Od czasu do czasu w niedzielne popołudnia miałem okazję bywać u niemieckiej rodziny państwa Holmannów na „kawie z ciastem”, co łączyło się również z słuchaniem

wiadomości BBC. Gospodarz był niemieckim komunistą, a jednocześnie szefem mojej ciotki, która pracowała w szlifierni. Ja występowałem podczas tych spotkań w roli tłumacza i budzącego współczucie dziecka, które „nazistowskie świnię” zmuszają do pracy. Moja jako taka znajomość niemieckiego powodowała, że brałem udział w wizytach moich współtowarzyszy niedoli u miejscowych lekarzy. Do moich obowiązków należało ponadto robienie zakupów, w oparciu o przydziały kartkowe, dla całego obozu.

Przyjazd tak dużej grupy Polek do tak odległego zakątku Trzeciej Rzeszy wywołał zainteresowanie rodaków zatrudnionych w okolicy. Do tego grona należeli: piekarz z Poznania, rzeźnik, kominiarz i rodzina pracowników rolnych, zatrudnionych w miejscowym nadleśnictwie. Wkrótce miało się okazać, że znajomości te były bardzo przydatne, a nawet pozwoliły przetrwać nam na tym terenie do końca wojny.

Przykrym incydentem, jaki miał miejsce na jesieni 1944 roku, było aresztowanie przez gestapo mojej Mamy i jej siostry. Powodem kilkunastodniowych przesłuchań w więzieniu w Jeleniej Górze były przypadkowe rozmowy mojej rodziny z jedną z urzędniczek Arbeitsamtu w obozie w Burgweide, która okazała się Żydówką. Po jej zdemaskowaniu, sprawdzano skrupulatnie wszystkie kontakty na podstawie znalezionych notatek.

Święta Bożego Narodzenia, dzięki paczkom otrzymanym od rodzin mieszkających w Generalnej Guberni, obchodziliśmy w miarę uroczyście. Nic nie zapowiadało, że względna stabilizacja, jaką cieszyliśmy się od czterech miesięcy, ulegnie już za miesiąc zakłóceniu.

Postępy Armii Czerwonej utrudniały zaopatrzenie huty w węgiel, a zasoby z zagłębia wałbrzyskiego były prawdopodobnie przeznaczane do produkcji ważniejszych

strategicznie wyrobów. W lutym 1945 roku zostaliśmy poinformowani, że huta będzie zamknięta, a polska część załogi, po otrzymaniu suchego prowiantu, zostanie odstawiona do Jeleniej Góry, aby włączyć się do jednego z pieszych transportów udających się do Saksonii.

JOSEPHINENHÜTTE
 AKTIENGESELLSCHAFT
 KRISTALLGLASWERKE

(8) Schreiberhau i. Rsgb. RBNr. 0/0134/0037
 Post: Ober-Schreiberhau Vorstand:
 Bahnhof: Josephinenhütte N. Peter, Schreiberhau
 FERNRUF: Ober-Schreiberhau 205

ABSENDER: JOSEPHINENHÜTTE A. G., OBER-SCHREIBERHAU

Bescheinigung!

Ihr Zeichen	Ihre Nachricht vom	Unser Zeichen	Schreiberhau, den 9.2.45
-------------	--------------------	---------------	-----------------------------

Es wird hiermit bescheinigt, dass die polnischen Frauen

Bodalska
 Grzbowska
 Galecke
 Graboska
 Wojzicka
 Janicka

sowie Grabowski, Mirosław
 Bodalska, Barbara
 Grzbowska, Elzbieta
 Wojzicka, Sławomir
 Wojzicka, Elzbieta

bis einschließlich 9. ds. Mts. kalte Verpflegung erhalten haben.

Josephinenhütte
 Aktiengesellschaft

J. Vorhand 174 - 8000 2 44
 M. Pieder u. Sohn, Schreiberhau

BANKEN in Hirschberg (Rsgb.): Relaisbank, Konto-Nr. 637/69, Deutsche Bank, Dresdner Bank, ferner in Schreiberhau: Kreissparkasse, - Postsparkonto, Breslau 2747

Wykaz nazwisk Polek i ich dzieci przywiezionych po upadku powstania warszawskiego do pracy w hucie „Józefina”. Dnia 9 lutego 1945 roku osoby z wykazu otrzymały suchy prowiant na czas pieszego transportu.

Uczyniona nam propozycja, przy wyjątkowo niskich temperaturach i dającym się zauważyć chaosie na drogach spowodowanym ewakuacją ludności niemieckiej i „marszem śmierci” z likwidowanych obozów koncentracyjnych, wydała się niezbyt atrakcyjna.

Grupa składająca się z ośmiu osób, do której należeli członkowie mojej rodziny oraz dwie panie z dwoma ośmioletnimi córeczkami, postanowiła doczekać końca wojny na znanym nam terenie, bez względu na wiążące się z tym konsekwencje. Ucieczka z formalnych transportów w Jeleniej Górze i powrót po zapadnięciu zmroku do Szklarskiej Poręby udały się, dzięki wcześniejszym uzgodnieniom z polską rodziną, mieszkającą na osiedlu Weissbachtal (Biała Dolina), położonym ponad naszym dotychczasowym obozem.

Czekająca nas kilkutygodniowa konspiracja polegała na ukrywaniu obecności przed niemieckimi sąsiadami i nieoficjalnym zdobywaniu żywności, co przy braku kartek było niezwykle trudne. Moja rola zaopatrzeniowca sprowadzała się do zjeżdżania na nartach pod osłoną ciemności do Górnej Szklarskiej Poręby, gdzie zaprzyjaźniony z nami piekarz ładował mi do plecaka kilka bochenków czerstwego chleba. Ten „rarytas” po odgrzaniu na blasze kuchni spożywany był zazwyczaj z melasą o konsystencji miodu i mdlącym smaku. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy zawieszinę, w której gotowany był tzw. Blutwurst, od innego rodaka pracującego u miejscowego rzeźnika. Prawdziwym wydarzeniem okazało się podarowanie nam przez znajomego kominiarza jednego jajka z okazji Świąt Wielkanocnych. Podzielone na części posłużyło do złożenia życzeń rychłego zakończenia wojny.

W tych ponurych chwilach jedyną pociechą była docierająca zza gór kanonada, świadcząca o toczących się zaciętych walkach w niezbyt odległych rejonach Dolnego Śląska. Komunikaty niemieckie donosiły o ciężkich walkach na ulicach Lubania zniszczonego w 65%. Nie wiedzieliśmy wów-

czas, że byliśmy świadkami, na szczęście na odległość, poważnych zmagania o Wał Sudecki, prowadzonych od połowy lutego przez Armię Czerwoną z oddziałami feldmarszałka Schörnera. Walki na linii Lauban (Lubań) – Naumburg (Nowogrodziec) były tak zacięte, że doprowadziły w dniach 1-2 marca do wyparcia oddziałów radzieckich z Lubania.

Niemiecki porządek w lokalnej administracji rozluźnił się w miarę upływu czasu na tyle, że pod koniec marca postanowiliśmy ujawnić naszą obecność i skorzystać z oferty pracy w nadleśnictwie. W porównaniu z hutą i okresem bezczynności w ukryciu, praca okazała się stosunkowo lekka i przyjemna, gdyż odbywała się w szkołkach leśnych i polegała na sadzeniu drzewek.

Wyzwolenie Sudetów miało miejsce w dniach 9-11 maja 1945 roku. Dni poprzedzające ten moment charakteryzowały się zmasowanym przemarszem wojsk (głównie SS) przez naszą miejscowość w kierunku Czech. Okoliczne rowy i strumyki pełne były porzuconych pojazdów dwu i czterokołowych. Na krótkim odcinku drogi: huta – Szklarska Poręba znalazłem kilka rowerów, które potraktowałem jako zdobycz wojenną. Nie nacieszyłem się nimi jednak długo, gdyż nazajutrz zostałem ich pozbawiony przez wkraczające oddziały armii wyzwoleniczej.

W całej okolicy zrobiło się białe od wywieszonych prześcieradeł i obrusów, a przestraszone własną propagandą Niemki, szukały schronienia pod naszymi skrzydłami. Nadeszła właściwa chwila znalezienia sobie miejsca do stałego osiedlenia, skoro do Warszawy nie było po co wracać.

Przy całkowitym braku komunikacji, przemieszczenie się 8 osób wraz ze skromnym dobytkiem, nawet do odległej zaledwie o kilkanaście kilometrów Jeleniej Góry, okazało się problemem. Z kłopotów tych wybawiło nas kilku czerwonoarmistów, którzy podochoćeni butelką samogonu, stwier-

dzili, że zapewnią nam środek transportu. W tym celu udałem się z nimi do Dolnej Szklarskiej Poręby, aby przejąć konia zarekwirowanego przy pomocy pepeszy w jednym z niemieckich gospodarstw. Przy okazji, moi dobroczyńcy odkryli w stodole, pod grubą warstwą słomy, kabriolet, co podniosło jeszcze ich entuzjazm z przeprowadzonej wyprawy. Nie czułem się zbyt pewnie, jadąc na oklep aż do następnej akcji – zarekwirowania wozu- platformy. Nazajutrz, pełni entuzjazmu, udawaliśmy się w nieznane, opuszczając strony, gdzie udało nam się szczęśliwie doczekać końca wojny. Nie przypuszczałem wówczas, że za rok zjawię się tam w harcerskim mundurku, aby zaliczyć swój pierwszy obóz oraz zdobyć pierwszy stopień i kilka sprawności.

Krótką podróż do Jeleniej Góry nie była pozbawiona niespodzianek, ponieważ minąwszy Piechowice, nasza furka została zatrzymana przez pojazd radziecki, w którym, ku naszemu zdziwieniu, oprócz żołnierzy znajdowali się właściciele zarekwirowanego konia i wozu. Pertraktacje handlowe, przeprowadzone na szosie z przedstawicielami strony zwycięskiej i pokonanej, pozwoliły nam szczęśliwie dotrzeć do celu i dopiero tam rozstać się ze środkiem transportu. Z ostatnich badań Izby Pamięci Narodowej wynika, że nie był to odosobniony przypadek, kiedy władze radzieckie faworyzowały miejscową ludność kosztem obywateli polskich.

Trudne początki

Przyjazd do Jeleniej Góry upewnił mnie w poczuciu odzyskanej wolności i był radosnym zdarzeniem z polskością, której zewnętrzne symbole przez ostatnie pięć lat zeszyły do podziemia. Biało-czerwone flagi na ulicach, przedwojenne mundury i polskie – czasami nieporadne – napisy na nowo powstających urzędach i instytucjach, wszystko to wprawiało w stan euforii. Do tego nastroju ogólnej szczęśliwości przyczyniło się również spotkanie z bliskimi, z którymi roz-

dzieliło nas powstanie, a nawet kampania wrześniowa 1939 roku.

Po wyzwoleniu obozu jenieckiego oflagu II D w Gross Born (Borne Sulinowo) w lutym 1945 roku ojciec mój czekał kilka miesięcy na spotkanie z nami. Posiadam jeszcze piśmko z pieczętką „W.P. Komenda Wojenna w Jeleniej Górze” o następującej treści: „Zgadzam się na osiedlenie rodziny kpt. Grabowskiego Zygmunta w Jeleniej Górze i proszę Urząd Kwaterunkowy Miasta o udzielenie pomocy”, z nieczytelnym podpisem.

Jako jedni z pionierów otrzymaliśmy siedmiopokojowe mieszkanie przy ulicy Wilhelmstrasse 46 (al. Wojska Polskiego) z fortepianem marki Steinway, co ułatwiło mi kontynuowanie nauki gry na tym instrumencie. Moja mama i pozostali członkowie rodziny rozpoczęli budowę zrębów kupiectwa polskiego na Ziemiach Odzyskanych.

Nie mogąc doczekać się rozpoczęcia nauki w Gimnazjum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego, udzielałem się w Straży Przemysłowej, wykonując polecenia Pełnomocnika Rządu RP na obwód nr 29. Jedną z akcji było rekwirowanie w okolicznych wsiach odbiorników radiowych, które ciężarówkami przewoziliśmy do Jeleniej Góry. Z tego okresu posiadam wydane dnia 23 lipca w języku polskim i rosyjskim zezwolenie nr 244, podpisane przez ob. Tabakę na „trzymanie i używanie roweru w granicach powiatu Jelenia Góra, zezwolenie ważne do dnia 31.12.1945”.

Harcerska przygoda

Moja przygoda z ZHP rozpoczęła w 1943 roku przynależnością do Szarych Szeregów, po dwuletniej przerwie była kontynuowana w szeregach 22 Lotniczej Dolnośląskiej Drużyny Harcerzy.



Grabowski Mirosław
(podpis posiadacza książeczki służbowej)

Druh Grabowski M.
 Imię Mirosław
 ur. dn. 3 mies. maja 1931 r.
 w. Torunia powiat _____
 Jest harcerzem
 Wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego *)
 dn. 25 mies. listop 1942 r. do Drużyny
 Harcerzy im. Stare Szeregi Warsz. Środk.
 w Warszawie. Złożył przyrzeczenie
 harcerskie dn. 24 mies. lipca 1946 r.
 na ręce dl. Jabolewskiego K. hm.
 Otrzymał krzyż harcerski Ser. T. 409
 Komendant Chorągwi Harcerzy
Jerzy Polak dn. 12 m. września 1946 r.
 (miejscowość) _____

*) Wpisać datę wstąpienia do drużyny zuchów
 (jeśli był zuchem)

Książeczka służbowa Mirosława Grabowskiego

Przypuszczam że to był przypadek, iż założyłem szarą chustę i bluzę munduru z biało-czerwoną szachownicą na rękawie, zamiast wstąpić do konkurującej drużyny „wodniaków”. Być może ciekawe zajęcia organizowane na lotnisku w pobliskim Grunowie opanowanym przez harcerzy z Białej Krakowskiej wpłynęły na mój wybór.



Harcerze wokół szybowca - bombowca „Liege Krannich”

Nie bez znaczenia dla mnie był też fakt, że czwarty zastęp „Sępów”, do którego należałem, składał się z najstarszych chłopców w drużynie (Izydor Barszczewski, Andrzej Czerwiński, R. Malinowski, M. Nabrzyski, Marian Tobis, Roman Wachnowski) pod przywództwem Andrzeja Kłodnickiego. Zarówno on, jak i drużynowy Bogdan Kłoskowski, byli dla mnie postaciami godnymi naśladowania.

Na pierwszy obóz pod namiotami pojechałem w lipcu 1946 roku do Szklarskiej Poręby.

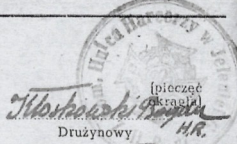


Obóz 22 LDDH w Szklarskiej Porębie, zastęp W. Stankiewicza (4. z lewej), 5. – drużynowy B. Kłoskowski (1946 rok)

Na obozie tym, usytuowanym w malowniczej scenerii, złożyłem przyrzeczenie harcerskie w obecności komendanta chorągwi Kazimierza Sobolewskiego hm. Zdobycie stopnia młodzika, podkreślało znaczenie tego obozu u progu mojej harcerskiej drogi. Swego rodzaju porażką dla mnie było oblanie zaliczenia na sprawność „trzech piór” (niestety gadulstwo). Musiałem się zadowolić przyznaną mi sprawnością „leśny człowiek”.



Obóz w Szklarskiej Porębie. Orkiestra 22LDDH, z akordeonem M. Grabowski (1946 rok)

Próby organizacyjne		
Sio- pień	Data i L. Rozk.	Poświadczenie
Młodzik	R.L. 3. obcz. 20. VII. 1946.	 Drużynowy
Wywiadowca	8. I. 1947. R. L. 11.	 Drużynowy
Ćwik	R.L. 2 / 47. 8 XI 47r.	 Drużynowy

28

Harcerz Orli	R. Obcz. 4 / 48 3.8. 48r.	 Przew. Komisji
Harcerz Rzplitej		(pieczęć okrągła) Przew. Komisji

Próbie drużynowego
przyznano dnia 19 .. r.
rozkazem
na podstawie
(pieczęć okrągła)
Komendant Chorągwi Harcerzy

29

Wpisane w Książeczce służbowej M. Grabowskiego kolejno zdobywane stopnie harcerskie

Stopień wywiadowczy zdobyłem podczas 13-dniowego kursu zastępowych, zorganizowanego w Karpaczu w Ośrodku Wypoczynkowym ZHP „Wykapka” na przełomie lat 1946-1947. Panowały tam wyjątkowo spartańskie warunki.

Prawdziwie harcerską przygodą było zdobywanie latem 1947 roku, stopnia Ćwika - złotej lilijki. Miało to miejsce w trakcie całodobowej, górskiej wędrówki od Szklarskiej Poręby do Karpacza połączonej ze zdobywaniem sprawności „przewodnik po Karkonoszach”

Zdobycie rok później stopnia harcerza orlego, podczas obozu Harcerskiej Służby Polsce w Łazach koło Koszalina było na tyle oryginalne, że próby harcerskie zostały połączone z forsowaniem wojskowego toru przeszkód w pełnym ekwipunku, udostępnionym przez stacjonującą tam jednostkę Wojsk Ochrony Pogranicza.

Lotniczy charakter 22 LDDH obligował nas do uczestnictwa w zajęciach w modelarni, która rozpoczęła szkolenie w lipcu 1946 roku. Mieściła się ona przy ulicy Edwarda Osóbki-Morawskiego (Armii Krajowej) nr 19, w siedzibie Aeroklubu Jeleniogórskiego, później przeniesiono ją do znacznie większych pomieszczeń przy ul. Drzymały nr 7. Modelarnię założył i prowadził Władysław Blarowski, weteran modelarstwa lotniczego, przy pomocy asystenta - modelarza z Ostrowa Poznańskiego, Edwarda Szczepaniaka.

Całe pierwsze piętro wspomnianego budynku zajmowała modelarnia. Do naszej dyspozycji była sala wykładowa, mała kreślarnia, magazyn materiałów modelarskich i warsztat, w którym wykonywaliśmy modele szybowców i samolotów.

Naukę w Szkole Modelarstwa, bo taką nosiła nazwę, rozpoczynaliśmy od podstaw budowy modeli, tak by po jej ukończeniu być nie tylko modelarzem – rzemieślnikiem ko-

piującym obce wzory, ale modelarzem – konstruktorem. Profesor uczył nas przede wszystkim czytania rysunku technicznego, po to, aby każdy z nas przyswoił sobie wszelkie prawa kreślenia.

Pierwsza lekcja rozpoczynała się od rysowania prostego, drewnianego pudełka. Każdy z nas musiał narysować je w trzech podstawowych rzutach. W ten sposób poglądowo wyjaśniano nam zasadę projekcji. Następnie sporządzaliśmy rysunki części modeli. Należało je samemu naszkicować, potem wykonać rysunek warsztatowy i w końcu pod nadzorem instruktora zbudować dany model. Metody, zdawałoby się proste, ale były bardzo skuteczne.



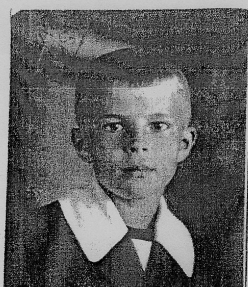
Praca w modelarni; samoloty zawsze budziły naszą ciekawość

Ciekawie prowadzone zajęcia w modelarni przyciągały licznie młodzież z jeleniogórskich szkół. Harcerze z naszej drużyny i innych drużyn z terenu miasta stanowili jej znaczącą część. To „przedszkole” lotnictwa swoje modelarskie

sukcesy zawdzięczało przede wszystkim prof. W. Blarowskiemu i E. Szczepaniakowi. Oni doprowadzili do powołania Modelarni Powiatowej Departamentu Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji w Jeleniej Górze.

Modelarnia nie długo cieszyła młodzież bowiem już w czerwcu 1948 roku została przejęta przez Ligę Lotniczą. Zwolniono jej instruktorów. E. Szczepaniak i jego uczeń Leszek Gański, od podstaw zorganizowali nową modelarnię w ówczesnym Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Jeleniej Górze.

ZASWIADCZENIE
ważne do dnia 31 XII 1934 r.



Druh imię Eduard
nazwisko Szczepaniak
ur. dn. 11 mies. marca roku 1932
w Ostrowie powiatu Ostrow

JEST HARCERZEM

wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego
dn. 15 mies. listopada roku 1932 do drużyny
im. Prądyński w Ostrowie Południowej
Złożył przyrzeczenie harcerskie (H.S.P.)
mies. stycznia roku 1933 na moje
ręce (podpis).....
Otrzymał krzyż harcerski L. 1234 seria.....
Eduard (Pieczęć K-dy Chór.)
Leszek Gański
Leszek Gański (podpis drużynowego)
du. 15 mies. marca 1934 r.

Stwierdzam, że przedstawiona fotografia rzeczywiście
wyobraża właściciela książeczki.

Leszek Gański
(podpis drużynowego)

Leszek Gański
(podpis drużynowego)

Druh E. Szczepaniak do ZHP wstąpił w 1932 roku w Ostrowie Południowym (Wielkopolskim). Do Jeleniej Góry przyjechał ze Zgorzelca, gdzie od maj 1944 roku pracował przymusowo.

Teoretyczne szkolenie szybowcowe prowadzone było w wyłonionym z drużyny zastępie, którym kierował przyboczny lotniczy Wiesław Marcinkowski. Do jego zadań należała organizacja szkolenia, dobór wykładowców, którzy przygotowywali nas do zajęć praktycznych.

Jelenia Góra 13. III. 48.

Plan alarmowy pilotów szyb. 22 lot.DDH
Dzisiaj dn. 13. III. 48r. w sali Aeroklubu
Jeleniogórskiego, odbędzie się wykład
dla pilotów szybowcowych o godz. 17.
W związku z tym, zarządzam zbiórkę
wszystkich pilotów szyb. 22 lot DDH w
sali A. J. przy ul. Osóbki-Morawskiego
o godz. 16⁴⁵.

Stawienie się Obecność obowiązkowa.
na zbiórkę będzie karane.

Czujaj!
przybieramy lot.

Przyjeżdźcie do wiadomości.

1. Brzoso J. *Brzoso*
2. Grabowski M. *Grabowski*
3. Kłodnicki A. *A. Kłodnicki*
4. Kulik R. *R. Kulik*
5. Turowski J. *Turowski*
6. Tobis M. *Tobis*
7. Miśta Z. *Miśta Roman*
8. Maruchin J. *Maruchin*
9. Wiecezorek J. *Wiecezorek*

10. Zółtowski J. *Zółtowski*
11. Wołoszyn A. *Wołoszyn*
12. Stankiewicz W. *Stankiewicz Włodzisław*
13. Wyganowski W. *Wyganowski*
14. Pustowski Z. *Pustowski*
15. Tyminski J. *Tyminski*

Plan alarmowy pilotów szybowcowych 22 LDDH; w wykazie nazwisk w poz. 2. nazwisko i podpis M. Grabowskiego (13.03.1948)

Drużynowy naszej drużyny W. Czarnecki, doceniając zdolności organizacyjne W. Marcinkowskiego, powierzył mu organizację zawodów modeli latających.

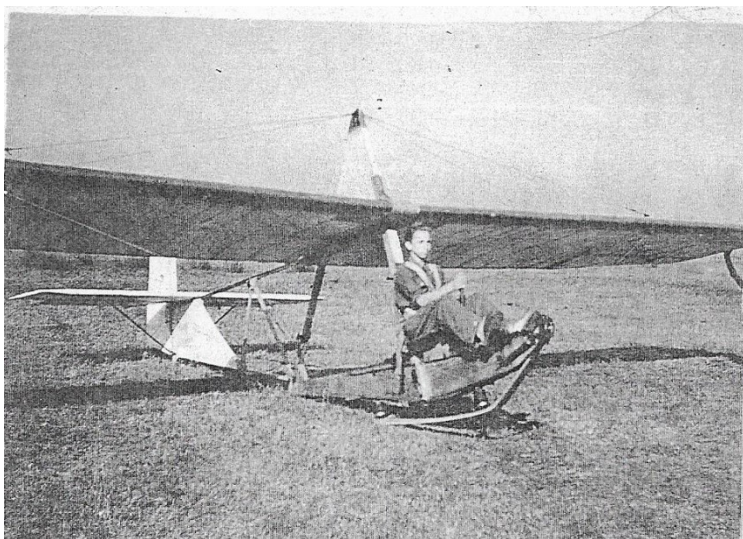
Z. H. P. 22 LOTN. DOLN. DRUŻ. NARC. IM ANDRZEJA MAŁKOWSKIEGO PRZY KOLE Z. Z. K. w Jeleniej Górze	Jelenia Góra dn. 4.V. 1948r
Do Dna przybocznego lotniczego MARCINKOWSKIEGO W. ówika.	
W związku z wawedami okręgowymi modeli latając pelęcam dhwii zachęcenie ehłędw w wykonaniu powyższych w fialbiższym okresie czasu a równioż:	
a) sciażka kontrole książczek medekarskich b) Wzbudzenie ducha zapalczywości na tym pelu... c) perszumienie w sprawie zawodów, świata L.L. i tp. szytke te powyższe i z gtym związane załatwia d-h podając mi tylko w formie raportu.	
Zestawiam dhwii wolna rękę w działaniu i sądzę że jeśli dędad się na Was nie nie zawiedęm -to wykazecie maksimum swej wydajności a więc do pracy	
	DRUŻYNOWY W. Czarnecki H. R.

Pismo drużynowego 22 LDDH przy kole Związku Zawodowego Kolejarzy w Jeleniej Górze do przybocznego lotniczego

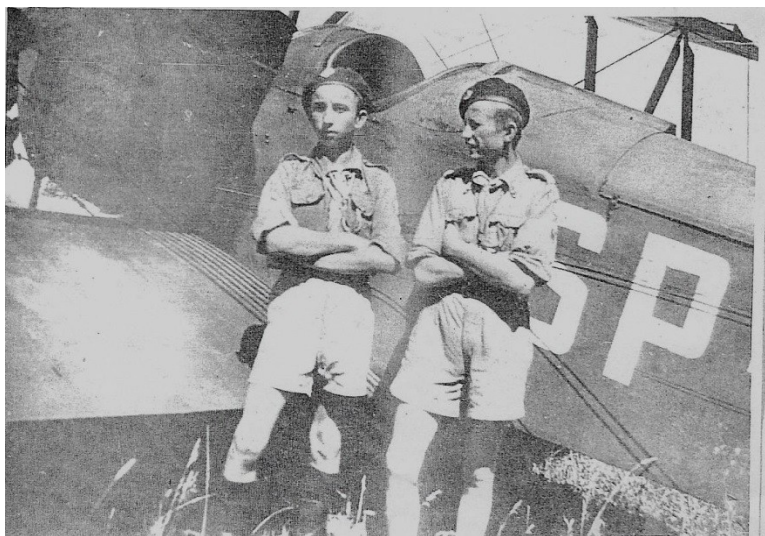
Zajęcia praktyczne latem 1947 roku poprzedzone były solidnym treningiem szybowcowym, podczas letniego obozu drużyny, na lotnisku pod Malborkiem.

Do poznania tajników latania służyły poniemieckie szybowce SG-38 i sucha zaprawa na tzw. chwiejnicy, imitującej różne sytuacje w powietrzu. Po ich opanowaniu, holowaniu szybowców pod górę i naciąganiu gumowych lin, otrzymywaliśmy, jako nagrodę, krótkie starty, a następnie loty za wyciągarką. Poza tremą wynikającą z samodzielnego znalezienia się w powietrzu, były też momenty humorystyczne, kiedy mylono kierunek lądowania, w wyniku czego szybowiec osiadał na koronie rozłożystych drzew, zamiast na trawie. Karą za takie przewinienie było chodzenie

przez jakiś czas z wiechciem słomy uwiązany na jednej nodze i siana na drugiej, nie mówiąc już o dosadnym określeniu przez instruktora kwalifikacji przyszłego pilota.



Szybowiec SG-38



W. Marcinkowski i J. Wieczorek przy samolocie CSS-13

*„Kiedy w mieście słyszysz hałas,
Nie pytaj co za przyczyna.
To na pewno maszeruje,
Dwudziesta druga drużyna”.*

Mieszkańcy Jeleniej Góry znali słowa naszego hymnu. Nawet, gdy nas nie widzieli, a słyszeli je, wiedzieli, że gdzieś w pobliżu maszeruje dwudziesta druga lotnicza drużyna.

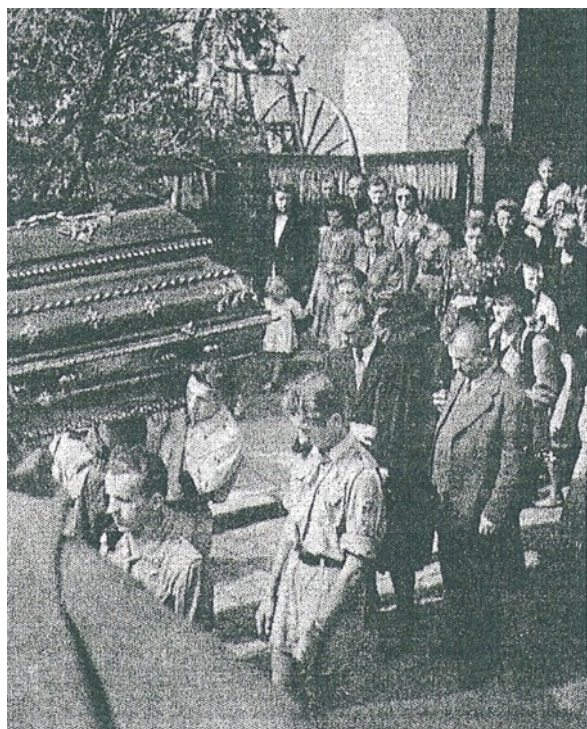


Na czele drużyny maszerują B. Kłoskowski i J. Maruchin

Panujący w naszej drużynie radosny nastrój został zakłócony przez tragiczny wypadek, jaki miał miejsce kilka dni po powrocie z obozu szybowcowego. Jeden z jego uczestników Kazik Bareja, młodszy brat Staszka, podczas wycieczki z rodzicami na zamek Chojnik, robiąc zdjęcie, spadł ze skały tak nieszczęśliwie, że mimo wysiłku lekarzy, nie dało się go uratować.

Było to już drugie tak smutne zdarzenie w naszej drużynie, gdyż rok wcześniej zegnaliśmy naszego kolegę Janusza Barana, zastrzelonego na ulicy przez czerwonoarmi-

stę za odmowę oddania roweru. Uroczystości pogrzebowe były manifestacją oburzenia jeleniogórskiego społeczeństwa.



Kondukt żałobny; trumna ze zwłokami K. Barei niesiona na ramionach kolegów z 22 LDDH

W pierwszym kwartale 1948 roku w szeregi ZHP zaczęły wkraczać zmiany programowe i organizacyjne. Powołana została Powszechna Organizacja Służba Polsce (POSP). Miała ona charakter paramilitarny, prowadziła wśród młodzieży obowiązkowe przysposobienie zawodowe oraz wojskowe. Skupiała młodzież pomiędzy 16 a 21 rokiem życia. „Junacy” POSP mieli specjalne mundury. Pracowali m.in. przy budowie Nowej Huty, odbudowie Warszawy, Wrocławia, osuszaniu Żuław, a także w Państwowych Gospodarstwach Rolnych i Leśnych.

Począwszy od marca 1948 roku ZHP przystąpiło do realizacji programu pod nazwą Harcerska Służba Polsce (HSP). Podstawowym kierunkiem działalności w ramach HSP był program skupiony w czterech grupach: „Odbudowa kraju”, „Las i rola”, „Zdrowie i dziecko”, „Kultura i oświata”.

Podjęmowane prace polegały m.in. na odgruzowywaniu miast, prowadzeniu przedszkoli dla dzieci wiejskich, oczyszczaniu lasów, pielęgnowaniu szkółek leśnych oraz pomocy w żniwach i sianokosach. Wraz z programem HSP wprowadzono specjalny zestaw sprawności harcerskich.

Latem 1948 roku wyjechaliśmy na zgrupowanie obozów pod nazwą Harcerskiej Służby Polsce do Łazów, którego organizatorem była komenda hufca. Wprowadzane zmiany organizacyjne m.in. zakazywały drużynom urządzania samodzielnych obozów. Mimo to, byliśmy tak zorganizowani, że każda drużyna stanowiła odrębny obóz z własną komendą, programem i kuchnią. Wspólne było zaopatrzenie w żywność.



Defiladę Zgrupowania Obozów Jeleniogórskiego Hufca prowadzi W. Czarnecki, za nim poczet sztandarowy 22 LDDH (Łazy 1948 rok)



Uroczysty apel zgrupowania z okazji wizyty dyrektora naszej szkoły
– Maksymiliana Tazbira (przemawia z podwyższenia)



Koedukacyjny obóz w Łazach, nasze wspólne zdjęcie z druhami
z 6 DDH

W 1949 roku hufiec, pod komendą Macieja Zawadzkiego i jego zastępcy Sławomira Podolaka, był organizatorem zgrupowania obozów w Nowym Śliwnie Bałtyckim (Rewal). Obóz ten nie pozwalał nam rozwijać naszej lotniczej specjalności. Ci z nas, którzy pragnęli latać na szybowcach, a w perspektywie samolotach, przechodzili do Ligi Lotniczej czy też do Służby Polsce. Nie bez znaczenia dla nas była decyzja o ograniczeniu wieku przynależności do ZHP. Każdy, kto skończył 16 lat, miał być uroczyście przekazywany do POSP lub ZMP. Obowiązek ten nie dotyczył funkcyjnych.

Komendant grupy obozów powierzył mi, jakże odpowiedzialną w tamtym czasie, funkcję z-cy kwatermistrza. Wspólnie z kwatermistrzem R. Dytewskim dokonywaliśmy zakupów znacznej ilości produktów spożywczych, które na czas musieliśmy dostarczyć do poszczególnych – samodzielnych obozów. Zaopatrywanie ponad 119 osób przez 30 dni nie było jedynym naszym obowiązkiem. Do nas należała też organizacja transportu z Jeleniej Góry do Gryfic, a stamtąd kolejką wąskotorową do Śliwna, Rewala i Trzęsacza. Taką samą podróż organizowaliśmy w drodze powrotnej z tą różnicą, że pociąg zatrzymywał się w dużych miastach, a my wykorzystywaliśmy czas postoju na zwiedzanie.

Rok	Rodzaj obozu	Miejscowość lub marszruta	Funkcja	Ile dni	Razem dni obozowych	Podpis komendanta
1949	St. pod m. w.	Nowe Śliwno Bałtyckie lipiec 1949 r.	z-ca kwat. z.o.	31	150	Zawadzki

Wpis: grupa obozów w Nowym Śliwnie, lipiec 1949 rok

Obozy, kolonje, zimowiska, kursy, zloty, wędrowki i t. p.						
Rok	Rodzaj obozu	Miejscowość lub marszruta	Funkcja	Ile dni	Kożem dni obozowych	Podpis komendanta
1946	stały pod namiotami	Górna Szklarska Poręba.	uczestnik.	30.	30.	Młotkowski B. Harc. Napędz.
1946	kurs z ch. podolach.	2 Kurs zastępowych Mufca Jelenia Góra I Karpacz 28-XII-46 r. - 5-I-47 r.	uczestnik.	13	43.	Młotkowski B. Harc.
1947	Obóz stały - pod namiotami	Obóz Harcerskiej Służby Polsce Łazy	Skarbnik	30	30	Młotkowski B. Harc.
1948	obóz - pracy	Jelenia Góra	przeb.	7.	86.	Młotkowski B. Harc.
1948	pod namiotami	Hufiec Harc. Jel. Góra obóz Harcerskiej Służby Polsce Łazy	magazynier Korn. Grupy	33	119	Młotkowski B. Harc.

36

37

36

37

Wpisane szkolenia i obozy: obóz w Szklarskiej Porębie (1946 rok), kurs zastępowych w Karpaczu na przełomie roku 1946/1947, obóz lotniczy w Malborku (1947 rok), obóz Harcerskiej Służby Polsce w Łazach

Pełnienie funkcji na obozie nie zwalniało z obowiązku uczestnictwa w realizowanym programie. Oprócz stopni najczęściej zdobywane były sprawności harcerskie. Każdy z nas chciał zdobyć ich jak najwięcej. Naszyte w kształcie krążków na rękawie bluzy dowodziły, jaką to umiejętność i wiedzę już posiadamy.

Sprawności można było zdobywać indywidualnie lub zespołowo, np. podczas budowy kuchni obozowej, stawiania namiotów, wystroju obozu, urządzaniu placu apelowego. Wykonując te prace, można było zdobyć sprawności „sobieradka obozowego”, „zduna”, „cieśli” czy „zdobnika zewnętrznego”.

Podczas obozu w Szklarskiej Porębie przystąpiłem do próby na sprawność „trzy pióra”. Wymagało to zaliczenia trzech prób:

– na pierwsze pióro, miałem obowiązek uczestniczyć w zajęciach drużyny i zachować całkowite milczenie;

– na drugie pióro, musiałem powstrzymać się od jedzenia i picia, wyjątkowo mogłem pić wodę oraz żywić się owocami leśnymi;

– zadanie na trzecie pióro polegało na przebywaniu w lesie iżywieniu się wyłącznie jego owocami. Do lasu zabrałem butelkę wody i nóż. Było to powtórzenie zaliczonych przeze mnie dwóch prób, milczenia i głodu, rozszerzone o próbę samotności.

Niestety, sprawności tej nie zdobyłem, jak już wspomniałem, zgubiło mnie gadulstwo.

Zdobycie każdej sprawności harcerskiej było ogłaszane w rozkazie obozu lub drużyny. Następnie wpisywane były do książeczki służbowej, podpisywał je drużynowy.

Sprawności			
L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego
1.	Pionier		
2.	Ładur		
3.	ciężła		
4.	goniec		
5.	grajek		
6.	Ładobnik ze w.		
7.	Mucharz		
8.	Leśny czł.		
9.	sobier. obow.		
10.	Łpomoc	1.5. 2.1.47	

Sprawności			
L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego
11.	Narciarz I.	2.10. 7.1.47	
12.	Łtłumacz niemiecki	1.5/47 5.3.47	
13.	Łdobnik	1.6/47 2.1.47	
14.	Łpiśwak	1.7/47 10.3.47	
15.	Łprzewodnik po Karkonoszach	1.7/47	
16.	Łwęzownik		
17.	Łbimnik		
18.	Łgryz		
19.	Łspokownik		
20.	Łmraz		

Wpisane sprawności, począwszy od pierwszego obozu w Szklarskiej Porębie, m.in.: Łtłumacz j. niemieckiego, Łprzewodnik po Karkonoszach

S p r a w n o ś c i				S p r a w n o ś c i			
L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego	L.	Sprawność	Data i L. rozk.	Podpis drużynowego
21	Wskazidroga			31	Traper	1946. 7. 16	
22	Wskazidroga			32	Trapić	1946. 7. 16	
23	Wskazidroga			33	Wskazidroga	1946. 7. 16	
24	Wskazidroga			34	Wskazidroga	1946. 7. 16	
25	Wskazidroga			35	Wskazidroga	1946. 7. 16	
26	Wskazidroga			36	Wskazidroga	1946. 7. 16	
27	Wskazidroga			37	Wskazidroga	1946. 7. 16	
28	Wskazidroga			38	Wskazidroga	1946. 7. 16	
29	Wskazidroga						
30	Wskazidroga						

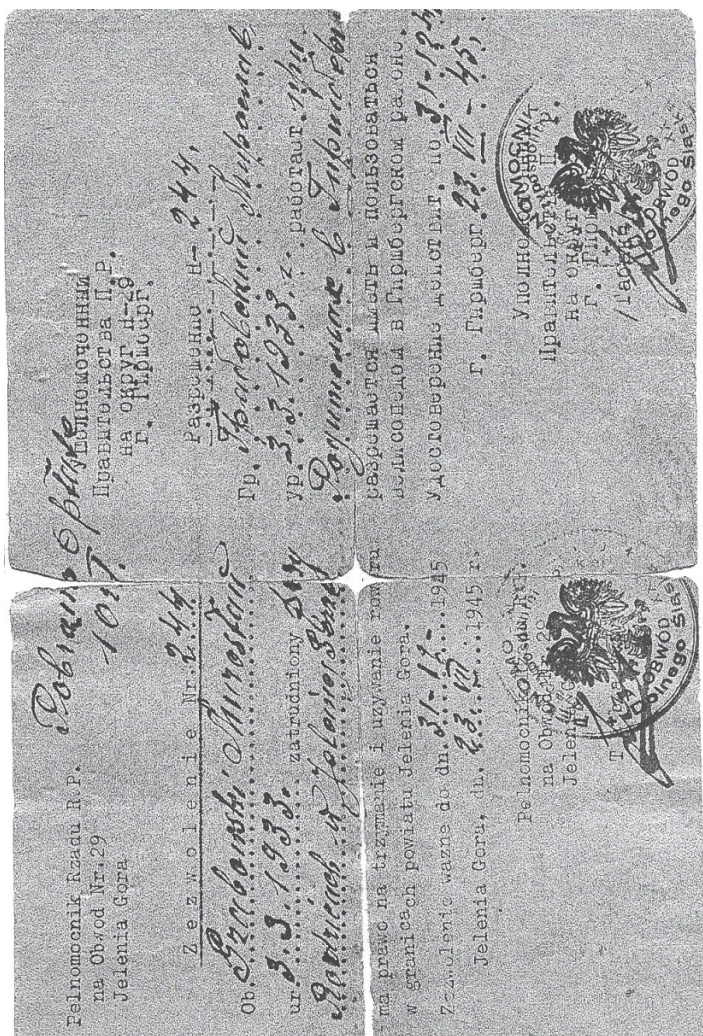
Wśród wpisanych sprawności: „wskazidroga”, „szybownik”, „tłumacz j. angielskiego”, „ratownik”, „traper”, „roślinoznawca” i inne

Warto jeszcze wspomnieć o tak popularnym obecnie sponsoringu, który już wtedy miał miejsce. Powojenna miseria finansowa zmuszała drużyny do zdobycia dla siebie względnie zamożnego opiekuna, który mógłby zapewnić odpowiednie pomieszczenie na zbiórki harcerskie czy też ułatwić dojazd do miejscowości wybranych na obozy.

22 LDDH była „przy” Kole Związku Zawodowego Kolejarzy, co wynikało z faktu, że rodzice wielu członków drużyny było pracownikami PKP. Dzięki temu dysponowaliśmy na tyłach dworca kolejowego (przy ul. Krakowskiej) wspianą harcówką, składającą się z dwóch obszernych sal i długiego pomieszczenia, w którym znajdował się tor do gry w kręgle. Taka powierzchnia pozwalała na jednoczesne organizowanie zbiórek wszystkich pięciu zastępów.

Ambicją kolejnego drużynowego, którym został Wojtek Czarnecki było znalezienie nowego sponsora w związku z potrzebą ufundowania sztandaru drużyny. Wybór padł na cech rzeźników, do którego należeli jego rodzice.

Fakt ten utkwił mi w pamięci, ponieważ jako skarbnik drużyny objechałem na rowerze poszczególne masarnie na terenie powiatu, oferując w zamian za udzielone wsparcie finansowe honorowe gwoździe do drzewca sztandaru.



Zezwolenie na korzystanie z roweru przez M. Grabowskiego, wystawione przez pełnomocnika rządu RP na obwód 29; napisane w dwóch językach: polskim i rosyjskim

Matura w 1949 roku oznaczała koniec beztrudnych lat, realizację planów związanych z dalszymi studiami, a tym samym konieczność rozstania się z Jelenią Górą. Dla wielu z nas okazją do pożegnania się z harcerstwem był wspólny obóz letni, zorganizowany przez hufiec w Nowym Śliwnie (Rewal) nad Bałtykiem. Było to jednocześnie pożegnanie z naiwną wiarą, że dobro zawsze zwycięży zło.

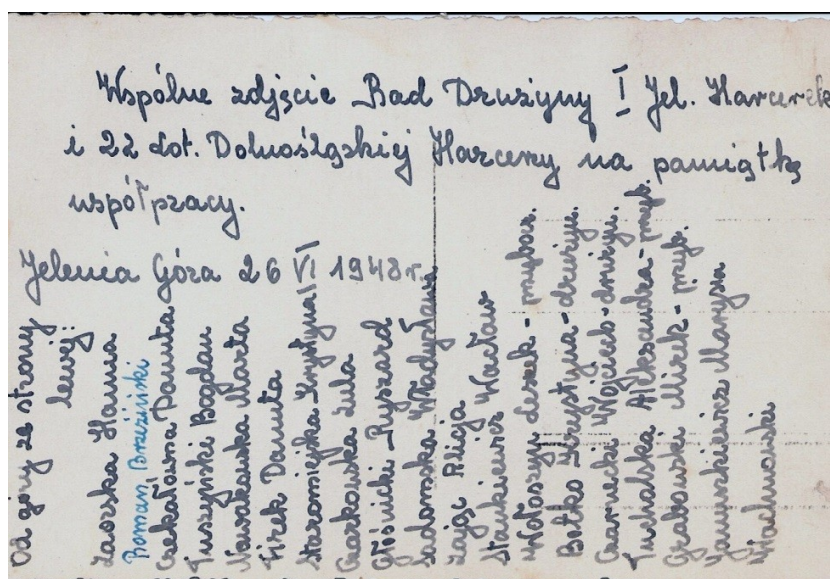
Dziś po latach, z harcerskiej działalności pozostał też mój album, w nim wspólne zdjęcia, wpisy koleżanek i kolegów. Kiedy wspominam czas mojej młodości, sięgam po niego, przeglądam zgromadzone w nim pamiątki. Wówczas kolejny raz nawiązuję kontakt z nielicznymi już żyjącymi przyjaciółmi z tamtych lat. Razem wspominamy nasze szczęśliwe lata harcerskiej działalności w drużynie i jeleniogórskim hufcu.



Rada 22 LDDH, siedzą od prawej: przyboczny Mirosław Grabowski
HO, drużynowy Wojciech Czarnecki



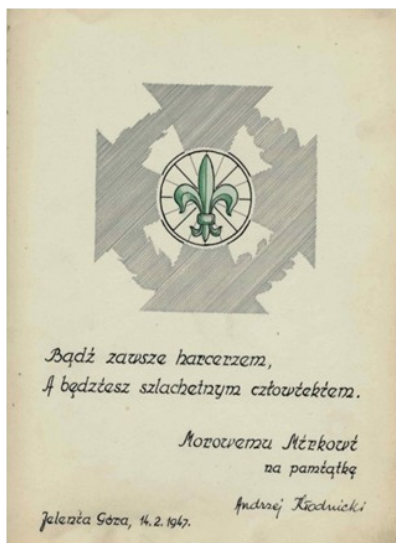
Wspólne zdjęcie, siedzą od lewej: przyboczny L. Wołoszyn, drużynowa 1 ŻDDH K. Botko, drużynowy 22 LDDH W. Czarnecki, przyboczna A. Tucholska, przyboczny M. Grabowski



Odwrotna strona wspólnego zdjęcia



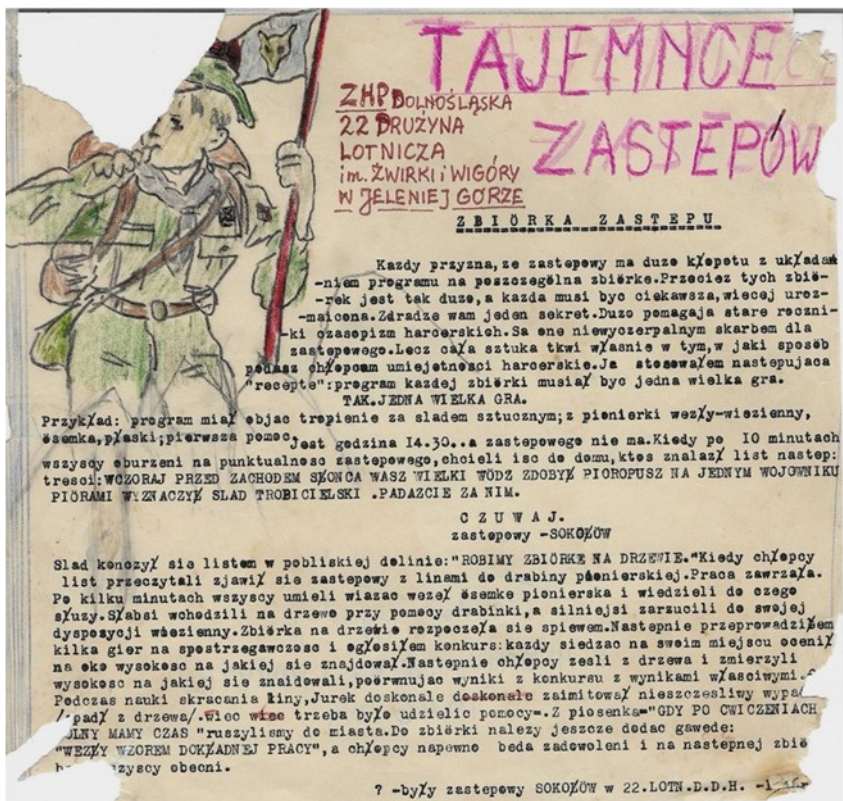
Kadra obozu hufca w Śliwnie; rząd pierwszy: Mrówczyński, K. Dytewski; rząd drugi: S. Podolak, Zawadzki, S. Kuszewski; rząd trzeci stoją: M. Grabowski, (?), (?)



Rysunki i wpisy Tadeusza Gutaja i Andrzeja Kłodnickiego

W naszych rozmowach często szukaliśmy odpowiedzi na pytanie, jakie były dalsze losy naszej drużyny? Co się z nią stało po wprowadzanych przekształceniach programowych i organizacyjnych? Odpowiedzi udzielił nam nasz kolega z drużyny Tadeusz Gutaj, mieszkający w Jeleniej Górze.

Po wakacjach 1949 roku wróciłem z obozu lotniczo-szkoleniowego w Wejherowie, udałem się do naszej harcówki przy ul. Krakowskiej. Zastąpiłem tam wyłamane drzwi wejściowe, a w środku dwóch mężczyzn, którzy wyrzucali na zewnątrz jej wyposażenie. Wykorzystałem ich chwilową nieuwagę, zerwałem z rzuconej na stos tablicy z ogłoszeniami niektóre kartki.





S. p. Druha ANDRZEJ MAJKOWSKI peraz pierwszy zetknął się ze skautingiem za karę. Szukał wtedy "swej drogi" po wszystkich istniejących organizacjach młodzieżowych. Niepokoje szukania, niepełnej poznania pchnęły go między innymi do "Kuzniey" - organizacji postępowej młodzieży niepodległościowej, grupującej się koło pisma "Zarzewie". W konspiracyjnej zarzewiańskiej szkole pedagogicznej plutonowy Andrzej spełnił się kiedyś na czołach. Oficer wyznaczył mu przykrydła karę: przetłumaczyć książkę, mogąca się przydać w ćwiczeniach oddziałów. Książka ta, która natchnęła druha Andrzeja najpiękniejszymi myślami, to "SCOUTING FOR BOYS" - ROBERT BADEN POWELLA.

W drodze powrotnej z Anglii, dekad pojechał, aby bliżej poznać skauting, Andrzej Majkowski wstąpił do PRAGI. Poznał tam pewnego profesora, p. SVOJISKA, z którym prowadził żywione rozmowy. Ogromnie duże zawdzięczał Majkowskiemu - powiedział w kilka lat później prof. Swojski, ówczeski skauting - Junactwo organizował na polskich wzorach.

Drużna OLGA MAJKOWSKA dotrzymywała kroku mężowi w organizowaniu dziewcząt. "Zresztą to dotrzymywanie kroków nie ograniczyło się tylko do liczby. Gdy po wybuchu wojny Andrzej pójść na front, drużna Majkowska dowiedziała, że jest z tego samego gatunku ludzi, co i nas. Przewiezienie rannych? Przewiezienie rannych? Skautki mogą się zająć transportowaniem ich do szpitala? Wszystkie listonoszy zmobilizowane? Skautki z przyjemnością zrobią dobry uczynek, zaciągawszy się do służby na polu? Podobne komitety myśli o szeregach ochotników dla bezdomnych dzieci legionistów? Komendantka skautowa Zakończona ochotnie podjęła się realizacji tego pomysłu i jest pewna że wraz ze swoimi skautkami zrobi to dobrze. Nie ma strasznych obywatelskich? Mamuś decyduje starszych ochotników, trzeba im tylko dać karabiny! Pomoc w polu? Zrehabilitacja? W kase skautowej brak pieniędzy? Znajdźmy się z wozami drzew z gór do tartaków! Zakończona jest odcięta od dostaw żywności? Skautki zaczęły jeździć na Węgry po produkty, a skautki respektowne prowadzenie taniej jadłospisów ludowej. Dostało się do tego, że wójt gminy zakończona odcisnęła przysięgę d-hnie Oldze Majkowskiej kaptke z wykazem potrzebnych do przeprowadzenia prac społecznych. D-hna Olga zaś na codzienną zbieraczkę, jaką odbywali skautki i skautki zakończona, rozdawała te prace do wykonania".

Na I Jamboree w Birmingham przy obecności polskich skautów stała tablica: "POLAND". Nie istniejące na mapie państwo miało reprezentację! Miało to pierwszorzędne znaczenie propagandy dla spraw polskich.

ANDRZEJ MAJKOWSKI nie tylko umiał czynić rzeczy wielkie, jak naprzykład organizowanie armii polskiej w Ameryce. W życiu codziennym, w chwilach wolnych od zajęć umiał być również doskonałym kucharzem...

Wojna w Skautingu obowiązuje tylko u nas. Inne państwa zakazu picia i palenia w publicznym miejscu. Ote poglądy na te sprawy Andrzeja Majkowskiego: "Zrehabilitacja abstynencji od alkoholu i tytoniu uważam za jeden z koniecznych warunków rozwoju skautstwa w POLSCE... Jest to niezbędne w Polsce, gdzie dziś charaktery są słabe, a wobec tego działanie tych trudnych grzeźniejszych. Alkohol i tyton... zapisały się strasznymi zgłoszeniami na grzebie naszej Ojczyzny".

Nazwa "HARCERSTWO" przyjęła się dopiero w pięć lat po stworzeniu organizacji Skautów w Polsce.

"CZUWAJ" zawdzięcza my I Lwowskiej Drużynie Harcererek. "CZUWAJ" przyjęło się w r. 1912. Przed tym używane sekołowe podzwienia "CZUWAJ".

"Więcej"

Bezradny, patrzyłem na płonące na stosie wyposażenie naszej harcówki, w tym przedwojenne podręczniki harcerskie, których treść była podstawą naszej pracy.



22 LDDH, od lewej, poczet sztandarowy, dalej: W. Czarnecki, S. Kuszewski i jego brat, (1948 rok)

Do drużyny należeli:

- | | |
|-------------------------|-----------------------------|
| 1. Bogdan Kłoskowski | 28. Jerzy Idziorek |
| 2. Wojciech Czarnecki | 29. Zdzisław Witkowski |
| 3. Jerzy Maruchin | 30. Henryk Lisiecki |
| 4. Tadeusz Głoński | 31. Bogdan Tuszyński |
| 5. Wiesław Marcinkowski | 32. Kazimierz Bareja |
| 6. Jerzy Brzisko | 33. Edward Kwiatkowski |
| 7. Mirosław Grabowski | 34. Władysław Bartłomiejczy |
| 8. Andrzej Kłodnicki | 35. Tadeusz Leśniak |
| 9. Roman Kulik | 36. Ryszard Głoński |
| 10. Jan Turowski | 37. Lesław Majewski |
| 11. Marian Tobis | 38. Wiktor Szulmaier |
| 12. Zenon Miśta | 39. Zygmunt Paczyński |
| 13. Jerzy Wieczorek | 40. Michał Nabrzyski |
| 14. Jacek Żółtowski | 41. Jerzy Osmulski |
| 15. Lech Wołoszyn | 42. Stanisław Kuszewski |
| 16. Waław Stankiewicz | 43. Izydor Barszczewski |
| 17. Wiesław Wyganowski | 44. A. Czerwiński |

18. Zbigniew Pusławski
19. Stanisław Tymiński
20. Edward Zamorski
21. Teodor Gutaj
22. Leon Idziorek
23. Marek Kuszewski
24. Artur Sokołowski
25. Waldemar Gross
26. Janusz Baran
27. Adam Żurowski

45. Malinowski
46. Roman Wachnowski
47. Jerzy Łokaj
48. Roman Brzeziński
49. Zbigniew Ditkowski
50. Jacek Tarantowicz
51. Zdzisław Balawender
52. Bogdan Wieczorek
53. Ryszard Gerhard



„Wszędobyłski” namalowany przez Renatę Firek z 1 ŻDDH

22 Dolnośląska Drużyna Harcerzy im. Andrzeja Małkowskiego powołana została rozkazem komendy chorągwi L.3. z dnia 10.12.1945. Drużynowymi byli: Bogdan Kłoskowski HO. do 22.12.1947, Wojciech Czarnecki HR. do 1.09.1948, od 26.09.1948 do 1.06.1949 Mirosław Grabowski HO., Leszek Wołoszyn do 1.11.1949, dalej Jerzy Łokaj.

Sławomir Podolak HR.

„Powiedziałeś: Pójdę do innej ziemi, nad morze inne. Jakieś inne znajdzie się miasto, jakieś lepsze miejsce. No- wych nie znajdziesz krain ani innego morza. To miasto pójdzie z tobą. Zawsze w tych samych dzielnicach będziesz krążył. W tych samych domach włosy ci posiwieją. Zawsze trafisz do tego miasta. Będziesz chodził po tych samych ulicach”. [...] W swoim życiu najkrócej mieszkałem w Jeleniej Górze, ale to jest moje miasto – napisał w liście do przyjaciół S. Podolak.

We wrześniu 2015 roku w zaciszu cieplickiego hotelu przeglądaliśmy z S. Podolakiem starannie przechowywane jego harcerskie pamiątki: książeczkę służbową, Krzyż Harcerski, zdjęcia, różne pisma, w tym wiele listów pisanych do kolegów z „jeleniogórskiego kręgu przyjaciół”. Pamiątki te stanowiły niewyczerpane źródło naszej rozmowy – wspomnień o pierwszych latach jeleniogórskiego harcerstwa.

Wspomnienia rozpoczął od przedstawienia okoliczności, które skłoniły go do zamieszkania w Cieplicach:

Ojciec w lutym 1945 roku pojawił się u nas w domu. W związku z tym, uroczyście otworzyliśmy jedną z sześciu puszek konserw, które ojciec w 1939 roku, będąc już w mundurze wojskowym, zostawił w domu. Te puszki u nas leżały, jedną wówczas zjedliśmy. Tata wrócił. W domu wszystko zostało zniszczone w czasie wojny, nic w zasadzie nie mieliśmy, nawet mebli. Został smoking ojca, ja go później odziedziczyłem, jakieś futro mamy i nic więcej. Tak więc nie było czego szukać w Siedlcach.

Wówczas to wraz z matką – nauczycielką języka polskiego – wyjechaliśmy na Dolny Śląsk. Mój ojciec – inż. rolnik, oficer rezerwy – po powrocie z niemieckiej niewoli otrzymał pracę w Wojewódzkim Urzędzie Ziemskim, któ-

rego siedziba mieściła się wówczas w Cieplicach Śląskich Zdroju. Tam, po wojennej rozłące, zamieszkaliśmy w willi przy ul. Mireckiego 56.

We wrześniu z książeczką służbową ze stopniem harcerskim wywiadowcy i trzema zdobytymi sprawnościami, zgłosiłem się do Dolnośląskiej Komendy Chorągwi ZHP w Jeleniej Górze, którą kierował Kazimierz Sobolewski hm. W siedzibie Komendy mieścił się też 2 Koedukacyjny Krąg Instruktorski, do którego zostałem przydzielony. W kręgu tym oprócz instruktorów, gromadzili się harcerze starsi, którzy byli m.in. przygotowywani do prowadzenia drużyn.

W książeczce służbowej widnieją wpisy potwierdzające jego aktywność harcerską. Pozwalają one uzupełnić wiedzę o mało znane fakty, które miały miejsce w jeleniogórskim harcerstwie. Wiedzę tym cenniejszą, że wspomina o tych faktach ich współtwórca, a nie tylko uczestnik.



Książeczka służbowa S. Podolaka, o numerze 0008 (nowy druk), podpisana przez Komendanta Dolnośląskiej Chorągwi ZHP Kazimierza Sobolewskiego hm. w dniu 7.07.1946

Do Związku Harcerstwa Polskiego wstąpił w 1938 roku. Był członkiem 2 Gromady Zuchów przy 6 Siedleckiej Drużynie Harcerzy im. Tadeusza Kościuszki w Siedlcach. We wrześniu zdobył pierwszą gwiazdkę – stopień zucha.

W 1944 roku otrzymał przydział do 1 Siedleckiej Drużyny im. R. Traugutta. W drużynie pełnił funkcję sekretarza. W kwietniu 1945 roku został przeniesiony do 6 Siedleckiej DH Łączności im. T. Kościuszki. Wkrótce został zastępowym. Pracą zastępu kierował do końca sierpnia 1945 roku.

Przydział służbowy	
Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
L. 1/44 12. XII. 44	1 Siedleckiej D.H. im. R. Traugutta w Siedlcach [pieczęć okrągła] [podpis i funkcja przełożonego]
Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:
L. 3/45 16. IV. 45	1 Siedleckiej D.H. im. R. Traugutta w Siedlcach [pieczęć okrągła] [podpis i funkcja przełożonego]

Przydział służbowy	
Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
L. 1/45 16. IV. 45	6 Siedleckiej D.H. Łączności im. T. Kościuszki w Siedlcach [pieczęć okrągła] [podpis i funkcja przełożonego]
Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:
L. 3/45 1. IX. 45	6 S.D.H.Ł. im. T. Kościuszki w Siedlcach [pieczęć okrągła] [podpis i funkcja przełożonego]

Wpisy, przepisane z wcześniej wystawionej książeczki służbowej

Naukę rozpoczął w dzisiejszym Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Jeleniej Górze. Był jednym z nielicznych pierwszych uczniów, którzy zgłosili się do szkoły. Wykorzystując swoje doświadczenie harcerskie, wraz z kolegami – też harcerzami – uczestniczył w pracach organizacyjnych, związanych z utworzeniem drużyny harcerskiej spośród uczniów Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Stefana Żeromskiego.

Przydział służbowy	
Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
L. 2. 17.3.45	2 Dolnośląskiej D.H. im. gen. W. Sikorskiego w Jeleniej Górze Zawieszka - druz. Inny: [nieczytelne]
Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:
L. 4. 17.3.1946	2 Dolnośląskiej D.H. im. gen. W. Sikorskiego w Jeleniej Górze Zawieszka - druz. Inny: [nieczytelne]
10	

Przydział służbowy	
Liczba i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
17.3.46 L. 2	21 Dolnośląska D.H. im. S. Czarnieckiego w Cieplicach Zawieszka - druz. Inny: [nieczytelne]
Liczba i data rozkazu	Zwolniony z:
L. 3 8.9.46	21 D. D.H. im. S. Czarnieckiego w Cieplicach Zawieszka - druz. Inny: [nieczytelne]
11	

Dnia 8.11.1945 komenda chorągwi zatwierdziła współorganizowaną przez S. Podolaka 2 Dolnośląską Drużynę Harcerską im. Gen. Władysława Sikorskiego. Został jej członkiem i sekretarzem, a od 30.11.1946, drugim przybocznym.

W marcu 1946 roku przeszedł do 21 Dolnośląskiej Drużyny Harcerskiej im. Stefana Czarnieckiego przy dzisiejszym Zespole Szkół Ogólnokształcących nr 2 w Cieplicach. Pełnił funkcję przybocznego drużyny. (W szkole tej pracowała jego matka, która uczyła tam języka polskiego, później została dyrektorem tej szkoły).

We wrześniu 1946 roku wrócił do 2 DDH. W tym samym roku został mianowany członkiem powołanej pierwszej Komendy Hufca Harcerzy w Jeleniej Górze. Organizacja hufca rozpoczęła się już we wrześniu 1945 roku. Formalnie, dopiero w listopadzie 1945 roku, kiedy to powołano p.o. komendanta hufca Tadeusza Markiewicza. Zakończyło ją powołanie rozkazem komendanta chorągwi w grudniu 1946 roku, pełnego składu komendy hufca, w której Referatem Harcerskiej Służby Informacyjnej (HSI) kierował S. Podolak.

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozkazu	Funkcja:
1. 8.11.1945 R.L. 2/45	sekretarz drużyny 2 D.D.H. w Jeleniej Górze
2. 17.3.1946 R.L. 4	przewodniczący Z.H.P. (funkcja przewodniczącego)
3. 17.3.46 L. 2	przewodniczący drużyny 2 D.D.H. w Jeleniej Górze
4. 8.11.46	przewodniczący Z.H.P. (funkcja przewodniczącego)

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozkazu	Funkcja:
1. 11.9.46 R.L. 5	Sekretarz 2 D.D.H. w Jeleniej Górze
2. 16.2.47 R.L. 2/47	przewodniczący Z.H.P. (funkcja przewodniczącego)
3. 30.11.46 R.L. 41	2-ty przyboczny 2 D.D.H. w Jeleniej Górze
4. 6.9.47 R.L. 2/47	przewodniczący Z.H.P. (funkcja przewodniczącego)

Od 8.11.1945 sekretarz, a od 30.11.1946 drugi przyboczny 2 DDH, przez 6 miesięcy był przybocznym 21 DDH w Cieplicach.

Przydział służbowy	
Lp. i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
1. 11.9.1946 R.L. 8. 2	2 D.D.H. w Jeleniej Górze Komenda Wład SIKORSKIEGO w Jeleniej Górze
2. 16.11.46	Komenda I Hufca Harcerzy w Jeleniej Górze

Przydział służbowy	
Lp. i data rozkazu	Otrzymał przydział do:
1. 11.9.1946 R.L. 8. 2	2 D.D.H. w Jeleniej Górze Komenda Wład SIKORSKIEGO w Jeleniej Górze
2. 16.11.46	Komenda I Hufca Harcerzy w Jeleniej Górze

Z dniem 11.09.1946 z 21 DDH powrócił do 2 DDH. Otrzymał przydział do Komendy Hufca I, potwierdzony podpisem jej komendanta Tadeusza Markiewicza phm.

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozpoczęcia	Funkcja:
16.11.46	referent ośw.-prop (HSI) Komendy Hufca Harc. Jeleniej Góry I
4.9.47	zastępca II p. plutonu I funkcja przekazywana
22	

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozpoczęcia	Funkcja:
1.1.22	Przyboczny 2 BDDH
6.9.47	im. gen. Sikorskiego Jeleniej Górze
4.6.48	Maciej Zawadzki
23	

W składzie komendy hufca od 16.11.1946 pełnił funkcję kierownika Referatu Oświaty i Propagandy (HSI). W drużynie Konrad Lichodziejewski – drużynowy 2 WDDH z dniem 1.06.1947 powierzył mu funkcję Plutonowego II plutonu. Z dniem 6.09.1947 Maciej Zawadzki, drużynowy, mianował go przybocznym i kronikarzem 2 WDDH.

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozpoczęcia	Funkcja:
4.6	Referent HSI (prasowy)
10.3.48	Kom. Hufca o Jel. Górze
12.11.48	zastępca
24	

Pełnione funkcje	
Lp. i data rozpoczęcia	Funkcja:
1.1/48/49	I zastępca hufcowego
12.11.48	
1.1/48.50	
1.11.49	
24	

W kwietniu 1949 roku połączono hufiec harcerzy z hufcem harcerek. Został powołany na pierwszego zastępcę komendanta hufca, funkcję tę pełnił do 1.09.1949.

Obozy, kolonie, zimowiska,			kursy, zloty, wędrowki i t. p.			
Rok	Redakcja obozu	Miejscowość lub nazwa obozu	Funkcja	Ile dni	Koszt w zł.	Podpis komendanta
1945	obóz stały	Rakowice	uczestnik	24	21	<i>[signature]</i>
1945	2. H.P. Dąbrowska Chor. Harcerzy		uczestnik	10	31	<i>[signature]</i>
1945	URS Drużynowych Chorągwi w „Lipowym Zaciszu”		sekretarz	12	43	<i>[signature]</i>
1946	stały, oboz	Pilichowice	uczestnik	8	51	<i>[signature]</i>
1946	na miejscu opalisk		instruktor	13	64	<i>[signature]</i>
1946	zlot	Szczecin	kursant	28	92	<i>[signature]</i>
1946	młodzież	3 Kurs Zimowiskowych Hufca Jelenia Góra / Karpacz	z-ca komando	31	123	<i>[signature]</i>
1946	kurs pod dachem					
1946	kurs DCWM	Gdynia				
1947	stały oboz	ZHP 2 D.O.H. w Jeleniej Górze				
1947	na miejscu	LETNI OBOZ w Jeleniej Górze				

Wpisy o obozach, kursach i zlocie w Szczecinie, których był uczestnikiem czy członkiem ich kadry

Komenda chorągwi dotychczasowe szkolenia drużynowych i funkcyjnych organizowała w ramach 2 Koedukacyjnego Kręgu Instruktorskiego. Byli w nim również harcerze starsi. To głównie oni byli szkoleni do pełnienia funkcji w organizowanych drużynach.

Na przełomie roku 1945/1946 komenda chorągwi zorganizowała dziesięciodniowy, pierwszy kurs drużynowych poza Jelenią Górą. Odbył się on w Rościszowie koło Dzierżonowa, w ośrodku „Lipowe Zacisze”. Kurs prowadził komendant chorągwi Kazimierz Sobolewski hm. Obożnym był Zygmunt Szafran phm., członkami kadry: Mieczysław Świątek phm. i Zbigniew Owczarek phm.

Z jeleniogórskiego hufca w kursie uczestniczyło 15 harcerzy, wśród nich był S. Podolak. Fakt ukończenia kursu potwierdza okolicznościowa pieczęć i podpis komendanta chorągwi w książeczce służbowej.

Komenda Hufca Jelenia Góra I, której był członkiem, na przełomie roku 1946/1947, zorganizowała w Karpaczu 2 Kurs Zastępowych. Wówczas był w gronie kadry szkolącej. O kursie tym powiedział:

Zastępowym byłem już w 6 Siedleckiej DH. Po skończonym kursie drużynowych w „Lipowym Zaciszu”, dołączyłem do grona kadry szkolącej uczestników 2 Kursu Zastępowych. Prowadziłem głównie zajęcia praktyczne.

Organizacją i naborem uczestników na 1 Kurs Zastępowych, który odbył się w wakacje 1946 roku w Janowicach Wielkich, zajmowała się komenda chorągwi. Natomiast organizacja i nabór uczestnik na 2 Kurs Zastępowych, należały do zadań komendy hufca.

Wcześniej – na pierwszy kurs – do hufców dotarło zawiadomienie o jego organizacji, w nim program i kryteria, jakie winien spełniać uczestnik. Odnosiły się one m.in. do stażu w harcerstwie, posiadanego stopnia, no i predyspozycji do prowadzenia zastępu.

W hufcu wymogi takie były w dużej mierze życzeniem. Bowiem nie było dużo drużyn, a ich chętnych tyłu, by móc ściśle, według podanych kryteriów dobierać kandydatów na szkolenie. W zasadzie kto się zgłosił i miał zamiar być zastępowym, był przyjmowany na kurs. Dawaliśmy szansę wszystkim, decydować miał końcowy wynik, zaliczenie biegu harcerskiego, który był sprawdzianem wiedzy i umiejętności każdego kursanta.

Kurs prowadziliśmy w formie zbiórek harcerskich, przygotowanych i prowadzonych tak, by były wzorcem do naśladowania przez absolwentów kursu w pracy z zastępami. Kładliśmy nacisk na praktyczne przekazywanie wiedzy, niezbędnej do kierowania pracą zastępu. Teoria była jedynie wprowadzeniem do zajęć, a następnie realizowaliśmy

ćwiczenia praktyczne i liczne zadania w terenie. Taka forma prowadzenia zajęć była nie tylko ciekawa, ale i skuteczna w przyswajaniu wiedzy i umiejętności przez przyszłych zastępowych.

Ukończenie biegu harcerskiego, a więc wykazanie się wiedzą teoretyczną i praktyczną stanowiło podstawę do wydania zaświadczenia o ukończeniu kursu. Nie każdemu się to udawało.

Rok	Rodzaj obozu	Miejscowość lub marszruta	Funkcja	Ile dni	Rozwinięty dzień obywatelski	Podpis komendanta
1948	Kurs narci.	Karpacz Z. H. P.	uczestnik	14	137	
1948	Kierownik zespołu w obóz	Stacja kolejowa w Szklarskiej Porębie	uczeń	4	141	
1948	Stacja kolejowa w Szklarskiej Porębie	Stacja kolejowa w Szklarskiej Porębie	sekretnarz	32	143	
1948	Stacja kolejowa w Szklarskiej Porębie	Stacja kolejowa w Szklarskiej Porębie	Kom. Grupy	32	143	
1948	Kurs narci.	Gdynia	uczestnik	14	181	
1949	ZHP	Zakopane	kierownik ekipy	5	192	
1949	ZHP	Hufiec Jelenia Góra	gospodarz Grupy Obóz	30	222	

Dalsze wpisy: kurs narciarski w Karpaczu, kierownik ekipy na Mi-strzostwa narciarskie ZHP w Zakopanem, kurs w Gdyni, obóz w Łazach i Nowym Śliwnie

W 1948 roku S. Podolak był uczestnikiem kursu narciarskiego w Karpaczu. Umiejętności narciarskie doskonalił na stokach narciarskich w Szklarskiej Porębie. Reprezentował hufiec w mistrzostwach narciarskich ZHP w Zakopanem. Wyczynem na owe czasy był marsz na nartach z Karpacza do Szklarskiej Poręby. O swoich narciarskich dokonaniach powiedział:

Któregoś, zimowego dnia wraz z kolegami postanowiliśmy przejść na nartach z Karpacza do Szklarskiej Poręby. Wybrana przez nas trasa wiodła szczytami gór, od Równi pod Śnieżką, nad Małym i Wielkim Stawem, obok schroniska Odrodzenie, przez Wielki Szyszak, Śnieżne Kotły, Łabski Szczyt, Szrenicę, Halę Szrenicką i dalej zjazd w dół, drogą obok Wodospadu Kamieńczyka do Szklarskiej Poręby.

Rok później byłem kierownikiem jeleniogórskiej ekipy na mistrzostwa narciarskie ZHP w Zakopanem. Startowałem w konkurencji zjazdowej. Reprezentacja naszego hufca zajęła „środkowe miejsca”. Wszystkie konkurencje wygrali zakopiańczycy. Eliminacje do mistrzostw odbyły się w Cieplicach na Górze Strzeleckiej. Była tam narciarska trasa zjazdowa i skocznia. Organizatorem eliminacji był Harcerski Klub Sportowy.

Spośród rozłożonych na stole pamiątek, uwagę moją zwrócił mały, skórzany woreczek, jakby sakiewka na pieniądze lub inne wartościowe przedmioty. Zauważył moje nim zainteresowanie. Wyjął z niego Krzyż Harcerski, nim pozwolił mi go oglądnąć, powiedział:

To mój Krzyż Harcerski, otrzymałem go 25.03.1945 po złożeniu przyrzeczenia harcerskiego. Krzyż ten wzorowany na orderze Virtuti Militari, przyznawanym za szczególne męstwo i oddanie służbie ojczyźnie, dla mnie jest niezwykle cenny i wartościowy. Przechowuję go przez całe moje życie. Rzadko go pokazuję, bowiem jest on dla mnie nie tylko pamiątką szczęśliwych lat, ale też swoistą świętością.

Może to patos, lecz dla mnie Krzyż Harcerski jest wyrazem dewizy zawartej w łacińskiej maksymie „Per aspera ad astra” (Przez trudności do gwiazd). Stąd, jego bogata symbolika, która do dziś nie straciła dla mnie swej wymowności.

Pośrodku Krzyża Harcerskiego znajduje się koło. Jest w nie wpisana lilijka, z której wychodzą promienie. Oznaczają one dążenie każdego harcerza do promieniowania na cały świat radością, dobrem i szlachetnymi czynami.

Ramiona odznaki oplata wianek: z liści dębu symbolizujących męstwo i dzielność oraz liści wawrzynu, które są symbolem zwycięstwa, tryumfu nad własnymi słabościami. Wianek oznacza też cele do zdobycia: siłę, umiejętność, sprawność i wiedzę.

Umieszczoną w środku Krzyża Harcerskiego lilijkę otacza krąg – symbol doskonałości, do jakiej dąży każdy harcerz czy też symbol harcerskiego kręgu, w którym wszyscy są równi i w którym panują braterskie relacje. Harcerska lilijka wywodząca swój kształt z igły magnetycznej, symbolizuje kierunek drogi, którą obiera każdy, kto chce żyć i pracować, zgodnie z prawem i przyrzeczeniem harcerskim. Są na niej dwie gwiazdki – symbol patrzących oczu, gotowych dostrzec dobro i zło, widzieć, gdzie można być pomocnym.

Węzeł na lilijce, jak węzeł na chuście harcerskiej, przypomina o obowiązku wypełnienia dobrych uczynków, przynajmniej jednego dziennie.

Ramiona Krzyża Harcerskiego wypełnione są ziarenkami piasku. Symbolizują one liczną rodzinę harcerską, a i też radości, trudy i znoje, jakie spotykają harcerza na jego drodze życia. Na ramionach widnieje hasło „Czuwaj” – tradycyjne pozdrowienie harcerskie.

Na Krzyżu widać też oznakowane złotym kolorem stopnie harcerskie. Dla każdego harcerza zdobywanie stopni harcerskich jest wyzwaniem, które pokazuje, jaka jest jego droga awansu i rozwoju w organizacji. Pozwala zmie-

rzyć się z samym sobą. Pobudza indywidualne inicjatywy i ambicję przodowania. Każdy kolejny zdobyty stopień jest dla harcerza także celem, którego osiągnięcie jest dowodem jego wiedzy i umiejętności, cenionym nie tylko w środowisku harcerskim.

Krzyż „Harcerza Rzeczypospolitej” ze złożonymi: lilijką, otaczającym ją kręgiem, wiankiem z liści dębowych i laurowych prezentował się okazale.



Na odwrocie Krzyża widnieje wygrawerowany nr 811 ser. CXCIV

Próby organizacyjne		
Stopień	Data i L. Rozk.	Przebieg
Młodzik	25. 3. 1945.	20. 10. 1945. R.L. 3. N.H.
Wywiadowca	15. 8. 1945.	1. 5. 48
Ćwik	5. 4. 1946.	5/48

Próby drużynowe
przyznano dnia 4. stycznia 1946.
rozkazem Komendy Chorągwi
na podstawie ukończenia kursu
i złożenia próby

29

Zdobyte stopnie harcerskie: młodzik, wywiadowca (zdobyte w 6 DH w Siedlcach), ćwik, harcerz orli, harcerz Rzeczypospolitej

Stopień harcerz Rzeczypospolitej potwierdza okrągła pieczęć Dolnośląskiej Komendy Chorągwi i podpis jej komendanta Kazimierza Sobolewskiego hm.

W książeczce służbowej wpisane są zdobyte w latach 1945-1948 sprawności harcerskie.

Sprawności				Sprawności			
L.	Sprawność	Data i L. rok.	Podpis drużynowego	L.	Sprawność	Data i L. rok.	Podpis drużynowego
1.	3 pióra	15.11.45		11.	Kucharz	4.8	
2.	Perwasa porobak	15.11.45		12.	Spiewak	4.8	
3.	Pływak	15.11.45		13.	sobieradek	5.1.46	
4.	Sekretarz	6.1.46		14.	spółczesnik	6.1.46	
5.	Traper	28.1.46		15.	zadobnik	8.1.46	
6.	Pierwszy zbieracz	15.11.45		16.	gospodarz	21.1.46	
7.	zadobnik	15.11.45		17.	st. pol.	28.7.47	
8.	Goniec	20.12.46		18.	zadobnik wnetrz	22.10.48	
9.	Kolarz	1.6.47		19.	narcieciarz	16.48	
10.	Burak	1.6.47		20.	narcieciarz	4.8	

Sprawności				Sprawności			
L.	Sprawność	Data i L. rok.	Podpis drużynowego	L.	Sprawność	Data i L. rok.	Podpis drużynowego
21.	Przewodnik			31.	Wodny człowiek		
22.	Przewodnik			32.	Pisarz na maszynie		
23.	Reklamator			33.	Prumacz		
24.	Oświecony			34.	domownik		
25.	Ratownik			35.	Przewodnik po Karkonoszach		
26.	Ułan			36.	Przewodnik po Jeleniej Górze		
27.	Falownik			37.	Wodnik		
28.	Przewodnik po Jeleniej Górze			38.			
29.	Przewodnik po Karkonoszach			39.			
30.	Wioślarz			40.			

Zdobył 36 sprawności m.in.: „trzy pióra”, „pływak”, „wioślarz”, „ratownik”, „wodny człowiek”, „narcieciarz”, „przewodnik po Karkonoszach” i „przewodnik po Jeleniej Górze”

O pierwszej zdobytej sprawności harcerskiej powiedział:

Zdobycie sprawności „trzy pióra” od zawsze było przez harcerzy pożądane. Jej posiadanie wiązało się z prestiżem, lecz zaliczenie wszystkich trzech prób nie należało do prostych. Próby milczenia, głodu i samotności nie były łatwe. Nie wszyscy, którzy przystępowali do tego zadania, sprawność tę zdobywali. Bywało i tak, że zaliczali jedną próbę, wówczas mieli prawo do naszycia na rękawie krążka z jednym piórem. Po zaliczeniu kolejnych prób doszyszyli do jednego pióra drugie i trzecie pióro.

Opiekunem realizowanej przeze mnie próby był mój drużynowy. Nie tylko czuwał on nad prawidłowym i bezpiecznym jej przebiegiem, ale też poinstruował mnie, jak realizować zadania na poszczególne pióra. Przestrzegałem jego zaleceń. Próba zakończyła się sukcesem.

Podczas realizacji zadania na pierwsze pióro, uczestniczyłem we wszystkich zajęciach, jakie wykonywała drużyna. Miałem obowiązek zachowania całkowitego milczenia, nie mogłem z nikim rozmawiać! Niezbędne informacje wolno było przekazać jedynie napisane na kartce papieru.

Zadania na drugie pióro, polegały na tym, że musiałem powstrzymać się od jedzenia i picia. Wyjątkowo mogłem pić wodę oraz żywić się owocami leśnymi. Zobowiązany byłem brać udział w zajęciach drużyny.

Podczas wykonywania zadania na trzecie pióro przebywałem w lesie, starając się być niedostrzeżonym przez ludzi, żywiłem się wyłącznie owocami lasu. Nie musiałem ukrywać się jedynie przed opiekunem próby, który czuwał nad jej prawidłowym przebiegiem. Do lasu mogłem zabrać tylko butelkę wody i nóż. Zadanie to było powtórzeniem zaliczonych przeze mnie dwóch prób, milczenia i głodu, rozszerzone o próbę samotności.

Sprawności zdobyłem głównie na obozach harcerskich. Były tam nie tylko sprzyjające ku temu warunki, ale też tam zrodziły się moje trwałe więzi z harcerstwem, jego programem, obrzędowością i symboliką. Dostrzegłem, że obozownictwo ta jedna z najważniejszych form realizacji programu. Nabrałem przekonania, że ma ono ogromne znaczenie wychowawcze, polegające na mobilizacji do pracy w ciągu całego roku, a dopiero na obozie, widać efekty tej pracy.

Przygotowania naszej drużyny do pierwszego obozu harcerskiego rozpoczęły się już od początku jej powołania. Najpierw wymienialiśmy swoje obozowe doświadczenia z kolegami, którzy brali udział w akcji letniej już w 1945 roku czy też przed wybuchem wojny. Sporządziliśmy wykaz zadań, które należało wykonać. Przystąpiliśmy do gromadzenia sprzętu obozowego: namiotów, koców, sprzętu kuchennego i tego, co było niezbędne do realizacji programu.



Obóz w Pilchowicach; wokół obozowej bramy zgromadzeni harcerze z 2 DDH i 21 DDH z Cieplic, którzy byli jego uczestnikami. Pośrodku bramy, najwyższy w czapce harcerskiej stoi dh Janusz Jabrzemski ćw., kierownik Referatu Prób i Sprawności Komendy Hufca (1946 rok).

Osobnym zadaniem było gromadzenie środków finansowych, wyszukanie odpowiedniego terenu pod obóz. Pomimo że znaleźliśmy okolice Karpacza, Szklarskiej Poręby, na pierwszy obóz wybraliśmy teren nad zbiornikiem wodnym w Pilchowicach. Tam funkcjonował ośrodek sportów wodnych Ligi Morskiej, z którym współpracowało jeleńskie harcerstwo. Być może ta współpraca zdecydowała o wyborze naszej wodnej specjalności.

Organizacja obozów, wszystkie wspomniane przedsięwzięcia, by spełniać nasze oczekiwania, wymagały naszej aktywności, zbiorowego zaangażowania i systematycznej pracy. Nasze doświadczenia służyły wypracowaniu jak najlepszej organizacji obozów. Stąd przygotowanie, budowa obozu, jego likwidacja, realizowany program, w praktyce, na każdym z obozów były podobne. A wyglądało to tak...

Obóz przyjeżdżał na wybrane przez grupę kwatermistrzowską miejsce. W ciągu jednego dnia ustawialiśmy namioty, budowaliśmy prycze, kuchnię, kopaliśmy dół na odpadki, stawialiśmy na placu apelowym maszt. Następnie jeden lub dwa dni poświęcone były na dalsze prace, takie jak wykonanie „umywalni”, budowa stołów, bramy obozowej, urządzenie placu apelowego, budowa kapliczki, okopanie namiotów i upiększenie terenu wokół nich. Prace te połączone były ze zdobywaniem różnych sprawności.

Następnie rozpoczynało się życie obozowe – realizacja ustalonego programu. Rano: pobudka, gimnastyka, sprzątnięcie, toaleta poranna, po niej śniadanie, apel i rozkaz. Rozkaz zawsze zawierał zadania na dany dzień. Były w nim pochwały, nagany, wyróżnienia i ważne decyzje, m.in. przyznanie zdobytych sprawności. Po apelu przystępowaliśmy do realizacji zadań określonych rozkazem. Wśród nich były też takie: zastępy młodsze wyruszały w teren, zbierały informacje o okolicy, o zamieszkujących ją ludziach i ciekawych zdarzeniach, jakie miały tu miejsce (zwiad środowi-

skowy). Zastępy starsze wykonywały różne prace użyteczne na rzecz miejscowej ludności. Inni organizowali zaopatrzenie, gotowali posiłki, pełnili służbę.

Po obiedzie był czas na odpoczynek, czas własny i zajęcia sportowe. Wieczorem ognisko, przy którym śpiewano harcerskie piosenki, słuchano gawęd, dyskutowano m.in. o tym, co to jest moralność, patriotyzm, co znaczy być dobrym harcerzem, jak przestrzegać – realizować prawo harcerskie. Dzień kończył się w kręgu, splatano ręce i śpiewano „Idzie noc...”. Po tym jeszcze była modlitwa przy obozowej kapliczce, po niej cisza nocna panowała w obozie. Dyżurny zastęp obejmował wartę. Odtąd tylko wartownicy strzegący obozu i ciszy nocnej mogli się po nim poruszać.

Co najmniej raz w czasie trwania obozu organizowano nam nocny alarm. Trzeba było po ciemku się ubrać i ze spakowanym plecakiem stawiać się na zbiórce. Następnie były organizowane zajęcia w terenie.

Szczególne znaczenie miały ogniska urządzane dla miejscowej ludności, które odbywały się w sobotę lub niedzielę. Na takie ognisko trzeba było starannie przygotować program. Najczęściej były to harcerskie gawędy, różne skecze, które bawiły i rozśmieszały zebranych.

Likwidacja obozu odbywała się w odwrotnej do jego budowy kolejności. Dzień przed zakończeniem obozu rozbieraliśmy to, co nie utrudniało zbytnio dalszego funkcjonowania obozu. W ciągu drugiego dnia, po obozie nie było śladu.

Po tak dobrze zorganizowanych obozach wracaliśmy do domu z dużym ładunkiem entuzjazmu do pracy harcerskiej, twórczego życia i nauki. Każdy obóz integrował nas, wzmacniał nasze więzi. Tak silnie, że dziś, po wielu latach, w znacznie mniejszym gronie, spotykamy się na zbiórce „naszej drużyny” tu, w Jeleniej Górze.

Pierwszy obóz drużyny w Pilchowicach, o którym wspomniałem, trwał 30 dni. Jego uczestnikiem byłem jedynie przez 12 dni. Przekazałem obowiązki sekretarza obozu i wyjechałem do Gdyni na kurs instruktorski, związany z działalnością drużyn wodnych. Tam przez 28 dni uczyłem się, jak organizować prace drużyny o specjalności wodnej.

Organizator szkolenia – Dowództwo Centrum Wyszakolenia Morskiego – nie tylko organizowało ciekawe zajęcia, ale też w programie były wycieczki do Gdyni, Gdańska, Sopotu, Koszalina i innych miejscowości położonych wzdłuż wybrzeża. Pozwoliło mi to, podobnie jak w Jeleniej Górze, zdobyć sprawność „przewodnika po Gdyni”. Wkrótce nasza 2 DDH przyjęła specjalność wodną, otrzymała uroczyste banderę-proporzec – nasz sztandar.

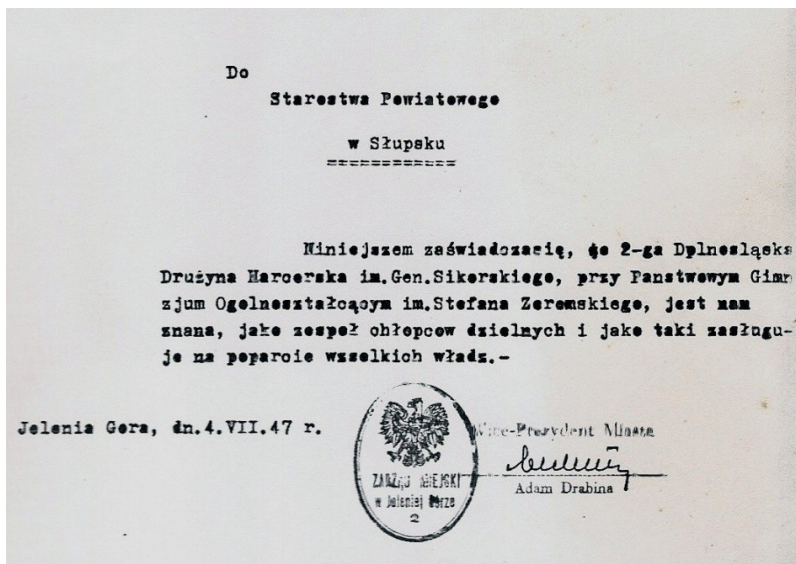
Na drugi obóz, który trwał 31 dni i liczył 123 uczestników, wyjechaliśmy w lipcu 1947 roku do Ustki. Kadra obozu skompletowana została jeszcze przed wyjazdem. Każdy z jej członków miał przydzielone zadania, które miał realizować podczas trwania obozu. Mnie, komendant obozu dh Lech Imieliński HO, nasz drużynowy, powierzył obowiązki zastępcy komendanta obozu.

Nowe obowiązki były dla mnie wyzwaniem. A zatem, jak każdy harcerz, chciałem wykonać je jak najlepiej. Miałem już doświadczenie, pracowałem w gronie komendy obozu w Pilchowicach. Tam, jako sekretarz, nauczyłem się prowadzić dokumentację, pisać projekty rozkazów, ale praktyczna realizacja obowiązków zastępcy komendanta była mi nieznana.

W tamtym czasie przygotowania do wyjazdu na obóz były dużym przedsięwzięciem. Rezerwacja wagonów, gromadzenie namiotów, słomy do sienników, pieniędzy, były głównymi zadaniami kadry. Natomiast koce, prześcieradła, przybory toaletowe, menażkę, manierkę, sztucce, żywność

na czas trwania podróży, każdy uczestnik musiał zorganizować sam dla siebie.

Nasz przyjazd do Ustki poprzedziła grupa kwatermistrzowska. Trzech naszych kolegów pojechało tam, by ustalić: miejsce obozowania z dostępem do wody pitnej, gdzie będziemy zaopatrywać się w żywność, gdzie mieści się poczta, gdzie przyjmuje lekarz, gdyby trzeba było z jego pomocy korzystać. Ponadto należało nasz przyjazd zgłosić w Starostwie Powiatowym w Słupsku. Na okoliczność tę prezydent naszego miasta wyposażył nas w odpowiednie pismo.



Pismo-rekomendacja Zarządu Miejskiego w Jeleniej Górze, podpisane przez wiceprezydenta miasta Adama Drabinę

Był to jedyny dokument, który wówczas upoważniał nas: do podróży, rozmów z tamtejszymi władzami i legalnego pobytu nad morzem.

Trzy dni trwała podróż. Towarowe wagony były naszym domem, sypialnią i stołówką. Śpiewem wypełniali-

śmy czas podróży. A było to tak, kolejno każdy „wagon” prezentował swoje śpiewacze talenty. W repertuarze nie mogło zabraknąć popularnych harcerskich piosenek, takich jak:

„Z miejsca na miejsce, z wiatrem
wtór od Dniestru fal, tatrzańskich
gór, wszędzie nas pędzi, wszędzie
gna harcerska dola radosna...”.

Czy też piosenki marszowej:

„Jak dobrze nam zdobywać góry
i młodą piersią chłonać wiatr,
prężnymi stopy deptać chmury i palce ranić ostrzem
skał...”.

Najchętniej śpiewaliśmy dawne piosenki harcerskie. One stanowiły nasz ulubiony repertuar, nie tylko w czasie podróży. Śpiewaliśmy na każdej zbiórce, podczas maszerowania ulicami miasta. Przy płonącym ognisku nie mogło zabraknąć ponadczasowego kanonu na trzy głosy:

„Płonie ognisko w lesie,
Wiatr smętną piosenkę niesie
Przy ogniu zaś drużyna gawędę rozpoczyna
Czuj, czuj, czuwaj, czuj, czyj, czuwaj,
Rozlega się dokoła...”.

A także:

„Płonie ognisko i szumią knieje
drużynowy jest wśród nas
Opowiada starodawne dzieje
Bohaterski wskrzesza czas...”.

Śpiewaliśmy też takie piosenki jak: „Stokrotka Polna”,

„Gdy już ciemna noc zapada”, „Czerwona róża, biały kwiat” i wiele innych.

Osobną grupę stanowiły piosenki patriotyczne: „Marsz Mokotowa”, „Pałacyk Michła”, „Serce w Plecaku” czy też takie, które wiązały się z naszą, wodną specjalnością: „Chłopcy, a hoj!”, „Wesoła marynarska wiara”, „Pod żaglami Zawiszy”. To zdumiewające, że mały kawałek, przedwojennego wybrzeża zaowocował tylu popularnymi piosenkami związanymi z morzem!

Szczególne wrażenie na słuchających naszego śpiewu wywoływały słowa zakazanej w tamtych latach piosenki „Czerwone maki spod Monte Cassino”. Kiedy pociąg z wagonami rozśpiewanych harcerzy przejeżdżał przez mijane stacje, zgromadzeni tam ludzie odwracali się w naszą stronę. Zdziwieni słowami tej piosenki, nagradzali nas brawami. Piosenki umilały nam podróż, skracaly jej czas.

W czasie dłuższych postojów pociągu na stacjach, bocznicach czy też pod semaforem w szczerym polu, zwiedzaliśmy najbliższą okolicę lub sąsiedztwo stacji. Z czasem takie zwiedzanie stało się zwyczajem harcerskich transportów.

Obóz był udany, dla niejednego z nas był to pierwszy w życiu pobyt nad morzem. Zwiedzanie portu, poznawanie pracy marynarzy, gawędy „morskich wilków” przy obozowych ogniskach, potwierdzały trafny wybór wodnej specjalności naszej drużyny.

W 1948 roku władze harcerskie zakazały drużynom organizacji samodzielnych obozów. Odtąd hufiec był ich organizatorem. Bywały wyjątki, np. 22 LDDH szkolila się nadal w Lęborku w tamtejszym aeroklubie, 186 DDH ze Szklarskiej Poręby obozowała w Pieninach a 1 DDH z Jeleniej Góry i 22 DDH z Cieplic w rejonie Świeradowa-Zdroju.

Organizacją wyjazdu na obóz w 1948 roku zajmowała się głównie jego komenda. Mnie, jako członkowi komendy hufca, powierzono funkcję sekretarza zgrupowania obozów w Łazach, które przyjęło nazwę Jeleniogórska Grupa Obozów „Śnieżka”. Obóz trwał 32 dni. Pomimo że był liczny, jego 173 uczestników spotykało się na apelach i przemarszach główną ulicą w Łazach.



2 WDDH na wydmie w Łazach, lipiec 1948 rok

Drugie zgrupowanie obozów, połączonego już hufca harcerek z hufcem harcerzy, stacjonowało po dwóch stronach Rewala. W Nowym Śliwnie namioty rozbili harcerze, a obóz harcerek obozował w pobliskim Trzęsaczu. Zgrupowanie liczyło 228 uczestników, trwało 30 dni.

Było to pierwsze, koedukacyjne, zgrupowanie obozów hufca. Do podobozu harcerek trzeba było ścieżką wzdłuż wybrzeża iść około 30 minut. Mimo tej odległości, bywałem tam często. Wszak byłem gospodarzem zgrupowania, a zatem odpowiadałem za jego warunki socjalno-bytowe.

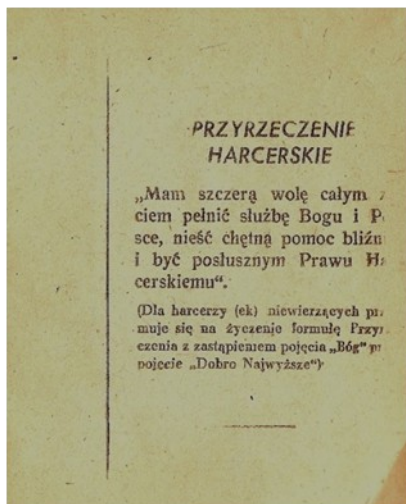
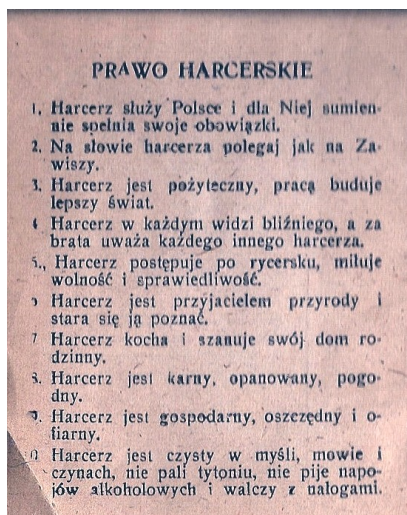


100 DDH na zgrupowaniu obozów w Rewalu

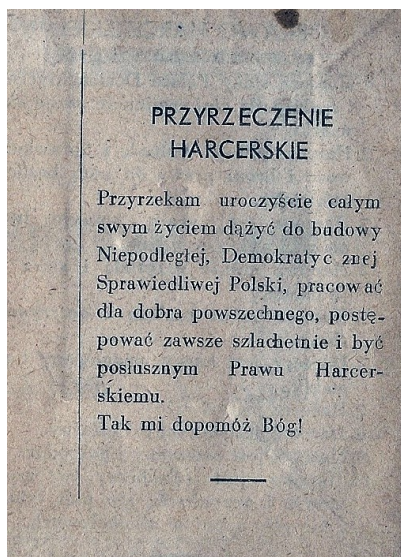
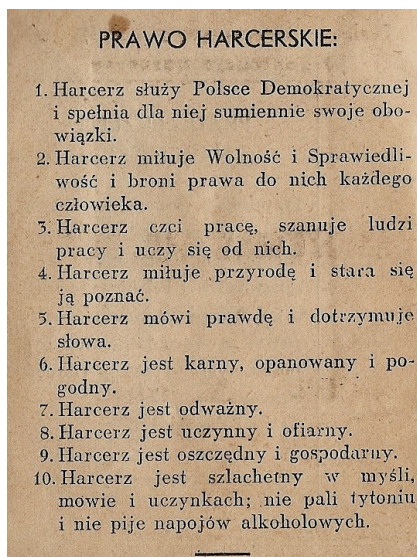
Dziś, po latach, ten ostatni mój obóz, ostatnią przygodę harcerską, szczególnie pamiętam. Bo wówczas my z Maćkiem Zawadzkim, niespełna 18-letnim komendantem hufca, z młodszą od nas pozostałą kadrą zgrupowania, podjęliśmy się niebywale odpowiedzialnego zadania. Zorganizowania w odległym, nieznanym nam, nadmorskim terenie, zgrupowania obozów.

Do moich obowiązków, gospodarza zgrupowania, należało m.in. dopilnowanie zaopatrzenia uczestników w żywność, o którą w tamtym czasie nie było łatwo. Gdybym wówczas myślał tak jak dziś, nie wiem, czy zadania takiego bym się podjął. Lecz wiem, że ta harcerska szkoła życia uczyła pracy zespołowej, integrowała i bawiła.

W Książeczce służbowej (druk z 1946 roku) uwagę moją zwróciła jedna, luźna kartka, na której wydrukowana była treść przedwojennego *Przrzeczenia i Prawa harcerskiego*.



„Wkładka” - tekst „starego” *Przrzeczenia i Prawa Harcerskiego*



Teksty *Prawa i Przrzeczenia Harcerskiego*, obowiązujące w 1946 roku

Widząc moje zainteresowanie „luźną kartką”, powiedział:

Książeczki służbowe, które wydrukowano na zlecenie GKH w pierwszym kwartale 1946 roku w jeleniogórskiej drukarni, zawierały treść zmienionego „Przyrzeczenia” i „Prawa harcerskiego”. Do nas wprowadzone zmiany jakby nie docierały. Dla nas wartością najcenniejszą było „Przyrzeczenie” i „Prawo harcerskie” z ich starymi, przedwojennymi tekstami. Stąd w naszych książeczkach służbowych ta wkładka – luźna kartka.

Zmienione „Przyrzeczenie” i „Prawo harcerskie”, w miejsce obowiązujących od 1936 roku, wprowadziła Tymczasowa Naczelna Rada Harcerska w styczniu 1945 roku. W „Prawie” wprowadzono m.in. sformułowania „Polska Demokratyczna” oraz eksponowano szacunek do pracy i ludzi pracy. Natomiast „Przyrzeczenie” kończyło się zdaniem: „Tak mi dopomóż Bóg”. Moim zdaniem, wprowadzone zmiany różniły się od dawnych banalnością zapisów.

Wystarczy je porównać. My nie mieliśmy nawet zamiaru dokonywać szczegółowej analizy różnic i podobieństw. Tekst przedwojenny bardziej do nas przemawiał. Posługiwaliśmy się nim aż do końca 1949 roku.

Nie był to nasz jedyny objaw wierności tradycji harcerskiej. Dnia 3 maja 1946 roku rano zebraliśmy się w szkole, wówczas dowiedzieliśmy się, że planowana manifestacja jeleniogórskiego społeczeństwa z okazji święta Konstytucji 3 Maja, w której mieliśmy uczestniczyć, nie może się odbyć. Poinformowano nas, że władze państwowe zakazały w tym dniu jakiegokolwiek manifestacji.

Decyzja władz, tym razem państwowych, jakby do nas nie dotarła. My postanowiliśmy uczcić to święto. Zwartymi, harcerskimi szeregami, podobnie jak dwa dni wcześniej

z okazji święta 1 Maja, postanowiliśmy przemaszerować tą samą ulicą (dziś Wojska Polskiego). Marsz nie był udany. Jakież samochody zajeżdżały nam drogę, rozproszeni, małymi grupami udaliśmy się do kościoła na mszę za ojczyznę.

Na drugi dzień, na lekcji języka polskiego, urządziliśmy imprezę 3-majową, na którą zaprosiliśmy dyrektora naszej szkoły Stanisława Maciukiewicza.

Podał mi przywiezioną wraz z pamiątkami kronikę, której w tamtym czasie był sekretarzem redakcji. Na jednej ze stron, pod datą 4 maj 1946 rok, S. Podolak napisał:

Ponieważ władze państwowe wrogo się ustosunkowały do święta narodowego 3 Maja, postanowiliśmy urządzić w klasie zamkniętą akademię... Ustalono program:

- 1. Piosenka „Witaj majowa jutrzeńko” – wykonał ogół.*
- 2. Referat „Konstytucja 3-go Maja” – Helena Krotow.*
- 3. Wyjętek z „Pana Tadeusza”, „Koncert Jankiela” – Janusz Jabrzemski.*
- 4. Wiersz „Trzeci Maj” Stacherskiego – Danuta Barska.*
- 5. Rota – wykonał ogół.*

Imprezę zakończył p. dyrektor przemówieniem, w którym wspomniał o znaczeniu dla nas uchwalonej w 1791 roku Konstytucji. Jej celem m.in. miało być ratowanie Rzeczypospolitej, której terytorium w wyniku rozbiorów zostało uszczuplone. Wkrótce S. Maciukiewicz stracił pracę, został odwołany z funkcji dyrektora szkoły. Być może, nasze niepodporządkowanie się decyzji władz było tego powodem?

Wspomniana, obszerna kronika zawiera szereg artykułów pisanych przez kolegów i koleżanki S. Podolaka. Odłożyłem jej przeglądanie, bowiem otrzymałem zgodę na zapoznanie się z nią w innym terminie.

Wśród oglądanych pamiątek była też legitymacja nr 216 członka – kandydata Aeroklubu Jeleniogórskiego, wystawiona 14 marca 1946 roku.



Rozpoczęcie działalności Aeroklubu wiąże się z przyjazdem na teren jeleniogórski instruktora harcerskiego Tadeusza Pucejdy, drużynowego 15 DH z Bielska, utworzonej już w lutym 1945 roku. Drużyna ta, jeszcze przed zakończeniem wojny, zaczęła zwozić ukryte przed wybuchem wojny szybowce z terenu Śląska i rejonu krakowskiego do pobliskiej Białej Krakowskiej. Inicjatywa ta uwieńczona została powołaniem przez ówczesne Ministerstwo Komunikacji w maju 1945 roku, Centralnego Ośrodka Szybowcowego ZHP w Białej. Natomiast T. Pucejda został upoważniony przez Ministerstwo do zabezpieczenia i rejestracji sprzętu lotniczego na Ziemiach Zachodnich, między innymi w Jeleniej Górze i Jeżowie Sudeckim.

W pierwszych dniach sierpnia, pod kierownictwem T. Puchejdy, przyjechała do Jeżowa Sudeckiego (wówczas Grunau) grupa harcerzy z zamiarem zorganizowania szkolenia szybowcowego. To, co tam zastali, przerosło ich wyobrażenia: różne typy szybowców, sprzęt niezbędny do organizacji szkolenia, odpowiednie warunki socjalne, nawiązane kontakty z niemieckimi instruktorami. Wszystko to pozwoliło im ukończyć pierwszy po wojnie kurs szybowcowy.

Wkrótce T. Puchejda został kierownikiem Szkoły Szybowcowej w Jeżowie Sudeckim. Od tego czasu panowała w szkole harcerska atmosfera. Był nawet taki pomysł komendanta chorągwi, by powołać drużynę harcerską, bowiem w szkolonych zespołach harcerskich była też młodzież niezrzeszona w ZHP. Inicjatywa ta nie doszła do skutku. Krótkie terminy trwania kursów, rotacja uczestników, no i napięty program szkolenia uniemożliwiały przeprowadzenie podstawowego szkolenia harcerskiego, wymaganego, by złożyć przyrzeczenie i otrzymać Krzyż Harcerski.

Zainteresowanie lotnictwem kolegów z jeleniogórskich szkół, a zwłaszcza z naszej szkoły, zaowocowało powołaniem 22 Lotniczej DDH. To jej członkowie, jako pierwsi w dolnośląskim harcerstwie, wybrali specjalność lotniczą. Oni propagowali w jeleniogórskim społeczeństwie historię i osiągnięcia polskiego lotnictwa. Kontynuowali tę chlubną tradycję w szeregach ZHP, byli członkami sekcji samolotowej i szybowcowej, uczestniczyli w Szkole Modelarstwa Lotniczego.

Szkoła mieściła się w siedzibie Aeroklubu Jeleniogórskiego przy ulicy Osóbki-Morawskiego nr 19. [dziś Armii Krajowej 19, mieści się tam siedziba Straży Miejskiej – przyp. A.S.]. Założył ją i prowadził Władysław Blarowski, przy pomocy instruktora Edwarda Szczepaniaka. Z ich inicjatywy powstała nieco później w 1947 roku znana w całej Polsce Jeleniogórska Szkoła Modelarstwa Lotniczego z siedzibą

przy ul. Drzymały 4. Szkoliła się tu i budowała swe pierwsze w życiu modele samolotów i szybowców głównie młodzież i dzieci. Harcerze ze wszystkich drużyn brali udział w zajęciach. Było wielu chętnych, liczba uczniów rosła w setki.

Pierwszymi wyszkolonymi modelarzami byli m.in.: Wiesław Marcinkowski, Stanisław Maksymowicz, Janusz Maniecki, Zenon Mista, Jerzy Wieczorek, Teodor Gutaj, (wszyscy z 22 LDDH), Henryk Lisiecki, Edward Kwiatkowski, (z 100 DDH), Leszek Gański, (z 3 DDH). Budowali oni modele o różnym napędzie – gumowym, silnikowym, modele szybowców, konstrukcje eksperymentalne i wyczynowe. Powstawały ciekawe modele samolotów bezogonowych typu „kaczka”, a L. Gański był twórcą pierwszego modelu samolotu na uwięzi z napędem silnikowym [1949 rok – przyp. A.S.].

Nim rozpoczęliśmy szkolenie szybowcowe, uczestniczyliśmy w pracach porządkowych na płycie jeleniogórskiego lotniska. Pomagaliśmy w zasypywaniu dołów i bruzd, jakie pozostały po ciężkich samolotach. Usuwalismy wraki zniszczonych – spalonych samolotów, pomagaliśmy w naprawie szybowców i zniszczonego budynku portu lotniczego.

Zajęcia teoretyczne rozpocząłem wraz z liczną grupą pierwszych kursantów. Było nas chyba ponad sto osób, liczną grupę stanowili harcerze z 3 DDH, 22 LDDH i 21 DDH z Cieplic, szkolenie ukończyło znacznie mniej. Wkrótce podzielono nas na dwie grupy, samolotową i szybowcową. Zgodnie z moim wyborem, przydzielony zostałem do grupy szybowcowej.

Szkolenie rozpoczęliśmy od ciekawych zajęć teoretycznych, które obejmowały m.in. takie tematy jak: historia lotnictwa, aerodynamika, meteorologia, spadochrony, budowa płatowców i inne, których dziś już nie pamiętam. Szkolenie zakończyłem na zajęciach praktycznych, tak zwanych suwach. Zadanie to polegało na tym, żeby ciągnięty na li-

nie, przez wyciągarkę szybowiec utrzymać w takiej pozycji, by jego skrzydła nie dotykały murawy lotniska i najdłużej utrzymać je w poziomie.

Oprócz sekcji szybowcowo-samolotowej i harcerskiego Klubu Sportowego, dużym zainteresowaniem wśród nas cieszyła się sekcja motorowa.



Harcerze na „stacjonarnym” motorze

We wrześniu 1946 roku komenda chorągwi zatwierdziła sekcje Harcerskich Klubów Motorowych przy Hufcach

Jelenia Góra I i Jelenia Góra II. Posiadaliśmy niewielką „flotę” motocykli. Najczęściej były one uszkodzone czy też pozostawione bez paliwa. Znajdowaliśmy je w przydrożnych rowach, ukryte w garażach i różnych szopach.

W gromadzeniu motocykli pomagał mój ojciec. Wówczas pracował w Państwowym Przedsiębiorstwie Traktorów i Maszyn Rolniczych, które miało swoją siedzibę w dzisiejszym Zespole Szkół Rzemiosł Artystycznych. Początkowo głównym zajęciem tego przedsiębiorstwa było gromadzenie niemieckich samochodów i wysyłanie ich do Warszawy. Zbierano tam też motocykle i rowery. Czasami i nasz hufiec coś z tego zbioru dostał.

W trakcie kontynuowania wspomnień, oglądania pamiątek, padła propozycja odwiedzenia niektórych pobliskich miejsc, związanych z harcerstwem wspomnianego okresu. Odłożyliśmy oglądanie pamiątek na później i bez zbędnej zwłoki wyjechaliśmy w teren.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy od Szpitala MSW przy ulicy Cieplickiej.

W budynku tym, przypominającym pałac, mieściły się, Wojewódzki Urząd Ziemski, a zarazem „dyrekcja” mojego ojca. Korzystaliśmy w nim ze stołówki. Żywiło się tu wielu Polaków. Trudno było w tym czasie kupić chleb. Toteż wychodząc ze stołówki, każdy mógł zabrać ze sobą kilka kromek chleba, który był w koszyczkach na każdym stole.

W 1946 roku w WUZ gościł Stanisław Mikołajczyk. Nie pamiętam, czemu 22 LDDH była organizatorem ogniska i programu na cześć dostojnego gościa i zgromadzonej wokół niego publiczności. Wodzirejem przy ognisku był nasz kolega z drużyny Stanisław Kuszewski, który jakby etatowo zajmował się doborem programu i jego realizacją. Nieraz dowiedział, że robi to wyśmienie. Zapamiętałem, że zapre-

zentowany program, harcerskie piosenki i ogniskowe blac-kauty podobały się, za co WUZ przyznał drużynie nagrodę finansową, taką, że pieniędzy starczyło na pokrycie kosztów zimowiska w Szklarskiej Porębie.

Na ulicy Cieplickiej (dawnej Mireckiego) zatrzymaliśmy się przy budynku nr 56.

W tej Wilii mieszkalem – powiedział S. Podolak. Nie tak dawno odwiedziłem jej dzisiejszych lokatorów. Wówczas zobaczyłem od wewnątrz nasze dawne mieszkanie. Wyglądało podobnie, estetycznie urządzone, schludne, o niepowtarzalnej atmosferze. Jego młodzi lokatorzy uprzejmie podzieliли się ze mną swoimi spostrzeżeniami. Mówili o specyficznym klimacie i atmosferze tego domu. W trakcie krótkiej rozmowy poczułem się tak, jakbym tu nadal mieszkał. Odżyły moje wspomnienia.

W rewanżu, już na zewnątrz domu, powiedziałem im, co się tutaj zmieniło, czego tu dziś już nie ma. Wskazałem na nieczynną furtkę za domem, którą wychodziliśmy latem na uprawiane przez nas pole. Sadziiliśmy tam ziemniaki, kapustę, buraki i inne jarzyny. Zimą na nartach wędrowałem na pobliskie wały przeciwpowodziowe i tam doskonaliłem swoje umiejętności narciarskie.

Dziś ten teren za nieczynną furtką, zabudowany jest domami, jedno i wielorodzinnymi. Przed domem, wzdłuż drogi, dawniej jeździły tramwaje. Ich trasa wiodła z Sobieszowa do dworca kolejowego w Jeleniej Górze. Tu obok domu był przystanek tramwajowy „Bristol”. Z przystanku tego dojeżdżałem do szkoły. Nie jeżdżą już tramwaje, nie ma śladu po szynach. Jedynie na niektórych budynkach można dostrzec zaczepy, do których umocowana była trakcja elektryczna.

W Jeleniej Górze zatrzymaliśmy się w pobliżu Teatru.

W teatrze tym, rozpocząłem „karierę aktorską” mówił. Tu miał miejsce mój pierwszy kontakt z prawdziwą sztuką. Pierwsze oficjalne już, za zezwoleniem Ministra Kultury i Sztuki, przedstawienie rozpoczął kapitan Jerzy Walden, który przyjechał tu wraz z grupą aktorów Teatru II Armii Wojska Polskiego. W mundurze oficerskim zameldował widowni: „Dostałem polecenie otworzyć w Jeleniej Górze polski teatr. Melduję, że rozkaz został wykonany”. Meldunek zgromadzeni na widowni nagrodzili brawami.

Wcześniej pierwsze przedstawienie było składanką różnych scenek z rodzimego repertuaru i piosenek z Schillerowskiego „Kramu z piosenkami”. Następnie grane były pełnospektaklowe widowiska. „Zemsta” w wykonaniu aktorów przybyłych tu z Rzeszowa. Później „Damy i huzary” „Sulkowski” i inne barwne, i profesjonalnie wykonane występy, cieszyły jeleniogórczan.

Harcerze byli w teatrze nie tylko licznymi widzami. Kiedy J. Walden wraz z aktorskim zespołem i wyposażeniem teatru przeniósł się do Wrocławia, utworzyliśmy własny – harcerski teatr. Jego inicjatorem był Zbyszek Czajka, z naszej drużyny. Mieszkał on w Szklarskiej Porębie, tam prowadził 186 DDH im. Aleksandra Małkowskiego, był uczniem klasy maturalnej.

Teatrem zarządzała wówczas „Samopomoc Chłopska”. Życie teatru zaczęło zamierać. Wówczas my wystawiliśmy w „prawdziwym” teatrze „Pana Geldhaba” Aleksandra Fredry. Grałem księcia. Rolę tytułową grał Stanisław Kuszewski, późniejszy założyciel „Pegaza” w TVP, który razem ze Zbyszkim Czajką uczestniczył w reżyserowaniu przedstawienia. Harcerki wystawiły sztuki: „Ukrzyżuj Go”, a z okazji wręczenia hufcowi harcerek sztandaru „Serduszko”, przedstawienie dla dzieci.

Była to wspaniała przygoda ze sztuką jeleniogórczkiego

harcerstwa i wielkie przeżycie dla nas wszystkich. Z naszego grona tylko Z. Czajka został zawodowym aktorem.

Jeleniogórski teatr cieszył się uznaniem publiczności, w nim najliczniej gromadzili się mieszkańcy miasta i okolicznych miejscowości. Często w teatrze byłem wraz z rodzicami. Przed całkowitym upadkiem placówkę uratowało Ministerstwo Kultury i Sztuki. Powierzyło ono Zuzannie Łozińskiej kierowanie teatrem i organizację nowego zespołu.

Z Jeleniej Góry, przez Jeżów Sudecki, Siedlęcín, Strzyżowiec, dojechaliśmy do Pilchowic. Tam, z masywnej korony Zapory Pilchowskiej, piętrzącej wody rzeki Bóbr, wpatrywał się w malowniczą przestrzeń utworzoną przez strome, porośnięte iglastymi drzewami zbocza. Spiętrzona woda, jak kryształowe lustro, odbijała cienie rosnących gęsto drzew i licznych skał wokół zbiornika. Srebrno-zielony kolor wody w promieniach zachodzącego słońca dopełniał piękna tego miejsca. Mój rozmówca trwał bez ruchu, pochłonięty wpatrywaniem się w pełną uroku przestrzeń. Po chwili zadumy powiedział:

Tam, po lewej stronie, poniżej stacji kolejowej Pilchowice, kiedyś Mauer, w 1946 roku stacjonował nasz obóz 2 DDH oraz 1 DDH i 21 DDH z Cieplic. Usytuowany był na pochyłym w kierunku malej zatoki, trawiastym terenie. Zgromadzony w zatoce sprzęt pływający: kajaki i łodzie żaglowe, wykorzystywaliśmy do uczenia się „morskiego fachu”.

Z terenu obozu widać było tę zaporę. Po lewej stronie, na zalesionym cyplu, widoczny był drewniany pawilon i szerokie schody prowadzące w dół, do ogólnodostępnej przystani - stancji wodnej Ligi Morskiej. Była ona wyposażona w sprzęt pływający m.in.: łodzie motorowe i mały statek „spacerowy”. „Pływające” pomosty wyznaczały miejsce do

kąpieli. My też korzystaliśmy z tej bazy, ze zgromadzonego tam sprzętu i wyznaczonego kąpieliska. Tak, to na pewno tam stacjonował nasz obóz.

To pełne uroku miejsce wzbudzało naszą ciekawość. Zachwycało nas, chcieliśmy je jak najprędzej poznać, zobaczyć jego liczne zakola i skaliste brzegi. Dotrzeć do miejsc, w których rzeki i strumienie wpływają do zbiornika.

Podczas planowania zwiadów środowiskowych zgłosiłem komendantowi obozu – naszemu drużynowemu S. Świątkowi inicjatywę opłynięcia kajakiem zbiornika i sporządzenia jego mapy-szkicu. Inicjatywa zyskała aprobatę.

Rozpoczęły się przygotowania do wyprawy. Nim ustalony został jej ostateczny skład, każdy z kandydatów musiał wykazać się umiejętnością pływania i pokazać, że umie pływać kajakiem. Spośród kilku chętnych do wyprawy, próbę najlepiej ukończyło trzech kandydatów z 2 DDH. Odpadli kandydaci z 1 DDH i 21 DDH. Nie podobało się to drużynowemu 1 DDH Józefowi Pięcie.

Wczesnym rankiem, wyposażeni w kompasy, zeszyty, ołówki, lornetki i skromne porcje żywnościowe, trzema kajakami wypłynęliśmy w przeciwnym do zapory kierunku. Zadaniem naszym było nie tylko opłynąć zbiornik, narysować jego kontury – sporządzić mapę, ale też zaznaczyć na niej i opisać to, co płynąc, zobaczyliśmy.

Płynęliśmy powoli, tak, by naszej uwadze nie uszło nic, co powinniśmy zaznaczyć na szkicu sporządzanej mapy. Nie znaliśmy nazw wpływających do zbiornika potoków ani mijanych skał. Toteż sami nadawaliśmy im nazwy. Kilkunastometrową skałę, jakby wyrastającą z wody nazwaliśmy Mostkiem Kapitańskim, inną w kształcie iglicy Orlim Gniazdem, a te, jakby samotne, przypominające wieże rycerskie, posadowione w wodzie, Basztami. Zasilające zbiornik w wo-

dę rzeki, strumienie, ciekł wodne, zatoki czy też wiszący żelazny most kolejowy, dostawały swoje nazwy.

Podczas omawiania efektów naszej pracy J. Pięta, drużynowy 1 DDH rozłożył na stole niemiecką mapę pilchowskiego zbiornika. Porównywał to, co myśmy narysowali, z profesjonalnie wykonywaną mapą. Naniesione na niej były nazwy skał, strumieni wpływających do zbiornika, miejsc do cumowania łodzi i wszystko to, co było ważne.

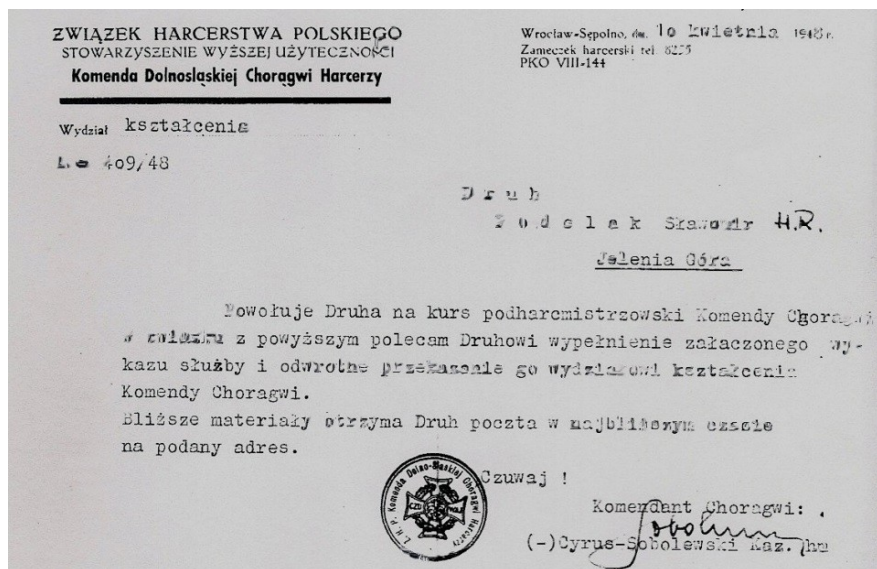
Nasunęło się pytanie, czy nie byłoby z większym pożytkiem odwzorować niemiecką mapę i nanieść polskie nazwy? Być może J. Pięta, który w sobie wiadomy sposób doprowadził do nadania jego drużynie numeru 1, pomimo że to nasza 2 DDH była pierwszą, która powstała w Jeleniej Górze. Widocznie chciał nam w ten sposób udowodnić, że „jedyneką” jest jego drużyna, a my jesteśmy „dwójką”.

W drodze do Szklarskiej Poręby zatrzymaliśmy się w Świeradowie-Zdroju. W pobliżu miejsca, gdzie w 1946 roku z jeleniogórskiego hufca stacjonowały niezbyt udane dwa obozy. Pierwszy stacjonował nad brzegiem płynącej tędy rzeki Kwisy. Drugi obóz rozbił namioty w pobliskiej Czerniawie. Obozy te miały kłopoty z zaopatrzeniem w żywność.

Mnie tu wówczas nie było. Byłem na obozie naszej drużyny w Pilchowicach. Pamiętam omawiany w hufcu fakt trudności z zaopatrzeniem w żywność tych obozów. Obozy tę zyskały miano „głodowych”.

W 1948 roku miałem dylemat. Czy jechać na oczekiwany przeze mnie kurs podharcemistrzowski, organizowany przez komendę chorągwi, czy na zgrupowanie obozów hufca w Łazach. Wybrałem zgrupowanie w Łazach. Zwłaszcza, że był to pierwszy okres, w którym organizatorem obozów, pod szyldem „Harcerskiej Służby Polsce” był hufiec, a nie drużyny.

Powierzona mi funkcja sekretarza zgrupowania pozwalała zadbać o to, by wprowadzone zmiany organizacyjne i programowe w urządzaniu obozów niewiele zmieniły, by drużyny były samodzielnymi obozami, miały własną komendę obozu, wydawały swoje rozkazy, samodzielnie też realizowały dotychczasowy program.



Powołanie na kurs podharcemistrzowski

Zwiedzanie Szklarskiej Poręby rozpoczęliśmy od miejsc, w których stacjonowały obozy harcerskie z chorągwi: Dolnośląskiej, Rzeszowskiej, Krakowskiej, Łódzkiej, Poznańskiej i Warszawskiej.

W rejonie stacji kolejowej Szklarska Poręba Huta, obozowali harcerze ze Stalowej Woli. Koledzy z 22 DDH mieli z nimi „potyczkę”. Kiedy byli poza obozem zlokalizowanym w pobliskim rejonie Doliny Krasnoludków, wówczas oni próbowali zakraść się do ich obozu i zabrać im flagę. Próba nie powiodła się. Wartownik wymierzył nabitą bronią – flowerem w napastników i zagroził jej użyciem. Zrezygnowali.

Spodziewali się rewanzu. Na wszelki wypadek, swoją flagę gdzieś ukryli. Nie zawiedli się. Kiedy dobrana grupa zwiadowców z 22 DDH dotarła do ich obozu, zorientowała się, że nie ma flagi na maszcie, a obóz spi „kamiennym” snem. Postanowili zabrać im budkę wartowniczą. Zwolnili linki naciągające namiot kadry, ten zwałił się na śpiących w nim druhów. Nim budzący się ze snu, wyszli spod zawalonego na nich namiotu i zorientowali się, co się wydarzyło, zwiadowcy z piękną zdobyczą, pod osłoną nocy, byli już daleko.

Potyczka pomiędzy obozami skończyła się wynegocjowanym kompromisem. Harcerze z 22 DDH odnieśli zdobycz na swoje miejsce, a harcerze ze Stalowej Woli przeprosili za najście na obóz i zaprosili na ognisko. Wspólnie śpiewane piosenki, uściski rąk zgromadzonych w kręgu wokół ogniska zażegnały spór.

Na dłużej zatrzymaliśmy się przed domem harcerskim „Czuwaj” przy ul. Okrzei 7.

Był to dom przeznaczony dla harcerek, ale my też z jego gościnności korzystaliśmy. Zwłaszcza zimą, kiedy przybywaliśmy tu, by jeździć na nartach. Organizowane były tu również kursy zastępowych i funkcyjnych drużyn. Szklarska Poręba tętniła życiem harcerskim. Stąd wywodzi się wniosek napisany w 1945 roku do wojewody dolnośląskiego, umotywowany dokonaniem działającego tu 1 Koedukacyjnego Kręgu Harcerskiego, o nazwanie tej miejscowości Harcerską Porębą. Tu kolega z naszej drużyny Zbigniew Czajka prowadził drużynę harcerską, która na zlocie harcerzy chorągwi Dolnośląskiej z okazji wręczenia hufcowi sztandaru, a naszej drużynie Bandery Wodnej, wyróżniała się złoto lśniącymi hełmami strażackimi na głowach.

Karpacz przywitał nas ostrym blaskiem chylącego się ku zachodowi słońca. Jego złote promienie odbijały się od

„spodków” obserwatorium na Śnieżce, zamieniając je niby w świecącą gwiazdę. Światło to, jak latarnia morska, ułatwiało szczęśliwy dojazd do celu. Zatrzymaliśmy się przy budynku nr 75 na ul. Konstytucji 3 Maja (dawniej ul. Wielkopolska nr 169). W przeszłości był to Dom Wypoczynkowy ZHP „Wykapka”. Mój rozmówca przyjrzał się budynkowi.

W jednym miejscu, gdzie kiedyś w tym domu było okno, wybudowano drugie wejście – powiedział. Kiedy byłem tutaj po raz pierwszy, był to jeden wielki gabinet stomatologiczny. Jego wyposażenie szybko gdzieś zniknęło, a gabinety z czasem zamieniły się w pokoje noclegowe.

Koledzy z naszego hufca wspominali, że kiedy po pierwszym Sylwestrze w „Orlinku” tutaj nocowali, nie było łóżek ani ogrzewania. Spali na podłodze. Na dodatek w oknach brakowało szyb. Wkrótce braki te usunięto. Organizowane były tutaj kursy i szkolenia. Nieraz byłem w gronie kadry szkolącej. Budynek był też bazą noclegową dla harcerzy wybierających się w góry czy też zimą na narty.

Przeszliśmy na drugą stronę ulicy, tam, gdzie rzeka Łomnica spada z wysokiego progu i dalej płynie zacienionym wąwozem. Przyglądaliśmy się spienionej wodzie, wijącej się wśród głazów. Szum wody rozbijającej się o kamienie, strome zbocza wąwozu porośnięte świerkami, miejsce to czyniły tajemniczym. Nad samym brzegiem rzeki był tylko jeden, niewielki kawałek płaskiego terenu, stanęliśmy na nim. Po chwili zadumy mój rozmówca powiedział:

Któregoś wieczoru wokół płonącego tu ogniska zgromadziło się około 20 uczestników kursu drużynowych. Komendant kursu dh Borzykowski hm. wygłosił gawędę. Przypominał o ofiarnej służbie w Szarych Szeregach i złożonym wówczas ślubowaniu. Wezwał do wiernej służby całym życiem powstałej z niewoli ojczyźnie i odrodzonemu harcerstwu. Na zakończenie wydał komendę: „W tył zwrot! Odejść

od ogniska! Wrócić mogą tylko ci, którzy chcą złożyć ślubowanie służby instruktorskiej”. Wrócili wszyscy.

Wówczas dh Czesław Hake phm., członek komendy kursu, odznaczony orderem Virtuti Militari, rozwinął zieloną nić (jej kolor symbolizował nadzieję i odrodzenie), tak, że każdy stojący w kręgu trzymał ją w lewej ręce, więc blisko serca. Następnie płonąca głownia z ogniska przepalał nić, która nas łączyła. Wówczas każdy swoją część nici wszył do swojego munduru, jako symbol naszej więzi, która nigdy się nie przerwie, a pamięć przeżytych w harcerstwie dni pozostanie w nas na zawsze.

Wróciliśmy pod „Wykapkę”. Pokazał mi zdjęcie wykonane w 1946 roku przed frontem budynku – na nim zastęp uczestników kursu zastępowych, wśród nich był S. Podolak.

W drodze powrotnej, w Karpaczu Górnym, zatrzymały nas promienie zachodzącego słońca, w miejscu, skąd rozciągał się malowniczy widok na zachodnią część Karkonoszy. Nisko nad horyzontem ognista kula płynęła po niebieskim widnokręgu jak okręt po falach morskich, oblaskawiając okolicę smugami ostrego światła.

Ten uroczy spektakl nie trwał długo. W miarę jak słońce zaczynało chować się za horyzont, z południa, z wysokiego grzbietu Karkonoszy, zaczynało napływać coraz więcej gęstej mgły, która zasłoniła sobą świetlistą kulę. Zapanował mrok. Wróciły wspomnienia o harcerskiej piosence śpiewanej na pożegnanie dnia:

*„Słoneczko już gasi złoty blask,
za chwilę niebo błysnie czarem gwiazd,
dobranoc, dobranoc, dobranoc już”.*

To już ostatni raz, tu w Karkonoszach, oglądam tak piękny, nigdzie niespotykany zachód słońca. Wiem, że nigdy tu już nie przyjadę – powiedział druh Sławomir Podolak Harcerz Rzeczypospolitej.



„Wykapka” – Dom Wypoczynkowy Związku Harcerstwa Polskiego w Karpaczu, ul. Wielkopolska 169, czwarty od lewej S. Podolak (1946 rok)



S. Podolak i A. Solarz przed „Wykapką”, dziś przy ul. Konstytucji 3 Maja 75 (16.10.2015)

Szło nowe...

Zgromadzone wspomnienia wnoszą bezcenną wiedzę o dziejach jeleniogórskiego Harcerstwa. Bez nich nie możliwe byłoby ożywienie gromadzonych dokumentów i informacji. Dzięki nim wiemy w jakich warunkach i na jakich racjonalnych decyzjach kadry było budowane harcerstwo, jaki był jego rzeczywisty obraz.

Powstawało ono w sytuacji szczególnie trudnej, bowiem władza lubelska, która przywróciła do działalności ZHP, narzuciła mu nowe akcenty polityczne. Mimo tego, organizatorzy zadbali o jego tradycyjny kształt organizacyjny i co szczególnie ważne programowy, który obowiązywał do czasu „przywrócenia do działalności...”. Dowodzą tego zgromadzone wspomnienia. Z nich bowiem wiemy m.in., że kadra organizatorów harcerstwa wywodziła się głównie z przedwojennych instruktorów harcerskich, członków Szarych Szeregów, ZWZ a później AK.

Wiemy też, że to oni szkolili, według swojej wiedzy i umiejętności, pierwszych drużynowych i zastępowych. Przekazywana im wiedza mogła być powodem pomijania wprowadzanych przez centralne władze harcerskie zmian. Przykładem mogą być „wkładki” w książeczkach służbowych z treścią „starego” *przyrzeczenia i prawa harcerskiego*, przebieg szkolenia kadry i kontynuowane, mimo zakazu władz, obchody święta 3-go Maja. Jak i to, że w pierwszym okresie działalności prowadzone były wspólne, harcerzy i harcerek, szkolenia w ramach „koedukacyjnego kręgu”.

To, co działo się w centralnych władzach Związku nie powodowało szczególnego zainteresowania, ani też nie miało początkowo znaczącego wpływu na to co działo się w jeleniogórskim Hufcu. Starano się zachować neutralność polityczną. Jeleniogórcy harcerze byli w szeregach PPS. Uczestniczyli w zjeździe zjednoczeniowym organizacji młodzieżowych

(ZWM, OM TUR, ZMW „Wici” oraz ZMD) we Wrocławiu podczas którego utworzono Związek Młodzieży Polskiej, bez włączenia do niego ZHP. Byli też na kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS w Warszawie.

Wydarzenia te nie pozostawały bez wpływu na prace drużyn i Hufca. Jednak wydawało się, że ingerowanie w działalność Związku nie będzie miało miejsca. Tymczasem już w październiku Główne Kwatery Harcerek i Harcerzy połączono w jeden kierowniczy organ Związku. A w ślad za tą decyzją połączono jeleniogórskie Hufce harcerek i harcerzy.

Rozpoczęła się realizacja politycznej decyzji przebudowy Związku. Eliminowano dotychczasowe formy pracy i symbole organizacyjne. Odwoływano z pełnionych funkcji dawnych instruktorów harcerskich. Wydalano ich ze Związku, pozbawiając stopni instruktorskich. Miały też miejsce aresztowania. Założeniem przebudowy było „powiązanie harcerstwa z realnym życiem”. Włączenie go w realizację zadań ogólnospołecznych. Zerwano z pedagogiką personalistyczną na rzecz pedagogiki społecznej.

Liga Lotnicza przejęła Aeroklub Jeleniogórski a szkolenie lotnicze „Służba Polsce”. Utworzono „Harcerską Służbę Polsce”, - centralny plan udziału Związku w odbudowie kraju, polegający na odejściu od dotychczasowego modelu pracy. Akcja letnia 1948 roku, przebiegała pod znakiem HSP, czyli realizacji czterech kierunków - zadań: „Las i rola”, „Odbudowa kraju”, „Kultura i Oświata”, „Dziecko i Zdrowie”.

W czerwcu 1950 roku wprowadzono nowe *Prawo i Przrzeczenie*, które musieli złożyć wszyscy, którzy zamierzali wstąpić do OHZMP. W sierpniu nastąpiło włączenie kadry etatowej ZHP do Zarządów ZMP na wszystkich szczeblach. Do ZMP wstąpili także dawni instruktorzy harcerscy. We wrześniu, minister Oświaty wydał „Instrukcję o organizacji harcerstwa w szkole”, zgodnie z którą OHZMP miało być

„niezbędnym dopełnieniem działalności szkoły w socjalistycznym wychowaniu młodego pokolenia”.

Zmiany programowe i organizacyjne, powtarzająca się weryfikacja, wymiana kadry harcerskiej, doprowadziły po wakacjach 1950 roku do ostatecznego włączenie ZHP w strukturę OHZMP. W styczniu 1951 roku, komendy wojewódzkie i powiatowe ZHP przekształcały się odpowiednio: w wydziały harcerskie zarządów wojewódzkich, i referaty harcerskie zarządów powiatowych OHZMP.

Trzeba powtórzyć, że Związek Harcerstwa Polskiego mający status Stowarzyszenie Wyższej Użyteczności nigdy nie został rozwiązany. Być może powodem tego był utrwalony w polskim społeczeństwie chwalebny, patriotyczny dorobek Związku i jego autorytet? Stąd może racjonalne decyzje części kadry i przekonanie, że „przeobrażona” struktura pod nazwą OHZMP, w której z dorobku ZHP pozostało jedynie słowo „Harcerstwo”, niczego nie zmieni i niczym Związkowi nie zastąpi, a on wkrótce się odrodzi i wznowi działalność?

Prezentowane wspomnienia ukazują Harcerstwo „prawdziwie uwikłane”, czyli warunki w jakich pracowali jego organizatorzy chcąc zachować harcerskie ideały. Dlatego warto poznać wspomnienia tych, którzy przeżyli okrucieństwo wojny i okupacji, zaznali głodu i poniewierki, a którym harcerstwo przywróciło dzieciństwo i młodość.

ISBN 957-83-937883-4-7